PAULINA CEDLERSKA

CIAŁO OBCE

Wszyscy udajemy. Nawet sami przed sobą...

FILIA

PAULINA
CEDLERSKA

CIAŁO OBCE

FILIA

To prawda, że całe życie musimy udawać, aby żyć. Nie ma chwili, żebyśmy nie udawali.

I nawet sami przed sobą udajemy.

Wiesław Myśliwski, *Traktat o łuskaniu fasoli*

ROZDZIAŁ 1

Dwa tygodnie wcześniej

Ostre światło drażniło źrenice. Przełknął ślinę, żeby zwilżyć gardło. W podniebienie wbiły się setki igieł. Lampa coraz bardziej raziła w oczy.

– Więc twierdzi pan, że ona tak po prostu wybiegła z auta. W trakcie jazdy wyskoczyła. Dobrze rozumiem? – Krótkie włosy w odcieniu świńskiego blond zalśniły w smudze wylewającej się z przykurzonej żarówki. Policjant stukał grubymi palcami w blat stolika.

– Nie – odpowiedział twardo szczupły brunet. Kłucie w gardle ustępowało z kolejnymi słowami. Głos przestał mu drżeć. – Powiedziałem, że zażądała, żebym się zatrzymał. Zrobiłem to, a ona wysiadła. Pobiegła przed siebie.

– Yhym. – Mundurowy zmrużył oczy. – Proszę mówić dalej.

Mężczyzna prychnął.

– Nie ma żadnego dalej. Odjechałem.

Przenikliwa cisza pulsowała w skroniach. Policjant odezwał się po chwili, zerkając do notesu.

– Taaak. Więc podsumujmy. Zabiera pan atrakcyjną dziewczynę na tak zwanego stopa. Po około dwóch kilometrach, kiedy jedziecie przez pole kukurydzy, pasażerka nagle wymusza zatrzymanie auta. Pan posłusznie wykonuje tę prośbę, a kobieta wysiada i biegnie w nieznanym kierunku, po czym znika z pola widzenia. Pan nie reaguje.

Słowa zapętlały się w głowie.

– Wbiegła w kukurydzę – odpowiedział cicho i przymknął oczy, jakby nagle zdał sobie sprawę, jak absurdalnie to zabrzmiało.

– A pan niewzruszony po prostu odjechał – drążył komisarz.

– Proszę nie manipulować odpowiedziami. Znam swoje prawa. Jeśli dalej będzie pan przeformułowywał moje wypowiedzi, nie będę rozmawiał bez adwokata.

– Ależ proszę się tak nie unosić. Ja po prostu ustalam fakty. To jest moja praca.

– Fakty są takie, że chciałem zrobić przysługę nieznajomej dziewczynie, a teraz jestem ciągany po przesłuchaniach. Obcinacie mi paznokcie, grzebiecie w buzi, traktujecie jak jakiegoś kryminalistę! Nie wiedziałem, że bezinteresowna pomoc w tym kraju jest przestępstwem!

Policjant przymknął oczy, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Drogi panie Kornecki, pańska pasażerka została znaleziona martwa. Jej ciało obnażono, a w gardle tkwił kamień o średnicy kilkunastu centymetrów. Był pan ostatnią osobą, z którą widziano denatkę. W tych okolicznościach pana zeznania są jakby – wykrzywił usta w grymasie przypominającym uśmiech – kluczowe.

– Ale ja nic nie wiem! Poza tym, że ta dziewczyna mówiła z taką śpiewną manierą. Nigdy wcześniej jej nie widziałem, mieszkam tu od niedawna.

– A mimo to ochoczo zabrał pan zupełnie obcą kobietę do swojego auta. – Westchnął, jakby się zawahał. – A może liczył pan na coś więcej?

– Jestem żonaty.

Nagle na twarzy komisarza pojawiły się niewidoczne dotąd zmarszczki.

– Może upatrzyłeś sobie, skurwielu, w tej dziewczynie łatwą okazję do skoku w bok. Ona nie chciała, więc wziąłeś sobie siłą to, co w twojej opinii ci się należało – syknął.

– Przecież nie została zgwałcona.

W oczach policjanta błysnęła satysfakcja.

– Ach tak – westchnął zadowolony z siebie i znów zmienił ton głosu. – Skąd pan o tym wie? Przecież nie upubliczniliśmy tej informacji.

Milczenie.

– Nic już nie powiem. Nic nie powiem bez adwokata.

Teraz

Gwałtowny szum poniósł się po salonie. Weronika wciągnęła zapach deszczu do płuc, zamknęła okno i wróciła do czytania.

– Może rozpalę w kominku? Zimno się robi. – Miłosz odstawił kieliszek na podłogę.

– Jak chcesz – odpowiedziała, nie podnosząc wzroku znad książki.

Wiedziała, że i tak to niczego nie zmieni. Ściany tego domu nie przyjmowały ciepła, pozostawały zimne i obce.

– Cóż za zdecydowanie. Od razu wiem, co mam robić.

– Ty zawsze wiesz, co masz robić. Niezależnie od tego, co powiem, więc po co mam gimnastykować język?

– Wera, proszę cię, nie zaczynaj.

– Nie zamierzam. Idę spać. – Zatrzasnęła książkę, zapomniawszy zaznaczyć stronę, na której skończyła czytać.

– Myślałem, że posiedzimy razem. Napijemy się, porozmawiamy albo pomilczymy. – Miłosz zakołysał kieliszkiem, jakby wznosił toast.

– Codziennie pijemy wino. Siedzimy. I dalej tkwimy w tym samym punkcie, w którym byliśmy wczoraj i przedwczoraj.

– O co ci znowu chodzi? – Westchnął, siadając na podłodze. Oparł głowę o jej łydkę, a ona instynktownie odsunęła nogę. – Przyjechaliśmy tu po to, by zacząć od nowa. A ty tymczasem koniecznie chcesz grzebać w tym syfie.

– Już o nic. Jeszcze kilka dni temu chodziło mi o prawdę.

– Przecież wiesz wszystko. Nie ma nic więcej. – Przesunął palcem po jej okrągłym znamieniu o nieregularnych kształtach na policzku.

– Masz rację. Nic już nie ma – mruknęła, odsuwając jego rękę. Nienawidziła, kiedy dotykał tego miejsca. Jeszcze kilka lat temu z powodu plamy szpecącej twarz miała ogromne kompleksy. Teraz zaakceptowała pieprzyk, ale wciąż nie lubiła, gdy mąż muskał jego meszkowatą powierzchnię. Zresztą w ogóle nie lubiła już jego dotyku.

Nie czekając na reakcję Miłosza, poszła na górę i opadła na skrzypiące łóżko. Odkąd przyjechała tu niespełna trzy tygodnie wcześniej, nic nie było takie, jak powinno. Ten dom, Miłosz, łóżko – wszystko szorstkie i niedopasowane. Tęskniła za Krakowem. Rozgrzanym słońcem Kazimierzem, rozśpiewanym w smoliste wieczory Rynkiem, szeleszczącymi jesienią Plantami. To wszystko wymienili na jakąś stęchłą plantację lawendy na końcu świata. Miłosz się uparł. Mogli wyjechać gdziekolwiek, ale on zafascynował się tym kawałkiem ziemi przy lesie ze starym

domem, który zapisała mu ciotka. Nigdy o niej nie wspominał, nie był nawet na jej pogrzebie. Umierała samotnie w jakimś eleganckim domu starców.

– Śpisz? – Niski głos przecisnął się przez uchylone drzwi.

– Chciałabym – mruknęła z twarzą wciąż przyciśniętą do materaca.

– Wera, musimy trzymać się razem. To się jakoś wyprostuje. Doprowadzimy tu wszystko do ładu – zapewnił ją Miłosz, wchodząc do pokoju. – Co ja mówię. Doprowadzimy nas do ładu i poszukamy bardziej cywilizowanego miejsca. Obiecuję. Ale teraz musimy tu trochę zostać, żeby nie wyglądało, jakbym uciekał.

Gwałtownie usiadła na łóżku, a jasne kosmyki opadły jej na czoło.

– Ciągle tylko obiecujesz! – powiedziała uniesionym głosem. – Ale jeszcze żadna z tych obietnic nie została urzeczywistniona. To miał być klimatyczny domek pod lasem z uprawą lawendy i widokiem na wzgórza, a nie podupadłe gospodarstwo pełne pleśni i brudu poukrywanego po kątach.

– Przesadzasz. Jutro odpalimy piec gazowy i będzie cieplutko. Meble są może trochę podniszczone, ale to wszystko włoska robota. Nie jakaś tam IKEA.

– Wolę IKEĘ.

– A ja wolę, jak nie jesteś malkontentką – odparł z lekką irytacją.

– Trudno o entuzjazm, kiedy mieszkasz w miejscowości, której liczba mieszkańców nie przekracza stu i oni wszyscy mają twojego męża za mordercę.

Miłosz głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Kurwa, serio? Przecież odbywaliśmy już tę rozmowę. Przynajmniej kilka razy.

– Żadna z nich niczego nie wniosła.

– Od kiedy karmisz się plotkami?

– Pomyślmy. Może od momentu, kiedy sąsiedzi zaczęli wytykać mnie palcami.

Prychnął.

– Przecież my nie mamy sąsiadów.

– Nie łap mnie za słówka.

– Wera, do cholery! Serio?! A wytykanie palcami w Krakowie ci nie przeszkadzało? Co ja mówię, jakie wytykanie palcami! Tam były pogróżki i obelgi.

– To była zupełnie inna sprawa. Nie mieszaj tych dwóch kwestii.

– Wyjazd był jedyną rozsądną decyzją – powiedział Miłosz z naciskiem. – Przynajmniej na jakiś czas. Dobrze wiesz, że tam ciągle by to wracało. To miejsce pozwoli nam zapomnieć.

Weronika potrząsnęła głową.

– Od tego nie da się uciec. Zresztą nawet nie chcę. To część mojego życia, ślad na wzór pępka, tyle że niewidoczny. Ale to zawsze będzie już ze mną.

– Pieprzysz głupoty. To zmieniona chorobowo tkanka. Trzeba ją wyciąć. Jak nie postawisz kropki, oboje w tym ugrzęźniemy.

Zbliżył i wyciągnął rękę, jakby chciał ją przytulić. Wzdrygnęła się.

– Idę się kąpać – oznajmiła, podnosząc się szybko.

Zanim zdążył zareagować, zniknęła za drzwiami.

Promienie wrześniowego słońca padały na wzgórze purpurowe od lawendy, której gałązki kołysały się łagodnie na wietrze. Weronika otworzyła okno i do środka wdarło się rześkie powietrze. W oddali niósł się śpiew ptaków. Powinna zachwycać się widokiem, majestatycznym, a jednocześnie smutnym, ale zamiast tego czuła rozrastającą się pod żebrami pustkę. Nie wiedziała, czy może ufać Miłoszowi, a przede wszystkim czy może ufać sobie. Myśli krążące

jej po głowie wywoływały tęsknotę. Nie za murami i adresem, a za poczuciem przynależności. I ciepłem. Włożyła beżowy golf w drobną jodełkę i wyszła do ogrodu.

– Czołem, szefowo. – Marcin, dozorca, który zarządzał pracą w gospodarstwie, pomachał do niej brudną od smaru rękawiczką.

Bąknęła pod nosem powitanie i skręciła w stronę mieniącego się odcieniami purpury pola. Gdyby przyjechała tutaj na weekend, pokochałaby to miejsce od pierwszego oddechu. Teraz podmuchy przesiąkniętego zapachem wilgotnej ściółki powietrza sączyły się do płuc jak trucizna, która odbierała chęć do życia.

– Za chwilę trzeba będzie zacząć zbiory. – Męski głos wybrzmiał tuż przy niej tak nagle, że aż podskoczyła. Nie zauważyła, że Marcin za nią poszedł.

– Ile to zwykle trwa?

– Dwa, trzy dni i będzie po sprawie. Dziewczyny ze wsi przyjdą, to trochę pomogą. Grosza sobie dorobią, a i wianki z obrywek uplotą. Taka tradycja.

– Uczennice?

– A gdzie tam. Matki, żony, gospodynie. Tu pracy nie ma, to nikt nie wybrzydza, jak jest okazja, żeby trochę zarobić. – Młody mężczyzna podrapał się po rudej, krzywo przystrzyżonej brodzie. – Chociaż teraz to wszystkim się posada w szkole marzy. Dyrektor sekretarki szuka, bo Wanda Ogonowa na emeryturę już rok temu poszła, i każda wiejska dziewucha skrycie marzy, że uda jej się wskoczyć na biurowy etat. Ale ten wymuskany cwaniaczek jakoś się nie kwapi, żeby wakat obsadzić. Pewnie kogoś swojego chce wepchnąć albo… – Skrzywił się. – Zresztą nieważne – dodał.

Weronice wydawało się niedorzeczne to, że posada sekretarki w wiejskiej szkole może być dla kogoś szczytem zawodowych marzeń.

– Dobra praca to połowa życiowego sukcesu – odparła. – W końcu spędzamy w niej tyle czasu. A pan swoją lubi?

– Lubię i nie lubię. – Wzruszył ramionami. – W sumie to trochę nie praca, jakby tu wszystko moje było, a za takim gospodarstwem to tutejsze panny sznurem – zaśmiał się, obnażając żółte zęby, a później dodał: – Odkąd Klemencja zachorowała, sam tu urzęduję i doglądam. Całą emeryturę mi do zarządzania dawała i jeszcze trochę angielskich funtów ze skarpety.

Przez myśl przeszło jej, że Marcin opowiada o tym, żeby wymusić podwyżkę. Postanowiła zapytać Miłosza, ile mu płacą. Była przekonana, że mąż swoim zwyczajem zawzięcie negocjował stawkę, a jeśli go przekona, żeby ją obniżył, może pozbędą się z domu tego faceta. Miała nadzieję, że niska wypłata go zniechęci. Coś jej w nim nie pasowało.

– Będę się zbierać. Chciałam się przejść do sklepu po jabłka do ciasta, a przez las będzie krócej.

– Szarlotkę będzie pani piekła? – W szarych oczach pojawił się błysk.

– Taki był plan, ale jeśli się nie pośpieszę, to mogę się nie wyrobić nawet na jutrzejsze śniadanie. – Weronika roześmiała się sztucznie, krótkim urwanym śmiechem.

– Pani uważa, jak będzie pani przez ten las szła. Teraz czasy niepewne. Tamta dziewczyna, co ją martwą znaleźli, też przez las pewnie iść chciała.

Spojrzała na niego podejrzliwie, jakby w tych słowach spodziewała się zakamuflowanego ataku. Mężczyzna potarł się po siwiejących skroniach, które zupełnie nie pasowały do jego bojówek i glanów.

– Chociaż ja tam plotkom nie wierzę. Miłosz na pewno nie miał z tym nic wspólnego, a ludzie różnie gadają – powiedział cicho,

jakby czytał w jej myślach. – Ale gdzieś między nami chodzi ten, co to naprawdę zrobił, więc lepiej uważać, bo licho nie śpi – dodał, wpatrując się w zarys drzew.

– Licho nigdy nie śpi – mruknęła i ruszyła przed siebie.

Wiejski sklep mieścił się w niewielkim kanciastym budynku, przypominającym garaż. Krata z wykwitami rdzy wetknięta w prostokątne okno nie zachęcała do wejścia. Środek nie prezentował się lepiej – skrzynki z owocami ustawiono niedbale pod starą ladą, lodówka pełna była taniego piwa, a pieczywo piętrzyło się na półce tuż obok kasy, chłonąc mikrocząsteczki śliny wszystkich klientów. W klaustrofobicznym wnętrzu tłoczyło się kilka osób.

– Panie Roguszczak, powiedziałam nie. – W głosie czterdziestokilkuletniej ekspedientki wibrowała złość.

– No Zosieńko droga, ulitujże się nad spragnionym. Jak to ksiądz grzmi z ambony? Spragnionych napoić, złociutka. Renta przyjdzie, to wszystko oddam.

– Przyszły już przynajmniej trzy i grosza pan nie oddał. A mnie szef chce z wypłaty potrącać. Mowy nie ma.

– Tym razem oddam. Jak Bozię kocham.

– Pan Bozi nie kochasz, bo jakbyś kochał, to byś pan trzeźwiał chociaż od święta. A jak długo tu pracuję, to na oczy trzeźwego pana nie widziałam.

Po sklepie poniósł się nerwowy szmer.

– Kolejka jest, proszę się odsunąć – dodała twardo ekspedientka.

– Czyli nie? Na kreskę mi pani nie da? – Wciągnął głośno powietrze.

– Już powiedziałam, że nie. A jak pan dalej będzie utrudniał innym klientom zrobienie zakupów, to wezwę policję.

– A niech cię piekło pochłonie! Policją mnie na stare lata straszyć. To mi sklepowa! Szlag niech ją trafi i tę budę też…

Weronika przymknęła oczy, próbując złagodzić przeszywający ból głowy, który niespodziewanie ją zaatakował.

Wcześniej

Rytmiczny stukot cienkich obcasów niósł się pomiędzy eleganckimi blokami, przypominającymi bardziej hotele niż budynki mieszkalne. Chłodny wiatr przyjemnie drażnił policzki. Starsza kobieta z blond lokami opadającymi na czoło wyjęła z kieszeni kardiganu kluczyki. Szczęknięcie automatycznego zamka uzmysłowiło Weronice, że nie ma wiele czasu. Przyśpieszyła kroku i zatrzymała się przed maską białego mercedesa. Kobieta zdążyła odpalić silnik. Spojrzała na nią zaskoczona. Zdziwienie szybko wyparł strach. Szyba po stronie kierowcy powoli się otworzyła.

– Proszę się odsunąć! – wykrzyknęła histerycznie blondynka.

Weronika nawet nie drgnęła.

– Proszę natychmiast odejść. Rozumie pani?

Milczała. Oparła dłonie o zimną maskę samochodu, jakby chciała w ten sposób zakomunikować, że żadna z nich nigdzie się nie ruszy.

– Wezwę policję. Zaraz zadzwonię. Tym razem się nie zawaham.

Kobieta machnęła telefonem na potwierdzenie swoich słów. Czerwone paznokcie błysnęły w ostrym słońcu.

Weronika zaczęła się śmiać. Nieszczerze, jakby chciała coś tym śmiechem zagłuszyć. Blondynka odłożyła telefon i zacisnęła ręce na kierownicy. Powoli ruszyła.

Weronika przez ułamek sekundy walczyła z napierającym na nią ciężarem, ale po chwili odskoczyła.

Teraz

– *Je voudrais un kilo de pommes de terre, s'il vous plait.*

W sklepie na chwilę zapadła cisza i wszyscy zerknęli na kobietę stojącą przy ladzie. Ekspedientka przez chwilę wpatrywała się w klientkę bez słowa, po czym wzruszyła ramionami.

– Nic nie rozumiem! Ja nie panimaju! – wykrzyknęła, jakby spodziewała się, że w ten sposób wszystko wyjaśni.

– Poprosiła o kilogram ziemniaków – odezwała się Weronika, a kilka osób stojących przed nią w kolejce odwróciło się z ciekawością.

Sklepowa bez słowa zaczęła wrzucać kartofle do foliowego worka.

– Coś jeszcze? – zapytała opryskliwie.

– *Chocolat au lait.*

– Czekoladę mleczną – mruknęła Weronika, ignorując skierowane w jej stronę spojrzenia.

Kilka minut później zapłaciła za dwa kilogramy jabłek i z ulgą wyszła na zewnątrz.

– Nie szuka pani przypadkiem pracy? – zapytał ktoś za jej plecami.

Odwróciła się ze śmiechem i zmierzyła mężczyznę od stóp do głów. Conversy z poszarzałą podeszwą, dżinsy, tweedowa marynarka. Czterdziestolatek przebrany za nastolatka. Dobrze ubranego nastolatka.

– Raczej nie jestem zainteresowana – rzuciła, ale po chwili ciekawość zwyciężyła. – A co to za praca?

– Szukam kogoś, kto będzie zarządzał szkolnym sekretariatem. Jestem dyrektorem tutejszej podstawówki. Adam Zbrzyzny. – Wyciągnął w jej stronę smukłą dłoń.

– Weronika Kornecka. – Odwzajemniła mocny uścisk.

– To jak będzie? Zechce pani rozważyć moją propozycję? Od roku nie znalazłem nikogo odpowiedniego, aż dzisiaj los zesłał mi panią.

– Proszę mi wierzyć, że nie jestem dobra w zarządzaniu nawet własnym czasem. Moja kandydatura na to stanowisko byłaby nieporozumieniem.

– Nie wierzę. – Przejechał dłonią po zadbanej ciemnej brodzie.

– Lepiej, żeby jednak zaufał pan moim słowom. Tak będzie bezpieczniej dla tutejszego systemu szkolnictwa.

– Lubię ryzyko. A poza tym – wypuścił głośno powietrze z płuc – nie będę owijał w bawełnę. Mamy umowę partnerską ze szkołą w Dijon, a ja nie mówię ani słowa po francusku. Raz w roku gościmy delegację z tamtejszej placówki i wtedy palę się ze wstydu, używając migowego. Pomoc w komunikacji byłaby dla mnie nieocenionym ułatwieniem. I zbawieniem dla zaciskanej z nerwów żuchwy.

– Bilans zysków i strat w ostatecznym rozrachunku i tak wyszedłby na minusie – odparła z lekkim rozbawieniem.

– Sprawdźmy. Jak wspominałem, lubię ryzykować.

Roześmiała się.

– A ja stronię od masochizmu. Trochę się śpieszę, miło było pana poznać.

– Proszę to jeszcze przemyśleć. Nasza szkoła to wbrew stereotypom nie jest zacofana placówka bez perspektyw rozwoju. Mamy fajne możliwości. I świetne dzieciaki.

– Pomyślę – odpowiedziała na odczepnego i ruszyła przed siebie.

Krople deszczu powoli spływały po szybach, łączyły się ze sobą i zamieniały się w splątane rzeki.

– Z cukrem? – Miłosz postawił na dębowym stole kubek z parującą kawą.

– Od dziesięciu lat trudno ci zapamiętać, że nie piję z cukrem? – odparła z irytacją, sięgając do szafki po słodzik.

– Nie czepiaj się słówek, chodziło mi o to chemiczne paskudztwo. Taki skrót myślowy.

– I tak to teraz będzie wyglądało? – spytała, zakładając stopy na krzesło.

– Nie rozumiem.

– Będziemy tak tu siedzieć, pić kawę, rozmawiać o błahych sprawach i czekać na jakiś niezdefiniowany cud, który nada sens naszemu życiu?

– Chcesz znów spróbować?

Weronika nerwowo upiła łyk gorącej kawy. Uczucie palenia rozlało się wzdłuż przełyku.

– Czy ty mnie słuchasz? Mówię zupełnie o czymś innym. Jakie „spróbować”? Dla ciebie to jest i zawsze był jakiś eksperyment? – zaperzyła się, ale zdążyła się opanować i dodała już nieco łagodniej: – Mamy chyba inne rzeczy na głowie. Na przykład proces, który nad tobą wisi.

– Nic nade mną nie wisi – odparł twardo Miłosz. – Przecież wiesz, że nie tknąłem tej dziewczyny.

– Właśnie o to chodzi, że nie wiem.

– Wera, nie zaczynaj. – Westchnął i po chwili zmienił temat. – Muszę wyjechać na dwa, trzy dni do Krakowa. Okazuje się, że potrzebują mojego podpisu w banku.

– Jadę z tobą.

– Wolałbym, żebyś tu została. Ktoś musi tego wszystkiego pilnować. Zresztą dopiero co od tego uciekłaś. Chyba nie jesteś

gotowa, by już wracać. Choćby na chwilę.

To prawda. Wścibskie spojrzenia sąsiadów kąsały jak agresywny pies. Na dodatek Kraków pełen był wspomnień, które musiała wyprzeć z pamięci. Przynajmniej do czasu, aż… Nie, nie mogła tak łatwo dać za wygraną. Nie przyzna mu racji.

– Do tej pory nikt nie pilnował tego dobytku i zobacz, lawenda kwitnie, dom stoi, nawet jakiś pies wałęsa się po podwórku – rzuciła. – Ten twój odźwierny z pewnością poradzi sobie bez nadzoru jeszcze kilka dni.

Zignorował jej słowa.

– Postaram się wrócić jak najszybciej, a ty po prostu miej tu na wszystko oko. Marcin ci pomoże.

A więc tak to miało wyglądać – Miłosz będzie wracał do swoich spraw w Krakowie, a ona będzie siedzieć tutaj i pilnować zasranych krzaczków.

– Dostałam pracę – wypaliła, zanim zdążyła się zastanowić.

Popatrzył na nią ze zdumieniem i upił łyk kawy.

– Pracę? Jakieś zdalne zlecenie? Artykuły? Coaching online?

– W sekretariacie.

Omal się nie zakrztusił.

– W jakim znowu sekretariacie?

– Szkolnym.

– Serio jako magister psychologii chcesz parzyć kawę jakiemuś wiejskiemu dyrektorowi?

– Nie praktykuję od dawna. A moje obowiązki w korpo też niewiele miały wspólnego z psychologią.

Nagle rozległ się nieprzyjemny metaliczny dźwięk, jakby ktoś ciągnął łopatę po chodniku.

– Co do jasnej cholery?! – Miłosz zerwał się z krzesła i podbiegł do okna balkonowego. Rozsunął zasłonę i spojrzał na wąski prześwit między brązową ramą okienną a szybą. – Nie zamknęłaś

na noc? A ja głupi myślałem, że te okna są tak nieszczelne i stąd te przeciągi. Już nawet rozważałem wymianę.

Weronika potrząsnęła przecząco głową.

– Nawet ich nie dotknęłam. Nie zostawiłabym otwartych okien w taką ulewę. Nienawidzę wilgoci w domu. Po tylu latach przynajmniej to mógłbyś o mnie wiedzieć.

Miłosz zmrużył oczy i mruknął, jakby nie dosłyszał jej słów:

– Kurwa, ja też ich nie otwierałem. Duchy czy co?

Prychnęła.

– Może się rozsunęły od przeciągu. Ten dom tylko dobrze wygląda z wierzchu, w środku wszystko jest spróchniałe.

– Tyle czasu nikt go nie używał, więc nic dziwnego. Może rzeczywiście to okno nie trzyma. Poproszę Marcina, żeby sprawdził.

Kiedy pchnął drzwi balkonowe, do środka wlał się strumień lodowatego, przesiąkniętego wodą powietrza.

– Dzień dobry. – Usłyszeli znienacka i oboje aż podskoczyli.

W progu stał Marcin.

– Skradasz się? – zapytał półżartem Miłosz.

– Porządkuję. Po zbiorach zawsze jest coś innego do roboty – odparł mężczyzna i wyszedł bez słowa.

– Ten chłopak ma jakieś zdolności telepatyczne. Jest pod ręką, kiedy tylko o nim pomyślę.

– Ile mu właściwie płacimy? – spytała Weronika.

– Sporo. Może dlatego tak się stara.

– Sporo to ile?

– Kilka razy tyle, ile ty zarobisz, parząc kawę jakiemuś dyrektorzynie od siedmiu boleści.

– Musisz być złośliwy?

– Przepraszam, po prostu nie chcę, żebyś robiła coś, co jest poniżej twoich kompetencji. Zresztą myślałem, że zimę poświęcisz

na to, żeby przygotować obiekt do sezonu turystycznego. Mieliśmy zrobić tu jakiś punkt gastronomiczny, żywe muzeum.

Rzeczywiście przed przyjazdem snuli plany, chcieli zrobić tu małą Prowansję, ale teraz, kiedy już zamieszkali w gospodarstwie, Weronika przestała wierzyć w sens tego pomysłu. Śmierć dziewczyny w lesie i niejasne powiązanie Miłosza z tą sprawą położyło się cieniem na miejscu, które miało się stać ich nowym domem.

Echo kroków niosło się wzdłuż długiego korytarza. Powietrze pachniało płynem do mycia podłóg. Pchnęła uchylone drzwi.

– Można?

Adam Zbrzyzny podniósł wzrok znad laptopa. Omiótł ją chłodnym spojrzeniem, które po chwili złagodniało.

– Ach, to pani. Proszę.

Zatrzasnął komputer i wpatrywał się w nią wyczekująco.

– Pańska propozycja jest nadal aktualna? – spytała.

Zawahał się.

– Tak, tak. Znaczy wstępnie kogoś wybrałem na wypadek, gdyby pani się nie zdecydowała. Dłużej nie dam rady pracować w tym bałaganie. – Wskazał podbródkiem na piętrzące się na biurku papiery. – Ale nie padły jeszcze żadne deklaracje z mojej strony, bo jednak liczyłem, że może się uda. – Mrugnął porozumiewawczo.

Wiedziała, że kłamie po to, żeby szybciej podjęła decyzję. Położyła na biurku kartkę A4 w mokrej od deszczu koszulce.

– Moje CV.

Przebiegł wzrokiem po jednostronicowym dokumencie.

– Psychologia? A może chciałaby pani część etatu w naszym szkolnym gabinecie, żeby nie wypaść z obiegu?

– Od dawna nie praktykuję.

– W takim razie proponuję podział: połowa etatu sekretariat, połowa biblioteka. Tak, żeby pani się nie znudziła tymi pieczątkami, świadectwami i legitymacjami. Zresztą samej pracy administracyjnej aż na czterdzieści godzin się nie uzbiera.

– Świetnie, od kiedy mogę zacząć?

Uśmiechnął się szeroko.

– Właściwie od zaraz. Rok szkolny już trwa, a ja sam walczę z biurowymi zawiłościami. To dla mnie tortura.

– W takim razie będę jutro rano. O której zaczynamy. Ósma?

Zmarszczył nos.

– Siódma trzydzieści, jeśli da pani radę. Proszę od razu jutro rano do kadr podrzucić świadectwa pracy i inne papierki, żeby dziewczyny mogły wyliczyć urlop i załatwić inne formalności.

– Postaram się.

Gorączkowo próbowała sobie przypomnieć, gdzie po przeprowadzce wrzuciła teczkę z dokumentami.

– No to świetnie. Bardzo się cieszę, że się pani zdecydowała – powiedział dyrektor, po czym jego wzrok znów padł na jej CV. Zawahał się. – Pewnie ta praca jest poniżej pani kompetencji – dodał po chwili – ale wierzę, że mimo to będzie pani miała z niej sporo satysfakcji. Jesteśmy naprawdę fajną, nowoczesną placówką. – Wyciągnął do niej rękę. – Witam na pokładzie.

Odwzajemniła uścisk. Miał przyjemnie ciepłą dłoń.

Wbrew temu, co mówił Miłosz, poczuła, że to dobra decyzja. Lekkim krokiem wyszła ze szkoły i wystawiła twarz na wiatr, który chłodził policzki. Przestało padać i zza chmur nieśmiało wyglądało słońce. Przeszła na drugą stronę ulicy, szukając w torebce kluczyków do auta.

– Pani Weronika Kornecka? – Męski głos przedarł się przez miarowy warkot samochodowego silnika.

Odwróciła się. Przez uchylone okno srebrnej astry wychylał się blondyn z wyraźną nadwagą. Kojarzyła go.

– To ja, a o co chodzi?

– Chcielibyśmy porozmawiać z pani mężem.

– To będzie trudne, bo wyjechał.

– Na długo?

– Dwa, trzy dni. Jutro, najpóźniej w piątek powinien wrócić.

Facet zanotował coś w notesie.

– Gdzie teraz przebywa?

– W Krakowie.

– Ktoś może to potwierdzić?

– Nie wiem, pewnie tak. Ale o co chodzi? Coś się stało?

– Proszę o podanie adresu, pod którym mąż teraz przebywa.

– Nie rozumiem, po co to panu.

– Pani tu nie jest od rozumienia. – Zapowietrzył się, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w ostatniej chwili się rozmyślił. – Proszę podać adres. To nie jest dobry moment na dyskusje.

Weronika nie miała pojęcia, o co chodzi policjantowi, ale ton jego głosu nie wskazywał na nic dobrego. Wzięła głęboki oddech i powoli podyktowała ulicę i numer.

Wbiegła do domu, po raz kolejny wybierając numer Miłosza. Bezskutecznie. Po drugiej stronie słyszała tylko urwany rytmiczny sygnał.

– Kurwa, odbieraj no!

Do salonu wszedł Marcin w brudnych kaloszach, które zostawiały na podłodze błotniste ślady.

– Serwus, szefowo. Jaka stawka dla dziewczyn na jutro?

Spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Dopiero po chwili do niej dotarło, że mówi o zbiorach lawendy.

– Nie wiem, niech będzie jakaś standardowa. Taka jak zawsze.

– Trzy dychy za godzinę mogą być?

– Mogą. Była tu policja?

– Ano była, Miłosza szukali.

Weronika poczuła nagły ucisk w skroniach.

– Dlaczego nic nie powiedziałeś?

– Najpierw chciałem pracownicze kwestie omówić. Biznes jest biznes. Zresztą co w tym dziwnego? Po całej wsi przecież się kręcą. Pewnie w związku z tym zabójstwem.

– Zabójstwem? Tamtej dziewczyny w lesie? – Próbowała zapanować nad oddechem, nie chciała, by zdradził jej zdenerwowanie.

Marcin wolno pokręcił głową.

– Nie, dzisiaj kolejna rano za przystankiem rozebrana leżała. Tam obok Zapiecka. Przy tym przystanku, co pośrodku niczego jest.

Zamrugała. Chwilę zajęło, zanim dotarły do niej jego słowa. Przerażona podniosła dłoń do ust.

– Kiedy ją znaleźli? – wyszeptała.

– No mówię przecież, że dzisiaj nad ranem leżała. Cała wieś już wie. Nie słyszała pani o tym? Ludziom w głowach się zupełnie przewraca. Kiedyś to była spokojna miejscowość, można się tu było ukryć przed światem, a dzisiaj za chwilę strach będzie z domu wychodzić. No i zaraz na ustach wszystkich będziemy. – Machnął ręką z rezygnacją i niespodziewanie zmienił temat: – Wszystko sprzedajemy do tej firmy, co robi olejki, czy coś zostawiamy na użytek własny?

– Oddajemy – bąknęła, chociaż myślami była zupełnie gdzieś indziej.

Po raz kolejny wybrała numer Miłosza. Bez skutku. Czy naprawdę miał coś wspólnego ze śmiercią tych dziewczyn?

Dlatego wyjechał akurat teraz? Tuż po drugim zabójstwie…? Pytania wydawały się niedorzeczne, a mimo tego wciąż wybrzmiewały w jej głowie jak natrętna ścieżka dźwiękowa ostatnio obejrzanego filmu. Przecież to jej mąż. Znała go od lat. Jak mogła go podejrzewać o takie okropności?

Weszła do salonu i aż się wzdrygnęła. Było tu jeszcze mniej przytulnie niż zwykle. Stare eleganckie meble, ciężkie zasłony, zapach stęchlizny pomieszany ze słodką wonią odświeżacza powietrza. I ten obrzydliwy miecz grunwaldzki wiszący na ścianie, pozostałość po poprzedniej właścicielce. Miłosz się uparł, by go zostawić, bo choć to replika, podobno sporo kosztował. Nie znosiła go. Wyjazd tutaj był jedną z gorszych decyzji w ich wspólnym życiu. Właściwie to była decyzja Miłosza, ona chciała jedynie uciec. Nie potrafiła już żyć w Krakowie. Nie po tym wszystkim, a on przekonywał ją, że Góra Dylewska to najbardziej malowniczy skrawek kraju i Lawendowe Wzgórze stanie się popularnym miejscem wypoczynku w stylu *slow*. Że stworzą coś nowego. Przyjechała tu pierwszy raz miesiąc przed przeprowadzką. Na chwilę, jak turystyka. Wtedy słowa męża wciąż brzmiały prawdziwie. Dopiero potem, gdy już tu zamieszkali, to miejsce nagle jakby wypłowiało, straciło kolor. Malownicza mazurska Prowansja okazała się podupadającą plantacją lawendy na uboczu, a urocza retro willa ciotki śmierdzącym stęchlizną zimnym domem, wymagającym remontu. Miłosz był przekonany, że ten spadek to znak od losu, żeby zacząć od nowa. Nie podzielała jego entuzjazmu.

Ból głowy eksplodował znienacka, zagłuszając wszystkie myśli. Weronika wyjęła blister Maxaltu z torebki, wyłuskała z niego dwie tabletki, popiła je resztą zimnej kawy i zasnęła płytkim snem na sofie.

– Dlaczego im powiedziałaś, że wyjechałem?

Otworzyła gwałtownie oczy. Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, co to za miejsce. W skroniach wciąż pulsował ból. Mocny ucisk na ramieniu i ciepły, przyśpieszony oddech na policzku szybko przywróciły jej pamięć.

– Dlaczego powiedziałaś, że wyjechałem? – powtórzył, zaciskając ze zdenerwowania zęby.

– Przecież wyjechałeś. O co ci chodzi?

– Kurwa, Wera, czy ty jesteś poważna? Dla nich to kolejny zasrany argument, że mogłem mieć z tym coś wspólnego. Jeszcze podałaś im nasz krakowski adres!

Nie rozumiała, co w tym niewłaściwego.

– Chyba lepiej, że cię tu nie było, gdy znaleziono zwłoki, prawda? Bo inaczej byłbyś bardziej podejrzany. Zresztą wtedy jeszcze nie wiedziałam o kolejnym ciele. Dopiero później Marcin mi powiedział…

Wciąż leżała pod kocem, mimo że ubrania przykleiły się do lepkiej od potu skóry. Jakby ten bezruch miał odwrócić uwagę męża.

– Przecież gdybyś poświadczyła, że byłem w domu, to dałabyś mi alibi! – wybuchnął. – Nie rozumiesz? Musisz zmienić zeznania. W Krakowie nikt mnie nie widział, nikt tego nie poświadczy, więc jestem udupiony. Powiesz, że się pokłóciliśmy, chciałaś zrobić mi na złość i specjalnie powiedziałaś, że wyjechałem, a tak naprawdę cały czas byłem w domu.

Patrzyła na niego półprzytomnie.

– Chyba żartujesz? – odezwała się w końcu. – Nie ma mowy, to bez sensu. Ktoś cię musiał widzieć w Krakowie. Ktokolwiek. Albo jakieś kamery monitoringu.

Miłosz oddychał ciężko.

– W takim razie Marcin zezna, że po kłótni z tobą miałem jechać do Krakowa, ale byłem zdenerwowany i spałem u niego.

Dogadamy się – mruknął bardziej do siebie niż do niej.

– Co ty wygadujesz? Nie słyszysz, jak irracjonalnie to brzmi?

– Wyjechałem od niego dopiero w południe i cały dzień włóczyłem się po tutejszych szlakach pieszych, żeby sobie to poukładać, bo zażądałaś rozwodu. Nie chcesz tu ze mną mieszkać. Tęsknisz za miastem – snuł dalej swoją opowieść.

Przerażała ją lekkość, z jaką wymyślał swoje alibi.

– Gdzie byłeś? – Wstała gwałtownie i gdy koc zsunął się na podłogę, zimny strumień powietrza wdarł się pod jej ubranie. Zadrżała. – Dlaczego nie możesz powiedzieć policji, gdzie naprawdę byłeś?

– W Krakowie, przecież wiesz.

– Miałeś jechać do banku, tam na pewno ktoś to poświadczy. Zresztą przecież podpisywałeś dokumenty. Na nich musi być data.

Potrząsnął głową.

– Niczego nie załatwiłem. Rano Marcin zadzwonił i powiedział, co tu się znowu odpierdoliło, więc od razu ruszyłem w trasę.

– O której?

– Nie wiem, ósma, może po ósmej. A jakie to ma znaczenie?

Skąd, do cholery, tak szybko Marcin wiedział o morderstwie? I dlaczego od razu zadzwonił do Miłosza? W co oni pogrywali?

– Po co wracałeś? Im dalej byłeś od tego miejsca, tym lepiej dla ciebie.

– Niby tak, ale… – zawahał się i spojrzał na nią łagodnie. – Przestraszyłem się, że coś ci może grozić. Wróciłem dla ciebie, a teraz tylko mam problemy, bo nie chcesz mi pomóc. Ja zawsze stałem za tobą murem. Nawet kiedy wszyscy w ciebie zwątpili.

ROZDZIAŁ 2

– Tu jest czajnik i lodówka. Kiedyś była jeszcze mikrofala, ale wyzionęła ducha przed wakacjami.

W pomieszczeniu, które właśnie pokazywał jej Adam Zbrzyzny, czuć było zapach korzennych perfum.

– Może to i lepiej – bąknęła, oczami wyobraźni widząc oblepione resztkami jedzenia urządzenie z jej poprzedniej firmy.

– Zaraz zaczynam lekcje. Mam tylko dwie z siódmą b, więc po nich będzie czas, żeby dokładniej omówić zakres obowiązków.

– Czego uczysz? Znaczy dyrektor uczy? – poprawiła się szybko.

– Zdecydowanie uczysz. Konwenanse to nie jest specjalność tego miejsca. Przynajmniej odkąd ja podejmuję tu decyzje. Ale strzelaj. Na jakiego belfra wyglądam?

– Matematyka?

– Aż tak źle ze mną?

– Wręcz przeciwnie. Inteligentny matematyk to *crush* wielu nastolatek.

– *Crush*?

– Nieważne – zaśmiała się Weronika. – To może historyk?

– Raczej epizodyczny histeryk. Wciąż zimno. Jestem fizykiem.

– Wow, mnie fizyki zawsze uczyły kobiety. Ale chyba po prostu tak się złożyło.

– Dzięki, od razu czuję, jak mi buzuje testosteron pod skórą.

– Nie miałam na myśli nic złego. Wręcz przeciwnie. Facet i tajemne prawa rządzące światem. Bardzo seksowne.

Zawstydziła się, że wypowiedziała tę myśl na głos, on jednak najwyraźniej tego nie zauważył.

– Pierwotny plan był taki, że będę polonistą – powiedział. – W liceum zaczytywałem się w Wojaczku. Miałem opadające na czoło kędziorki, zeszyt, z którym się nie rozstawałem, i alternatywny świat, z dala od tak zwanego realu.

– Zaczynam żałować, że cię wtedy nie poznałam – uśmiechnęła się.

– Później poszedłem na studia, w międzyczasie się ożeniłem i nawet nie zorientowałem się, kiedy zostałem ojcem trójki dzieci. Szybko poszło i równie szybko proza życia sprowadziła mnie na ziemię.

Coś ją zakłuło w okolicy przepony i instynktownie położyła dłoń na brzuchu.

– Do aktu stworzenia chyba trzeba dwojga, więc jakąś kontrolę jednak nad tym miałeś – mruknęła ostro, ale szybko zorientowała się, że zabrzmiało to niegrzecznie, więc zmieniła ton. – I naprawdę masz trójkę dzieci? W życiu bym nie powiedziała.

– Dwie świetne córki i syna, pierworodnego. Najmłodsza ze stada ma dwa lata. Dzieciaki mieszkają z moją żoną w Gdańsku, niedługo już byłą, więc widujemy się tylko raz na dwa tygodnie.

Dźwięk dzwonka wypełnił ciszę. Weronika odetchnęła z ulgą, bo nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Zapomniałam już, jak brzmi szkolny dzwonek.

– Przywykniesz i za chwilę w ogóle nie będziesz go słyszała. Mózg na szczęście po jakimś czasie zaczyna olewać ten dźwięk.

Widzimy się później. Zrób sobie kawę i oswój się z tym imponującym metrażem. Albo możesz też przejść się do biblioteki, Łukasz ci wszystko pokaże – rzucił Adam i zniknął za drzwiami.

Biblioteka była niewiele większa niż sekretariat. Weronika kichnęła, kiedy tylko otworzyła drzwi – kurz unosił się tu w powietrzu i dostawał do płuc z każdym oddechem.

– Łukasz? – zagadnęła do mężczyzny, który kręcił się pomiędzy regałami.

Gęste ciemne włosy poprzetykane siwizną, sterczały mu w różne strony, jakby od kilku dni ich nie czesał. Spojrzał na nią spłoszony.

– Weronika, twoja nowa koleżanka zza biurka. Adam powiedział, że mogę się rozejrzeć, a ty mnie wprowadzisz – nawijała coraz szybciej w odpowiedzi na jego skonsternowany wzrok.

– Nie wiem, czy jest tu coś do wprowadzania – odezwał się w końcu. – Odklikujesz książki i co miesiąc robisz nową gazetkę do gabloty na korytarzu. Tyle. – Wzruszył ramionami.

– Długo tu pracujesz?

– Drugi rok leci. Ale radzę sobie, nie wiedziałem, że potrzeba mi pomocy. – W jego głosie zabrzmiała lekka pretensja.

Wyglądał, jakby zbliżał się do czterdziestki, chociaż w jego mimice było coś z zachowania zbuntowanego ucznia. Weronika nagle pożałowała, że po to, żeby zrobić Miłoszowi na złość, musiała wkupywać się teraz w łaski naburmuszonego Piotrusia Pana.

– Macie jakiś klub czytelniczy?

– Nie. Kto teraz czyta książki?

– Ten, kto przychodzi do biblioteki – odparła chłodno, bo zaczynał ją irytować.

– No to muszę cię rozczarować. Tu nikt nie przychodzi poza dzieciakami, które chcą od kogoś odpisać pracę domową albo mają zastępstwo.

Poczuła, jak krew napływa jej do twarzy.

– Zadaniem biblioteki jest krzewienie ducha młodych osób, popularyzacja czytelnictwa. Może warto coś zorganizować.

Nie odpowiedział. Podszedł do biurka, opadł ciężko na krzesło i pochylił się nad laptopem, a potem zaczął coś pisać, nie zwracając już na nią uwagi. Nieco jej ulżyło, kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich starszy mężczyzna w przybrudzonych ogrodniczkach.

– Znowu wczoraj nie odbierałeś – rzucił. – Do ciebie to trudniej niż do banku się dodzwonić. Mam nadzieję, że nie popiłeś. Słuchaj, potrzebuję takiego programu, co mi będzie zrzucał nagrania na dysk w czasie rzeczywistym. – Nagle zawiesił wzrok na Weronice i urwał.

Uznała, że to Mirek Grasicki, tutejszy konserwator, o którym wspominał wcześniej Adam.

– Może później przyjdę – dodał mężczyzna, ale nie ruszył się z miejsca.

– Nie, proszę zostać – odparła. – Ja już wychodzę. Przyszłam się tylko przywitać.

Żaden z nich nie pośpieszył z zapewnieniem, że im nie przeszkadza. Po prostu zastygli w bezruchu, czekając, aż sobie pójdzie. Wyszła więc na korytarz, próbując zagłuszyć pulsującą w głowie myśl, że cena wkurzenia Miłosza była jednak zbyt wygórowana.

Czyjaś sylwetka czaiła się w przedpokoju. To był mężczyzna. Czuła, że ją obserwuje, napawa się jej cierpieniem i walką

o oddech. Coś twardego wypełniało gardło, hamując dopływ tlenu. Dusiła się. Pieczenie rozlewało się po klatce piersiowej.

Obudził ją trzask drzwi wejściowych. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Dopiero po chwili dotarło do niej, że to był tylko sen. Wstała, przecierając oczy.

W progu salonu pojawił się Miłosz.

– I co? Wałkowali cię? – zapytała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– Jak zawsze. Nie mają żadnego tropu, to strzelają na oślep. – Starał się mówić bez emocji, ale znała go na tyle długo, że wychwyciła wibrującą w jego głosie złość.

– Co im dokładnie powiedziałeś?

– Jakie to ma znaczenie? Przecież nie chciałaś się w to mieszać.

– Ano takie, że byłoby dobrze, żebyśmy mieli spójną wersję.

Spojrzał na nią niechętnie.

– A to coś się zmieniło? – warknął. – Jednak chcesz mieć ze mną jedną wersję?

– Próbujesz się na mnie wyżywać? – rzuciła cicho i to podziałało, bo Miłosz trochę się uspokoił.

– Może i próbuję – odparł z rezygnacją. – Po prostu wkurwia mnie to wszystko. Wziąłem na stopa laskę, która przemoknięta stała na poboczu drogi. Ulitowałem się nad potrzebującym, bo zostałem wychowany w chrześcijańskim duchu, żeby pomagać bliźniemu. I co? I teraz mam z tego powodu same problemy. Ten pieprznięty katolicki kraj chce mnie ukarać za akt miłosierdzia. Muszę chodzić, tłumaczyć się, kiedy srałem, kiedy spałem. To jest kuriozalne, rozumiesz? Wszystko przez to, że podwiozłem dwa kilometry jakąś nieznajomą pannę.

Przymknęła oczy i odezwała się jeszcze ciszej:

– Po co właściwie byłeś w Krakowie?

Znów się zdenerwował.

– Ty też? Serio?! Tobie też muszę pięćdziesiąty raz tłumaczyć to samo? Przecież mówiłem ci, że jadę pozałatwiać sprawy w banku.

– Jakoś żadnej nie załatwiłeś. Naprawdę, mam dość tych niedopowiedzeń i kłamstw. Przeprowadziliśmy się tutaj, bo dostałeś niechciany spadek. Wszystko rzuciliśmy, żebyś mógł wypełnić idylliczną wizję swojej ciotki, której nawet dobrze nie znałeś. I jeszcze masz do mnie pretensje?

– Nie – powiedział twardo. – Rzuciliśmy wszystko po to, żeby zacząć od początku. Uciekliśmy przed przeszłością, którą ty zrujnowałaś.

ROZDZIAŁ 3

Wcześniej

Zapach smażonego czosnku z pomidorami, który unosił się w mieszkaniu, przywoływał wspomnienie włoskich wakacji. Miłosz bez słowa wlał czerwone wino do obu kieliszków.

– Ja dziękuję – powiedziała. – Będę jeszcze dzisiaj prowadzić.

Spojrzał na nią, unosząc brew.

– Prowadzić? Jest po dwudziestej.

– Edyta prosiła, żebym ją podrzuciła na dyżur stomatologiczny.

Odstawił butelkę na stół i spojrzał na nią uważnie.

– Nie kłam. Znów chcesz tam jechać.

Weronika oblizała spierzchnięte usta.

– Musisz mnie ciągle podejrzewać? To gorsze niż więzienie.

Pokręcił głową.

– A ty musisz to sobie robić? Nam to robić? Moglibyśmy spróbować żyć normalnie. Postarać się jeszcze raz.

– Ty naprawdę niczego nie rozumiesz! – wybuchła. – Jesteś zasranym egoistą, który myśli, że to jakaś popieprzona gra i wystarczy wymieniać w niej pionki! Czy do ciebie dociera, że co

noc czuję zapach mokrej cmentarnej ziemi i słyszę trzask wbijanej w nią łopaty?! Myślę o nim, o nich. Jak teraz wyglądają. Czy już ulegli procesowi rozkładu, czy mnie widzą i słyszą. Czy jeszcze kiedyś będę mogła ich dotknąć. Ja pierdolę, Miłosz, czy ty w ogóle wiesz, o czym rozmawiamy?!

Nie chciała płakać. Płacz ją osłabiał i była jeszcze bardziej bezbronna wobec myśli, że jego już nie ma. Za wszelką cenę musiała powstrzymać łzy gromadzące się pod powieką. Rozsadzający klatkę piersiową smutek przekuła w złość. Machnęła ręką, strącając ze stołu wypełnione do połowy kieliszki. Miłosz spojrzał na nią ze strachem. A może to było politowanie? Sięgnął po ręcznik papierowy i wytarł rozlane wino. Chciała, żeby krzyknął, przynajmniej wiedziałaby, że w nim też buzują te same emocje, ten sam smutek. Ale on bez słowa urywał kolejne kawałki ręcznika. Jakby świat zamykał się w celulozowych włóknach.

Teraz

Kolejne doby przyniosły jedynie porywiste podmuchy wiatru, deszcz i bezsenne noce. Trwały zbiory lawendy, za oknem wciąż przewijali się jacyś ludzie, ale to wszystko działo się obok. Nie dotyczyło jej i Miłosza pogrążonych w ponurych myślach. Nie dzielili się nimi, a jednak jakiś niewypowiedziany smutek emanował z każdego ich słowa. Praca była jedyną odskocznią. Codziennie o ósmej Weronika parzyła kawę, później porządkowała teczki uczniów, katalogowała książki. Życie wtoczyło się na nieznany jej dotąd tor, na którym jedynie rutyna dawała namiastkę bezpieczeństwa. Po powrocie do domu niepokój wracał.

Siedzieli właśnie w salonie, on przed telewizorem, ona z książką w ręku, gdy rozległ się dźwięk telefonu. Miłosz wyjął z kieszeni

komórkę i przez kilka sekund wpatrywał się z namysłem w wyświetlacz, po czym westchnął ciężko i odebrał. Kiedy słuchał, jego twarz na chwilę znieruchomiała.

– Nie jestem o nic oskarżony – powiedział w końcu. – I proszę mnie więcej nie nękać, bo to zgłoszę.

Weronika posłała mu pytające spojrzenie znad książki.

– Zasrane dziennikarzyny od siedmiu boleści. Jeszcze mają czelność dzwonić w niedzielę! – Ze złością rzucił telefon na stół.

– Ogólnopolskie?

– A gdzie tam, jakiś lokalny szmatławiec.

Przygryzła usta, żeby zdusić nieprzyjemny skurcz żołądka. Skoro sprawą zainteresowała się lokalna gazeta, plotki na dobre się rozkręcą.

– O co pytali?

– Czy jako podejrzany chcę udzielić komentarza do artykułu o, cytuję, „ostatnich głośnych morderstwach i mojego udziału w sprawie".

– Czyli mają już gotowca.

– Co? – Zaciągnął się dymem z elektronicznego papierosa i w powietrzu rozszedł się przyjemny zapach mango.

– Proszą cię o wypowiedź, bo tego wymaga etyka dziennikarska. Będą mieli pretekst, żeby napisać, że odmówiłeś komentarza, tyle.

Nerwowo sięgnął po pilota i wyłączył telewizor.

– To co, twoim zdaniem miałem się tłumaczyć przed jakimiś pismakami z powiatowej gazety?

– Miałeś nigdy nie brać tej dziewczyny do auta – odparła spokojnie.

– Szkoda, że w swojej sprawie nie byłaś taka zdroworozsądkowa! – prychnął i wyszedł na zewnątrz.

Następnego dnia z ulgą wsiadła do auta i ruszyła szutrówką wzdłuż lasu. Atmosfera panująca w domu była lepka jak późny

marcowy śnieg i Weronika naprawdę zaczęła się cieszyć ze swojej nowej pracy – przynajmniej na kilka godzin mogła odpocząć od męża.

– Nie bierz tego do siebie – oznajmił tajemniczo Adam na dzień dobry, od razu kierując się w stronę ekspresu.

Spojrzała na niego pytająco, choć przeczuwała już, o co chodzi. Zaplotła palce na kubku herbaty, żeby zająć czymś ręce. Bez słowa położył gazetę na jej biurku i zniknął za drzwiami gabinetu.

Czerwone litery na czarnym tle nie pozostawiały złudzeń. *Morderca znów zaatakował* – brzmiał nagłówek. Szybko przerzucała strony szarego papieru. Tekst zajmował całą stronę ósmą. Kolejne zdania układały się w ponury artykuł utrzymany w retoryce strachu. Nowa ofiara, ciało obce w gardle, morderca pozostaje nieuchwytny. Ułożony w kolumny tekst nie wnosił niczego nowego do sprawy, aż nagle w ostatnim, najkrótszym akapicie odnalazła to, czego podświadomie szukała. *W kręgu podejrzanych pozostaje jeden z mieszkańców wsi Szumy. Od naszych informatorów wiemy, że jako ostatni widział żywą Malwinę B., która w bestialski sposób została zamordowana 22 sierpnia. Mężczyzna, który w pierwszej połowie wakacji przeprowadził się do naszego powiatu z Krakowa, nie przyznaje się do winy. Po zatrzymaniu na siedemdziesiąt dwie godziny Miłosz K. został zwolniony do domu. Prokurator nie zdecydował się zastosować środka zapobiegawczego w formie zakazu opuszczenia kraju. Na ten moment nie wiemy, czy podejrzany miał jakiś kontakt z drugą ofiarą.*

Przestała czytać, mimo że do końca tekstu pozostało jeszcze kilka zdań. Artykuł nie szykanował jej męża, a jednak było w nim coś, co kazało z niepokojem myśleć o udziale Miłosza K. w bestialskim zabójstwie dwóch młodych kobiet.

– Ludzie pogadają i przestaną.

Aż podskoczyła na dźwięk głosu Adama. Nawet nie zauważyła, kiedy wrócił.

– Za dużo doświadczyłam, żeby przejmować się takimi dyrdymałami – powiedziała, chociaż tak naprawdę się przejmowała. Nie tym, co powiedzą ludzie. Bardziej tym, jaki finał będzie miała ta sprawa. Wierzyła, że Miłosz nikogo nie zabił, ale przecież nie mówił jej całej prawdy. Czuła to przez skórę.

– To musi być ktoś z zewnątrz – oznajmił z przekonaniem Adam. – Powinni rozszerzyć śledztwo na województwo, a może nawet kraj. Szumy to spokojna, nieco zapomniana przez świat wieś. Gdyby żył wśród nas ktoś taki, od razu byśmy się zorientowali. Tutaj niczego nie ukryjesz przed ludźmi, którzy codziennie zaglądają sobie do okien.

– Ciała dzielił dystans kilkunastu kilometrów – odpowiedziała, ważąc każde słowo.

– Mamy tutaj dość małe zaludnienie. Jedyna miejscowość w linii prostej to Popioły, ale o połowę mniejsza od Szumów. Pewnie dlatego policja skupiła się na nas. Więcej hipotetycznych linii śledztwa.

– Mój mąż niczego nie zrobił – stwierdziła nagle zaskoczona pewnością, która wybrzmiała w jej głosie.

– Wiem o tym.

– Wiesz? – Popatrzyła na niego zdumiona, bo on również powiedział to z całkowitym przekonaniem. – Niby skąd?

Wzruszył ramionami.

– Taka kobieta jak ty nie mogłaby mieszkać pod jednym dachem z facetem zdolnym do okrucieństwa. Jesteś na to zbyt inteligentna, natychmiast wychwyciłabyś sygnały.

– Chyba że działalibyśmy razem – odparowała prowokująco, ale natychmiast tego pożałowała.

Zapadła niezręczna cisza, którą po chwili przerwał śmiech Adama. Odetchnęła.

– Zadziora z ciebie. Ale spoko, też to przeszedłem. Człowiek naturalnie się wkurza i buntuje. A czasami, żeby obrzucili cię gównem, wystarczy znaleźć się w nieodpowiednim miejscu i czasie.

Pokiwała wolno głową. Nie chciała już dłużej o tym rozmawiać. Wystarczyło, że w domu wciąż wałkowali ten temat.

– Zastanawiam się, czy nie zorganizować klubu czytelniczego dla uczniów – rzuciła nieoczekiwanie. – Może w piątek po lekcjach.

– Możesz spróbować. Tylko nie pytaj o opinię Łukasza. Szybko ostudzi twój zapał. Jego projekt klubu czytelniczego nie dotrwał nawet do pierwszego spotkania, więc będzie chciał, żeby twój wynik był gorszy. Wiesz, męska ambicja i te sprawy.

– Myślałam, że jemu od początku nic się nie chciało.

Zatrzymała wzrok na nieumytych kubkach piętrzących się w zlewie. Kiedy wczoraj wychodziła ze szkoły, w gabinecie wciąż trwało spotkanie z przedstawicielami jakiegoś pedagogicznego wydawnictwa.

– Pilota samolotów rejsowych trudno utrzymać zamkniętego w bibliotece – powiedział.

– Pilota?

– Wrócił do Szumów, kiedy jego matka zachorowała. Chciał się nią opiekować. Umarła pół roku temu, a on chyba jeszcze tego nie przepracował i wciąż tu jest. Jakby wyjazd był ostatecznym przypieczętowaniem jej śmierci.

– Smutne.

Nagle nieprzystępność Łukasza wydała się jej uzasadniona. Dobrze wiedziała, jak trudno pogodzić się ze stratą.

– W końcu się otrząśnie i wróci do starego życia. Tylko musi przeżyć żałobę. Dlatego między innymi chciałem, żebyś pomagała w bibliotece. Muszę mieć kogoś w zanadrzu.

– Więc jestem kimś w zanadrzu? – zaśmiała się, dopijając zimną herbatę.

Rzucił jej nieprzenikniony uśmiech, po czym zniknął za drzwiami.

– No i byłoby świetnie, gdybyś ogarnęła ten zlew – dobiegło do niej przez ścianę. – Ja mam straszny problem z organizacją pracy w porządkowych kwestiach. – Zajrzał znów do sekretariatu, mrugnął i już go nie było.

Szowinista, ale uroczy – pomyślała z przekąsem, odkręcając wodę.

Pchnęła łokciem skrzypiące drzwi. W obu dłoniach trzymała plastikowe kubki z parującą czekoladą.

– Dawka koki na doładowanie energii – oznajmiła żartobliwie, stawiając przed Łukaszem jeden z nich.

– Dzięki – mruknął, zatrzymując wzrok na jej twarzy. Wpatrywał się w nią tak intensywnie, że aż poczuła się głupio.

– Podobno organizowałeś klub książki i całkiem nieźle ci szło.

W końcu przeniósł spojrzenie na swój kubek, podniósł go do ust i ostentacyjnie siorbnął czekoladę.

– Jeśli napisanie konspektu i zrobienie ogłoszenia o pierwszym spotkaniu uznajesz za sukces, to możesz zacząć mnie oklaskiwać. – W jego głosie znów wybrzmiała butna nuta, która nie pasowała do siwych pasm na skroniach.

– Nie o oklaskiwanie chodzi. Pomyślałam, że w duecie może uda nam się dobrnąć do pierwszego spotkania i tak z dziesięciu członków. Przypadnie wtedy piątka na głowę – powiedziała półżartem, obserwując jego reakcję.

Przez chwilę wpatrywał się w monitor, zawzięcie klikając w klawiaturę, po czym odezwał się cicho:

– Odpierdol się, okej?

– Przecież ja tylko chciałam…

– Nie obchodzi mnie, co chciałaś. Przychodzisz tutaj i zachowujesz się jak nadęta damulka, wokół której wszystko ma się kręcić. Chcesz robić klub? To sobie rób.

W tym momencie drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że Weronika aż podskoczyła. Łukasz bez słowa wstał zza biurka, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i minął w drzwiach Grasickiego.

– Zawsze jest taki drażliwy? – zapytała, próbując ukryć swoje zakłopotanie.

Konserwator w spłowiałych sztruksach, zza paska których wylewał się pokaźny brzuch, opadł głośno na krzesło.

– To dobry chłopak, ale chwilowo trochę zły na świat. Obwinia się i czasami popije, a na kacu to człowiek łatwo wybucha – powiedział, po czym wyjął z kieszeni chusteczkę w drobną kratę i wytarł nią twarz.

Tłumaczenie Grasickiego wydało jej się mało wiarygodne. Od Łukasza nie było czuć woni alkoholu.

– Obwinia się?

– Myśli, że gdyby został w Szumach, to ocaliłby matkę. Miała zaawansowanego mięsaka, nawet nie podjęła leczenia. Kiedy wyznała mu prawdę o chorobie, nie było już szans na nic poza opieką paliatywną.

– Dlaczego nie chciała się leczyć?

Weronika nie mogła zrozumieć, że w świecie, w którym niektórzy wyprzedają cały majątek, by dać sobie szansę na leczenie, ktoś z tego dobrowolnie rezygnuje. Chyba że nie ma dla kogo żyć. Matka Łukasza miała.

– Łukasz był jej oczkiem w głowie. Wychowywała go sama, pracując na trzech etatach. W dzień była fryzjerką, po południu kucharką na stołówce szkolnej, a wieczorami sprzątała domy co bogatszych gospodarzy z okolicy. Wszystko po to, by wykształcić swojego Łukaszka. Stary chłop już był, a matka zawsze imię mu zdrabniała. Jak spełnił swoje marzenie i zaczął samolotami latać, to pękała z dumy. Wiedziała, że jak się dowie o jej chorobie, to przyjedzie na stare śmieci i tym samym zaprzepaści karierę. Wolała więc jak najdłużej udawać, że nic się nie dzieje, umrzeć za te jego spełnione marzenia. Robiła wszystko tak, żeby przyjechał tuż przed jej śmiercią i jak najszybciej wrócił do swojego życia w Warszawie.

Konserwator złożył chustkę, zamyślił się, po czym znów podjął:

– Łudził się, że to dłużej potrwa. Sam mu tę posadę w szkole pomagałem załatwić. Aldona już wtedy właściwie nie kontaktowała. Była na silnych lekach, potem szybko do szpitala ją wzięli i już z niego nie wyszła. Umarła ponad pół roku temu.

– Był pilotem?

– Właściwie to jest, bo cały czas na niego czekają, urlop bezpłatny mu przedłużają i liczą, że wróci. Skubaniec dobry jest, nie raz maszynę sadzał w takich warunkach, że nikt inny by nie wylądował. Ale widzi pani, uparty jak osioł, siedzi tutaj i książki przekłada. Co to za robota dla kogoś, kto głowę i dwie ręce sprawne ma?

Spojrzał na nią, jakby dopiero teraz ją dostrzegł.

– Ja tak plotę bez sensu, a pani tu przecież też pracuje. Ale mnie to bardziej chodziło, że to nie dla faceta robota. A na pewno nie dla pilota. A jak tam mąż się trzyma? Cisną go mocno, co? – Oparł łokieć na stole i zaczął sobie dłubać paznokciem między zębami.

– Radzimy sobie – odparła ostrożnie.

– Gówniarzy nazatrudniali, co nawet śledztwa poprowadzić nie potrafią. Nie trzeba być Sherlockiem, żeby wydedukować, że gdyby facet chciał zabić dziewuchę, to nie brałby jej do auta na oczach przynajmniej kilku osób, a później nie zasłaniał się wątpliwym wykrętem, że w pole pobiegła.

– Chyba że zrobił jej krzywdę w wyniku impulsywnego działania na skutek na przykład dużego wzburzenia – powiedziała prowokująco, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Ta myśl pojawiła się tak nagle, że nie potrafiła jej powstrzymać.

– Więc nawet pani mu nie wierzy? – Grasicki pogładził wąsy i chyba ten gest przywołał ją do porządku, bo natychmiast zapewniła:

– Oczywiście, że wierzę.

Spojrzał na nią bez przekonania.

– Ile czasu minęło od momentu, kiedy widziano go we wsi z dziewczyną, do chwili, gdy był z powrotem w domu?

– Jakieś trzydzieści minut.

– A w aucie znaleziono jakieś ślady mikrobiologiczne denatki?

Pokręciła przecząco głową.

– No więc biorąc pod uwagę, że sam czas przejazdu zajmuje przynajmniej piętnaście minut, pani mąż musiałby być cholernym magikiem, żeby w tak krótkim czasie ukryć ciało i nie zostawić żadnych śladów. Wiem, bo kiedyś pracowałem w policji – dodał. – Teraz dorabiam sobie na emeryturze, zresztą w domu by się człowiek zanudził. No a tam, gdzie znaleziono zwłoki, kręci się sporo osób, za duże ryzyko. Ta dziewczyna zapewne zginęła gdzie indziej, wie pani, w bardziej ustronnym miejscu. Pani mąż musiałby ją zabić, a później ukryć ciało i podrzucić je dopiero pod osłoną nocy. Tego nie da się zrobić w kwadrans. Chyba że miał wspólnika.

– Mój mąż jest niewinny.

– W tej sprawie owszem – odparł konserwator. – Tyle że ktoś nieźle bawi się jego i naszym kosztem. Pozostaje jedynie odpowiedzieć na pytanie kto, ale do tego trzeba mieć trochę sprytu i doświadczenia – oznajmił, a a jego ostatnie słowo zostało zagłuszone przez szuranie krzesła.

Kiedy wyszedł z biblioteki, Weronika siedziała nieruchomo przy biurku, zastanawiając się nad tym, o której tak naprawdę Miłosz wrócił do domu. Policji i Grasickiemu powtórzyła wersję, którą kazał powiedzieć jej mąż. W rzeczywistości pojawił się w domu przynajmniej dwa kwadranse później, niż zeznała.

Wcześniej

Światła migotały na tle czarnego nieba, muzyka pulsowała pod skórą, rozpraszając rytmiczne drgania od pępka aż do skroni.

– No chodź, nie daj się prosić. Nie wychodziliśmy razem od lat. – Miłosz pociągnął ją za rękę w stronę diabelskiego młyna.

– Nie, nie lubię odrywać stóp od ziemi. Zresztą i tak już kręci mi się w głowie po winie.

– Nie żartuj. Przecież oświadczyłem ci się na czymś takim, a ty mi teraz mówisz, że masz lęk wysokości.

– Nie powiedziałam, że mam lęk wysokości – odparła ze śmiechem. – Zresztą London Eye jest nieco bardziej stabilną konstrukcją niż ta kupa złomu. I na pewno częściej przechodzi przeglądy techniczne.

– Przestań być taka racjonalna. Idziemy i nie ma gadania.

Podniósł ją i przerzucił sobie przez ramię. Udawała, że się opiera, chociaż tak naprawdę czuła się jak nastolatka na pierwszej randce i chciała, żeby ta chwila trwała jak najdłużej. Beztroska i radość – już tak dawno tego nie doświadczyła. Chwilę

później stali w kolejce po bilety na diabelskie koło. Dochodziła dziewiętnasta, a mimo to przed kasą kłębił się spory tłum hałaśliwej młodzieży. I nagle zobaczyła ją wśród roześmianych dziewczęcych twarzy. Ściskała za ramię kilkulatkę, pewnie wnuczkę. Weronika wstrzymała oddech, narastająca w niej wściekłość coraz szybciej tłoczyła do serca krew.

– Wera, co ci?

Głos męża wydawał się odległy, nierzeczywisty, jakby dobiegał z jakiegoś zamkniętego pomieszczenia. Muzyka zlała się w jeden przeszywający dźwięk. Miłosz ścisnął ją za ramię, ale tego nie poczuła. Po prostu straciła panowanie nad kończynami. Ciało zaczęło działać niezależnie od mózgu. Ocknęła się dopiero, kiedy kucała przy drobnej kilkulatce z włosami związanymi w kucyk. Dziewczynka przyglądała jej się z zainteresowaniem bez cienia strachu. Nie miała pojęcia, ile mogło to trwać. Pewnie sekundy, choć przysięgłaby, że długie minuty. Później rozległ się kobiecy krzyk i czyjeś ręce odciągnęły ją od małej. Nie opierała się, bez słowa pozwoliła się zaprowadzić Miłoszowi do samochodu. Mówił coś wyraźnie wzburzony, gestykulował. Nie zwracała na niego uwagi, skupiła się na czymś innym. Za wszelką cenę chciała zapamiętać twarz tej dziewczynki, każdy jej szczegół. Piegi, kształt nosa, pojedyncze pasma włosów opadające na czoło. Nie wiedziała dlaczego, ale czuła, że powinna to zrobić. Myśl, że ta mała jest zapewne całym życiem Heleny Kochańskiej, była jak zapalnik.

ROZDZIAŁ 4

Teraz

– Pomyślałem, że zimą możemy wyremontować górę. Będzie więcej miejsca, to może bardziej się zadomowimy. – Miłosz przerzucił stronę w gazecie.

– Myślisz, że nowe meble nie nasiąkną tym wszędobylskim smrodem starości? Chwilami mam wrażenie, że ja już też tak śmierdzę.

– Przesadzasz. Stare domy mają specyficzny zapach, ale to wcale nie jest smród starości. To szlachetna woń kilkudziesięcioletniego drewna.

– Miałam taką zdziwaczałą ciotkę, starą pannę, do której czasami zabierała mnie mama, gdy byłam mała. Lubiłam ją, bo zawsze częstowała mnie niemieckimi czekoladkami. Umarła w samotności jako schorowana dziewięćdziesięciolatka. Ostatni rok przed jej śmiercią, kiedy mama próbowała mnie nakłonić, żebym przekroczyła próg jej mieszkania, dostawałam histerii. Kurczowo trzymałam się wycieraczki i tupałam nogami. Wiesz dlaczego? Bo w jej domu panował przenikliwy zapach. Miałam

cztery, może pięć lat i nie rozumiałam, dlaczego ten zapach tak bardzo mnie przeraża. Uświadomiłam to sobie kilka lat później. Bałam się go, bo go znałam. Ze sklepu mięsnego. Tak właśnie pachniało ciało, z którego ulatywało życie. Jak stare mięso. Ten dom cały przeniknął tym smrodem.

Miłosz przewrócił oczami.

– Cóż za przypowieść z morałem o zepsutym mięsie. Może zostaniesz pisarką zamiast sekretarką? Dobra, nic na siłę, nie chcesz remontu, nie będzie remontu.

– Nie chodzi o remont, tylko o ten dom. I o tę całą wieś. Tu jest zła energia. Decyzja o sprzedaży mieszkania w Krakowie była zbyt pochopna.

– Musimy się zaaklimatyzować.

– Chciałabym wrócić. Albo jechać gdzieś indziej.

– Przecież masz tu pracę.

– Sam mówiłeś, że jest poniżej moich kompetencji.

– Bo jest, ale skoro już czegoś się podjęłaś, to powinnaś dotrwać przynajmniej do wakacji. Później pomyślimy.

Nie odpowiedziała. Dochodziła siódma rano, więc i tak powinna się już zbierać. Bez słowa ruszyła do przedpokoju, włożyła buty, flauszowy płaszcz w grubą kratę i po chwili siedziała już w aucie. Włączyła lokalne radio, żeby zagłuszyć miarowe rzężenie silnika. Usłyszała słowa biesiadnej przyśpiewki i już miała zmienić stację, ale muzyka nagle ucichła. *Szanowni państwo przerywamy audycję* – odezwał się dziennikarz poważnym głosem. – *Nieoficjalnie udało nam się dowiedzieć, że w lesie powiatu ostródzkiego odnaleziono kolejne kobiece zwłoki. Próbowaliśmy skontaktować się w tej sprawie z rzecznikiem policji, ale w tej chwili jest nieuchwytny. Wszelkie nowe informacje będziemy podawać na bieżąco.*

W pierwszym odruchu chciała zawrócić, szybko uznała jednak, że powinna zachowywać się naturalnie. Być może ktoś z policji

obserwował jej samochód. Drżącą ręką wybrała numer Miłosza.

– Odpal stronę radia Wiosna i przeczytaj sobie na spokojnie, co się znowu odpierdoliło. Pogadamy, jak wrócę – rzuciła, po czym momentalnie się rozłączyła. Nie chciała, żeby powiedział cokolwiek, co mogłoby go obciążyć. Mogli być na podsłuchu.

Dzień w pracy dłużył się niemiłosiernie. W sekretariacie odliczała minuty pomiędzy parzonymi dla gości kawami, a w bibliotece Łukasz przez cały dzień oglądał jakieś strony z długimi blokami tekstu bez zdjęć. Weronika nie znalazła w sobie siły, by zagaić go o to, co czyta. Podejrzewała, że chodzi o lotnictwo: może przyswajał nowe przepisy. Chociaż równie dobrze mógł szukać prezentu dla swojej dziewczyny albo czytać przepisy kulinarne – uznała i znów zaczęła myśleć o kolejnej zbrodni, o tym, na ile mogła być powiązana z Miłoszem. Ostatnio każdą noc spędzał w domu, nie szwendał się nigdzie wieczorami. Nie, to nie on. Nie mógł tego zrobić. Chyba że zabójstwa dokonano w środku dnia, może rano. Szybko stwierdziła, że ta hipoteza jest mało wiarygodna. Jej mąż tuż po śniadaniu nie wychodził na spacer po to, żeby zabijać nieznajome kobiety.

– Zasrani idioci, po jaką cholerę podają takie informacje do wiadomości publicznej, skoro nie mają konkretów. – Konserwator wparował do biblioteki i opadł ciężko na krzesło. – Chyba tylko po to, żeby wzbudzić panikę.

Łukasz spojrzał na niego nieprzytomnym wzrokiem. Najwyraźniej myślami był zupełnie gdzieś indziej.

– Co znowu? – rzucił, nadal wodząc oczami po monitorze.

– Znaleźli truposza w lesie, tym razem między Popiołami a Miedzianą. Podobno już w stanie rozkładu. Jakieś dwa, może trzy miesiące w ziemi poleżał.

– Oszczędź nam, proszę, szczegółów – mruknął Łukasz.

Weronika gorączkowo przeliczała w głowie tygodnie. Jeśli ciało rzeczywiście przeleżało w ziemi tyle czasu, zabójstwo tej dziewczyny mogło zbiec się z przeprowadzką Miłosza do Szumów. Przez ponad miesiąc mieszkał tu sam. Czy to możliwe, że wyjechał wcześniej, żeby mordować?

Promienie słońca wlewały się przez zakurzone szyby do salonu. Miłosz podniósł wzrok znad ekranu telefonu.

– Może gdzieś wyskoczymy na weekend w przyszłym miesiącu? Krynica? Uwielbiasz morze w listopadzie. Spróbujmy trochę pożyć, zamiast karmić się cudzą tragedią, która nas nie dotyczy.

– Jak to nie dotyczy? – zdziwiła się. – Przecież ciągle cię przesłuchują.

– Przechodziliśmy już trudniejsze rzeczy. – Spojrzał na nią wymownie. – Nic na mnie nie mają. Kompletnie nic.

Westchnęła.

– Gdybyśmy wstrzymali się kilka miesięcy ze sprzedażą mieszkania, teraz moglibyśmy wrócić do punktu, w którym wszystko porzuciliśmy.

– Nie ma do czego wracać. Tam już nic nie było, została tylko ciemność… – Odchrząknął i dodał bardziej twardym tonem: – Zresztą, mówiłem ci już, jeśli teraz uciekniemy, to będzie tak, jakbym przyznał się do winy.

Weronika siedziała przez chwilę cicho, zastanawiając się, czy wypowiedzieć dręczące ją myśli, czy zachować je dla siebie. Ale nie, nie mogła ich dłużej w sobie trzymać. Powoli wypuściła z płuc powietrze i odezwała się cicho:

– Ta dziewczyna, którą znaleźli dzisiaj, zginęła dwa, trzy miesiące temu. To mniej więcej wtedy, kiedy się przeprowadzaliśmy. Kiedy ty się przeprowadziłeś.

Kiedy kilka tygodni Miłosz mieszkał w Szumach sam, Weronika w tym czasie próbowała stanąć na nogi, zacząć wszystko od nowa w możliwie najlepszej formie. Farmakologia i psychoterapia miały ją przygotować do tej zmiany.

Przełknął głośno ślinę i spojrzał na nią trochę ze zdziwieniem, a trochę z pretensją. Pomyślała o jego ciepłej skórze dłoni, miękkich ustach, wszystkich słowach, które pozwoliły jej wydobyć się z ciemnej otchłani. Miłosz był jej punktem odniesienia. Współrzędną, która pozwalała określić miejsce w przestrzeni. Teraz przyszła jej kolej. Musiała być jego stałą, niezależnie od tego, co tak naprawdę się wydarzyło. Była mu to winna.

– Zanim ruszy klub, może zrobimy lekcję biblioteczną dla maluchów? Pierwsza klasa to jeszcze dość wdzięczne i zasłuchane audytorium – zagadnęła do Łukasza, który właśnie wepchnął sobie do ust kolejnego rogalika ociekającego lukrem, więc zamiast odpowiedzieć, wzruszył jedynie ramionami. – Na tapet moglibyśmy wziąć na dobry początek książkę *Pilot i ja* – dodała, obserwując jego reakcję.

Przełknął i dopiero wtedy popatrzył jej w oczy.

– Dlaczego akurat tę? – zapytał.

– Bo połączymy ją ze spotkaniem z pilotem z krwi i kości, który opowie dzieciakom o lataniu.

– Chcesz się wspinać po moich plecach, co? – obruszył się, ale zaraz potem głośno się roześmiał. Po raz pierwszy, odkąd go poznała. – Coś tam mogę poopowiadać – dodał jakby łagodniej. – Może jakiś dzieciak dzięki temu znajdzie sobie w życiu cel. Cel jest ważny, bo wtedy wszystko nabiera sensu. Nawet matma.

– W takim razie uprzedzę Adama o naszych planach. A właściwie to… – Nie była pewna, czy powinna zadać to pytanie,

ale ciekawość zwyciężyła. – Nie chciałbyś wrócić do latania? Swojego starego życia?

Na ułamek sekundy jego twarz stężała. Weronika spodziewała się emocjonalnego wybuchu, ale on po chwili odpowiedział ze spokojem:

– Tamto życie nie ucieknie, a to są ostatnie momenty, żeby spędzić z moją mamą trochę czasu. W domu wciąż jeszcze są jej ślady… – Zmieszał się. – Nieważne, plotę bez sensu.

Nieprawda, ona aż za dobrze wiedziała, o czym mówił. I coraz bardziej go rozumiała.

Godzinę później wsiadła do samochodu. Zanim ruszyła, wpatrywała się przez kilka minut w wyświetlacz telefonu. W końcu otworzyła spis numerów i znalazła kontakt przypisany do zdjęcia, z którego uśmiechała się drobna blondynka w kolorowym sombrero. Wakacje życia tuż po maturze, na które Julia zarobiła, pracując wieczorami w recepcji hotelu przez okrągły rok. Kliknęła w zieloną słuchawkę. Ciepły, pełen radości głos.

Cześć, tu Julka. Nie mogę teraz odebrać, ale postaram się oddzwonić, jak tylko znajdę chwilę. Nawet jeśli będzie to oznaczać, że zadzwonię w przyszłym roku.

Krótkie piknięcie informujące o tym, że nagrywanie się rozpoczęło.

Serce Weroniki zatrzepotało. Rozłączyła się. Kilka miesięcy po tym wszystkim wciąż jeszcze zostawiała wiadomości, opowiadała o tym, co działo się w jej życiu, o czym myślała, co czuła – dzięki temu miała wrażenie, że nic się nie zmieniło. Jakby Julka miała zaraz przerwać jej monolog i zacząć się pieklić, że zapycha jej skrzynkę pierdołami. W takich sytuacjach Weronika szybko pytała o jej samopoczucie – to zawsze działało, siostra lubiła atencję, ale teraz dotarło do Weroniki, że jej już nie ma. Nie ma.

Dwa słowa wypatroszone z emocji, pozbawione tęsknoty i poczucia straty. Czy można wyrazić brak w świecie pełnym ludzi i zdarzeń?

Odpaliła powoli samochód i ruszyła przed siebie, wciąż jednak słyszała sygnał przerywanego połączenia. Wibrował w każdym centymetrze jej ciała.

– Jakoś tak buro się zrobiło bez tej lawendy. – Miłosz odchylił roletę i spojrzał za okno.

– Mhm – mruknęła, leżąc na sofie i wpatrując się w sufit.

– Dobrze się czujesz? – W chropowatym głosie męża pobrzmiewała autentyczna troska.

– Głowa mnie boli. Miałam ciężki dzień w pracy.

– Parząc kawę i wstukując książki do folderu w kompie, można mieć ciężki dzień? – spytał ironicznie i całą troskę momentalnie trafił szlag.

Weronika poruszyła się nerwowo i odrzuciła koc.

– Nie bądź cyniczny. A na czym polega aktualnie twoja praca? Bo z tego, co zdążyłam zauważyć, to głównie kręcisz się między kanapami.

– Mam ci się tłumaczyć? – Parsknął, ale zaraz potem spolegliwie skinął głową. – Niech będzie. Firma jest jak naczynia połączone. Każdy element musi być maksymalnie wydajny, żeby wszystko grało. Ja zadbałem o to kilka lat temu, żeby żadne z ogniw nie położyło mi pracy. Dzisiaj procesy są już tak ustandaryzowane, że wystarczy, jeśli zajrzę do biura raz na kilka tygodni. Czasami pojadę osobiście po jakiś model VIP. Dzięki temu możemy tu mieszkać i żyć za kasę, która sama się dla nas zarabia w Krakowie.

– Ustandaryzowane procesy? – prychnęła. – Zajmujecie się sprowadzaniem powypadkowych aut z zagranicy, a nie

tworzeniem leków czy szczepionek.

– Teraz ty mnie wyśmiewasz.

– Nie wyśmiewam. Stosuję jedynie twoją retorykę. Zresztą nieważne.

– Będę musiał wyjechać na parę dni. Obiecałem Szymonowi, że skoczę z nim po beemkę na Słowację, bo tam jest jakiś problem z papierami.

– A co z przesłuchaniem? Co, jeśli będą chcieli, żebyś znów się stawił?

– Nie sądzę. Wszystko powiedziałem i nie mam nic do dodania. Przecież nie będę tu siedział i czekał, aż łaskawie zechcą mnie wezwać. Nie mam zakazu opuszczania kraju, a tym bardziej Szumów. Mój prawnik wszystko załatwi, gdyby trzeba było. Znalazłem naprawdę rozgarniętego gościa, który wie, jak gadać z takimi odklejonymi pseudośledczakami. No i mam swoje wtyki tam, gdzie trzeba – uśmiechnął się z satysfakcją. – Ptaszki u góry ćwierkają, że w końcu mi odpuszczą.

– Boję się sama tu zostać. To już trzy kobiety. Nie wiadomo, kto będzie następny.

Skłamała po to, by sprawdzić jego reakcję. Śmierć z rąk anonimowego mordercy bez twarzy i tożsamości wcale nie wydawała jej się straszna – o ile nastąpiłaby szybko. Dużo bardziej przerażała ją bezradność. Na Miłoszu jednak te słowa nie zrobiły najmniejszego wrażenia.

– W Krakowie ginie tyle kobiet w miesiąc, co tu przez ostatnie stulecie – odparł lekko. – Zresztą żadna z ofiar nie została wywleczona siłą z domu i zabita. Zabójca raczej polował na nie w lesie, gdzieś z dala od innych ludzi. A ty będziesz tu z Marcinem.

– Skąd wiesz? – zapytała napastliwie, a on spojrzał na nią, jakby żartowała.

– Co wiem?

– Że nie wywlekał ich z domu?

Wzruszył ramionami.

– Bo ich ciała znaleziono w terenie, prawda? Zresztą jaki seryjny zabójca morduje w domu, gdzie łatwo zostawić milion śladów? Myśl logicznie. Wtedy by już dawno go mieli.

Jego odpowiedź na jej pytanie brzmiała zupełnie inaczej niż poprzednie stwierdzenie – nie było w niej tamtej pewności.

– Nie wiem, czy to, że zostaję z Marcinem, powinno mnie uspokajać. Nie widzisz, że ten koleś jest śliski? – syknęła, rozglądając się nerwowo na boki, bo Marcin pojawiał się w ich domu w zupełnie nieoczekiwanych momentach. – Czai się, łazi za nami, podsłuchuje.

Miłosz spojrzał na nią z rozbawieniem.

– Chyba trochę przeginasz. Może rzeczywiście jest zdziwaczały, ale bez przesady. Jakbyś mieszkała latami w tej dziurze zabitej dechami, też byś się tak zachowywała. Załatwię, co mam załatwić, i wrócę.

Nie odpowiedziała. Uznała, że to, czy Miłosz jest w domu, czy go nie ma, jest dla niej bez znaczenia. Musiała się skupić na czymś znacznie ważniejszym. Zagłuszeniem powracających w jej głowie myśli.

Wcześniej

Obcasy zapadały się w grząskie błoto. Czerwona tabliczka z napisem „Przedszkole nr 4” ociekała październikowym deszczem. Pchnęła ciężkie drzwi.

– Pani Weroniko, dzień dobry. Tak wcześnie? – Dyrektorka z kubkiem kawy w ręku zmierzała właśnie do swojego gabinetu.

– To mój pierwszy dzień, nie chciałam się spóźnić – odparła, składając parasolkę.

– Jeszcze nawet nie zdążyłyśmy pani przypiąć w naszej gablotce.

Rzeczywiście, na korkowej tablicy kolorowymi literami wypisano wszystkich członków kadry pedagogicznej – wszystkich, oprócz niej.

Poczuła, jak po plecach spływa jej zimna strużka potu.

– Nie śpieszy się. Szczególnie że tydzień temu wyszłam za mąż, a w dokumentach mam jeszcze panieńskie nazwisko, więc mogą mnie już państwo powiesić w nowym wydaniu – zaśmiała się, a jej wysoki głos poniósł się po korytarzu.

Robiła dobrą minę do złej gry. W środku aż trzęsła się z wściekłości, że taka drobnostka jak tabliczka z nazwiskami członków kadry pedagogicznej może popsuć jej plany. Miała nadzieję, że gładkie kłamstwo wystarczy, by z tego wybrnąć.

– Jasne, jak pani woli. Proszę się zgłosić do pani Kasi, ona zajmuje się tutaj naszą całą oprawą wizualną. A ja życzę udanego pierwszego dnia w pracy. – Dyrektorka uniosła kciuk.

– Zrobię kawę i stawiam się w grupie trzeciej. Mamy zajęcia zapoznawcze. Chciałabym jak najszybciej poznać dzieciaki.

– Bardzo się cieszę, ale proszę działać na spokojnie. Długo szukałyśmy psychologa, tak więc dzieci, które mają deficyty, są naprawdę zaniedbane. Mam nadzieję, że uda się pani szybko nawiązać kontakt z grupą.

– Zrobię, co w mojej mocy.

Dziesięć minut później z mocno bijącym sercem weszła do kolorowej sali o ścianach wyklejonych wycinankami, która aż wibrowała od hałasu.

Drobna szatynka dwa razy dmuchnęła w zawieszony na szyi gwizdek i głosy ucichły. Przedszkolanka mówiła coś do wpatrzonych w nią dzieci, ale Weronika przestała słuchać, gdy

tylko pomiędzy twarzami dostrzegła tę jedną. Proste włosy do ramion, blade policzki, okulary druciki. Alina Kochańska. To właśnie z jej powodu tu była.

ROZDZIAŁ 5

Teraz

– Dwa razowe i herbatę liściastą – mruknęła do anemicznej ekspedientki, która powoli sięgnęła po chleb leżący w przykurzonej plastikowej skrzynce.

Za plecami Weroniki ustawiła się krótka kolejka. Po sklepie rozchodził się cichy szmer. Czuła wlepione w siebie spojrzenia. Miała nieprzyjemne wrażenie, że jest tematem toczących się właśnie rozmów.

– Kartą.

– Tylko gotówka. Terminal dzisiaj nie łapie. Chyba wi-fi słabe.

Przewróciła oczami, grzebiąc nerwowo w kieszeni.

– Cholerna dziura – mruknęła do siebie, po czym zwróciła się do dziewczyny za ladą: – Zapłacę jutro, dobrze? Bo nie mam przy sobie gotówki.

– Na zeszyt dajemy tylko miejscowym. Ale niech będzie. Wyjątkowo.

– Przecież ja jestem miejscowa – zaśmiała się i szmery ucichły. W sklepie zapadła głucha cisza.

Gdy zgarnęła zakupy do bawełnianej torby z logo krakowskiego zoo, z kolejki wystąpiła starsza kobieta. Spod niechlujnie naciągniętego beretu wystawały tłuste włosy. Splunęła pod jej nogi.

– Wypad stąd, jak ci się nie podoba.

Weronika spojrzała na nią zaskoczona. Nagle zabrakło jej tchu.

– Przepraszam, chciałabym przejść – powiedziała cicho, ale stanowczo.

– Patrzcie, jaka to kulturalna się znalazła! Mężulek też taki kulturalny? Szanowni państwo się znaleźli, a w rzeczywistości patologia jakich mało! – Prychnęła kobieta w berecie, po czym zrobiła krok w jej stronę. – Wypieprzajcie stąd, bo my naszym siostrom i córkom ginąć z rąk jakiegoś psychopaty z miasta nie damy.

– Mój mąż nic nie zrobił.

– Nic nie zrobił. Naprawdę? A dziewczynę do samochodu kto wziął? A później jak śmiecia półgołą wyrzucił. Od nas ona nie była, ale człowiek to człowiek, każdemu się życie należy. A kolejna to już z wioski obok, zaraz i za nasze się weźmie, zboczeniec. Dziwacy ani kawałka dzieciaka nie mają, to zberezeństwa do głowy przychodzą. Jaki mąż, taka żona!

Okrucieństwo płynące z tych słów niemal sparaliżowało Weronikę.

– Mój mąż nic nie zrobił – powtórzyła z wysiłkiem. To jedyne, co było w stanie przejść przez jej zaciśnięte z wściekłości gardło.

Ludzie w kolejce zaczęli się niespokojnie kręcić.

Przepchnęła kobietę ramieniem i z ulgą wyszła na zewnątrz.

– W szkole jeszcze z dziećmi pracuje czarownica jedna. – Dobiegło jeszcze do niej zza zamykających się drzwi.

Gwałtownie wciągnęła do płuc przesiąknięte wilgocią powietrze. Oddychała tak łapczywie, jakby właśnie wynurzyła się na

powierzchnię. Serce waliło jej jak oszalałe. Po plecach ściekała zimna strużka potu. Nagle dotarło do niej to, o czym starała się nie myśleć przez kilka ostatnich tygodni. Te dziewczyny nie żyją. Ktoś odebrał je ich bliskim. Przerwał ich życie. Zostały po nich niedoczytane książki i nieodebrane paczki. Został brak.

– Prześlesz mi pytania?

Zdezorientowana spojrzała na Łukasza.

– No te na jutro, żebym się przygotował – dodał. – To, co teraz zasieję w głowie tych dzieciaków, może zostanie w nich na całe życie.

Dopiero po chwili zrozumiała, o czym on właściwie mówi. Zaskoczyło ją, że tak bardzo przejmuje się wystąpieniem przed kilkulatkami, ale na swój sposób było to urocze.

– Jasne.

– Chciałbym jak najlepiej im opowiedzieć o tym, jak to jest latać, zobaczyć wszystko z góry.

– Nie tęsknisz za tym?

Zamyślił się.

– Tęsknię. Podobnie jak za moją dziewczyną – odparł w końcu. – Ale czasami dobrze jest zatęsknić, żeby dostrzec wartość niektórych spraw i ludzi.

– Nie jeździsz do niej?

– Nie. – Zmarszczył czoło, jakby znów nad czymś się zastanawiał. – Eliza czeka na Łukasza pilota, człowieka z pasją i ambicjami. Nie na Łukasza bibliotekarza z Szumów. Wrócę do niej, gdy znów będę sobą. Łukasz z Szumów nie ma o czym gadać z Łukaszem z Warszawy. – Mrugnął do niej porozumiewawczo.

– A to tak można? Mieć dwie wersje siebie i używać ich w zależności od potrzeb?

Pomyślała o sobie sprzed kilkunastu miesięcy. Była wtedy zupełnie inną osobą. Świat też był inny. Czy przez to, że w miarę upływu czasu zmieniają się nasz system wartości i marzenia, stajemy się obcy dla siebie samych? Czy Weronika z przeszłości miała coś wspólnego z Weroniką z teraz? Popatrzyła na tamtą wersję siebie jak na kogoś obcego. Obcego i nieodgadnionego.

– Przemyśl to jeszcze – powiedziała. – Nie można wrócić do przeszłości. Czas biegnie, wokół dzieją się rzeczy, które nas zmieniają. Poprzednie wersje po prostu znikają zastępowane przez nowe, a my możemy je jedynie wspominać. Jak tych, którzy odeszli – dodała ciszej.

Ale Łukasz już jej nie słuchał. Myślami był już gdzieś indziej i z kimś innym.

Weszła do salonu, w którym panował nieprzyjemny chłód. Przez otwarte okno napływało listopadowe powietrze.

– Tak jak się umawialiśmy – wycedził Miłosz i dopiero w tym momencie za jego plecami dostrzegła cień sylwetki. Przystanęła w takim miejscu, że mężczyźni nie byli w stanie jej dostrzec.

– Mam tylko twoje słowo. To trochę mało. Biorąc pod uwagę, że obecnie nie cieszysz się zaufaniem. – W głosie Marcina pobrzmiewała ironia.

– Nie pierdol. Dobrze znasz warunki umowy. Wywiążę się. Jak zawsze.

Przypadkiem zahaczyła torbą o ceramiczną doniczkę i ta przesunęła się z piskiem po parapecie.

Miłosz odwrócił się niespokojnie.

– Wera? Nie wiedziałem, że będziesz wcześniej. Odgrzałbym obiad – rzucił lekko, ale znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, kiedy próbuje ukryć zdenerwowanie.

– Jestem jak zwykle – mruknęła, nie spuszczając wzroku z Marcina.

– To ja pójdę ogarnąć zamówienia – powiedział chłopak. – Wie pani, trzeba przygotować gospodarstwo na mrozy.

– Nie – oświadczyła zaskoczona własną stanowczością. Miłosz spojrzał na nią ze zdziwieniem. – Tyle czasu tu mieszkamy, a właściwie się nie poznaliśmy. Może w końcu przestaniesz mi „paniować", jak zjesz z nami obiad. Strasznie mnie to postarza. – Wykrzywiła usta w grymasie udającym uśmiech. – Wstawię zapiekankę do piekarnika i za dwadzieścia minut będzie obiad. A przez ten czas napijemy się wina.

Sama nie wiedziała, dokąd miało ją to zaprowadzić, ale czuła, że mąż ukrywa przed nią znacznie więcej, niż podejrzewała. I ma to jakiś związek z tym mężczyzną. Nie liczyła, że za sprawą butelki merlota rozwiąże im języki, chciała po prostu sprowokować Miłosza, postawić go w niekomfortowej sytuacji. Sprawdzić jego reakcję, a jednocześnie przyjrzeć się bliżej Marcinowi, który budził w niej nieokreślony strach.

– Jasne, świetny pomysł. Po co masz siedzieć sam w kanciapie, skoro możesz zjeść z nami. Moja żona może nie jest wirtuozem gotowania, ale zapewniam cię, że to, co przygotowała, jest na pewno lepsze niż twoje standardowe menu. Co tam zawsze zajadasz w porze obiadowej? Tosty z serem z opiekacza? – Miłosz zaśmiał się, jakby opowiedział dobry żart, ale i tak w jego chichocie Weronika usłyszała nerwową nutę.

– Skoro nalegacie, nie wypada mi odmówić. – Marcin położył dłonie na oparciu ciężkiego krzesła i powoli je odsunął. – Szefa trzeba słuchać.

Pierwsze kilkanaście minut rozmowy podczas obiadu upłynęło im na błahej wymianie zdań dotyczących zbiorów i sprzedaży

lawendy. Marcin zakołysał kieliszkiem, wpatrując się we wzburzone wino.

– Stara Dąbroszczakowa dała w sklepie popis, co? Nigdy nie umiała trzymać języka za zębami. – Kiedy to mówił, oczy pobłyskiwały mu z rozbawienia.

Weronika znienacka poczuła się zawstydzona, jakby złapał ją na czymś kompromitującym, odpowiedziała jednak lekko, nie zdradzając się z tym, że tamta scena wiele ją kosztowała:

– Pogadają i przestaną. Prowincja rządzi się własnymi prawami.

– Co się wydarzyło w sklepie? – Miłosz przenosił spojrzenie z niej na Marcina i z powrotem, próbując zrozumieć, o czym mówią.

– Szumy to spokojna wieś. Ludzie zaczęli się bać, więc atakują na oślep. Przestaną. No chyba że…

– Chyba że co? – zapytała napastliwie, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– Roguszczak chodzi i opowiada, że mordercę tej dziewczyny z Popiołów widział. – Marcin upił łyk wina, nie odrywając wzroku od Miłosza. Kolejne słowa wypowiadał powoli, jakby rozkoszował się każdym z nich. – Głupoty gada, nikt jego słowom wiary nie da. Ferment jak zawsze sieje. Mało to już razy plotki jakieś wymyślał. Ale prawda jest taka, że ludzi szczuje. Jak będzie dalej tak paplać językiem, plotki szybko nie ucichną.

– Jakie plotki? – Głos Weroniki był ostry jak brzytwa.

– No gadają za Roguszczakiem, że dziewczyna z Popiołów też do czarnej beemki wsiadała – odparł, nie kryjąc rozbawienia. – Jak ta poprzednia.

Miłosz uderzył pięścią w stół.

– Dość, kurwa! – przeklął pod nosem i wyszedł na taras.

– Uparli się, że ta druga też autem z Miłoszem jechała – dodał lekko Marcin, zerkając na nią z ukosa. – Ale dowodów przecież nie

ma, prawda? Więc po co się przejmować głupimi gadkami starucha.

Weronika momentalnie straciła apetyt.

– Przepraszam, ale może innym razem zaproszę cię na coś bardziej wyszukanego, bo zapiekanka z sera i makaronu to żaden rarytas – powiedziała, dając mu do zrozumienia, że powinien już sobie iść.

On jednak zamiast się ulotnić, spokojnie sięgnął po butelkę i wlał sobie resztę merlota do kieliszka.

– Fajne te dzieciaki. Szkoda, że z fajnych dzieci rzadko wyrastają fajni dorośli. Należy nam się kawa, wstawię wodę. – Łukasz wydawał się bardziej rozmowny niż zwykle, po raz pierwszy, odkąd go znała, rozpierała go energia.

Weronika przymknęła oczy, korzystając z chwili samotności. W nocy zamiast spać, przewracała się z boku na bok i analizowała słowa Marcina.

– Wychodzi na to, że oprócz skrupulatnego bibliotekarza i oddanej sekretarki mam jeszcze zdolnych i elokwentnych animatorów – odezwał się Adam, siadając obok niej na biurku. Nawet nie zauważyła, kiedy wszedł.

– To Łukasz okazał się mega gadułą, chociaż wcale na takiego nie wygląda. – Uśmiechnęła się. – A ja tylko zadałam kilka pytań.

– Proszę bez fałszywej skromności. Świetnie wam poszło. Idealnie się uzupełnialiście, dzieciaki siedziały jak zaczarowane. Ale teraz powinniśmy szybko wracać na ziemię, bo za godzinę mamy wizytę kuratorium.

Wizytę? Nie przypominała sobie żadnego maila w tej sprawie.

– Chyba nikogo nie umawiałam.

– Nie, nie umawiałaś. To niespodziewana kontrola.

– Kontrola?

– Ktoś doniósł, że uwaga, tu cytat: „osoby mające zatargi z prawem” sprawują opiekę nad dziećmi. Ale przecież to same bzdury.

Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

– Kogo dotyczył ten donos? – zapytała, z trudem panując nad drżącym głosem. Znała odpowiedź, a jednak przez ułamek sekundy wciąż się łudziła.

– Nie przejmuj się, nie ma czym. To jakieś głupoty, no ale oni mają obowiązek to sprawdzić. Taka praca.

– Będą mnie przesłuchiwać, a później punktować czy od razu zwolnią? – rzuciła gorzko. – Może ich wyręczę.

Adam położył jej dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, nikt nie będzie cię przesłuchiwał. Twój mąż w świetle prawa jest niewinny, a przede wszystkim ty nie sprawujesz opieki nad dziećmi. Ale kuratorium ma obowiązek sprawdzić wszystko. To będzie rutynowa kontrola.

Łukasz wszedł do biblioteki z czajnikiem, po którym ściekały krople wody. Wpatrywała się w nie bez słowa, kiedy obaj tak stali obok niej, i myślała o tym, że Adam może i nie ma pojęcia o jej przeszłości, ale kuratorium z pewnością wie nieco więcej na ten temat.

Musiała się przewietrzyć. Wyszła na zewnątrz bez płaszcza i stała teraz w podmuchach nieprzyjemnego jesiennego wiatru, ale nie czuła zimna. Donos do kuratorium, że Miłosz jest przesłuchiwany w sprawie zabójstwa, wydawał się niedorzeczny. Przecież jej głównym obowiązkiem w szkole było parzenie kawy! Co za idiotyzm, pomyślała, ale w tej samej chwili doszła do wniosku, że gdyby miała dziecko, pewnie postąpiłaby podobnie. Pewnie też chciałaby chronić je przed wszystkimi potencjalnymi zagrożeniami. Gdyby miała dziecko… No właśnie…

– Nie zimno pani tak bez kurtki?

Grasicki przystanął obok z papierosem w kąciku spierzchniętych warg.

– Mogę pożyczyć papierosa?

– Ano pewnie. Tylko pod warunkiem, że pani nie odda. Bo ja petów nie zbieram. – Zaśmiał się i wyciągnął paczkę z kieszeni spodni.

– Dziękuję. Nie paliłam od dwóch lat, ale to chyba jak z jazdą na rowerze. Tego się nie zapomina. – Wzięła od niego jeszcze zapalniczkę i po chwili wciągnęła dym do płuc. W pierwszej chwili zakręciło jej się w głowie, ale nikotyna szybko przyniosła ukojenie.

– A to coś się stało? – spytał konserwator.

– Nic nowego. – Wzruszyła ramionami. – Poza tym, że dla ludzi stąd jestem żoną mordercy. Wie pan, nie przejmuję się opiniami, ale w tym gadaniu jest coś osaczającego. W jakiś sposób obarcza mnie to winą za śmierć tych kobiet, a to nie jest sprawiedliwe. Właściwie to zwykłe skurwysyństwo. – Ostatnie słowo wyszeptała z pretensją.

Była z nim tylko połowicznie szczera. Tak naprawdę najbardziej paraliżowało ją to, że ktoś znowu ją stygmatyzuje, wytyka palcami. Że ktoś może odkryć, co wydarzyło się w Krakowie. Wspomnienia, przed którymi uciekała, zaczynały wybrzmiewać coraz wyraźniej. A przecież tym razem niczym sobie na to nie zasłużyła. A może zło, które nas dotyka, jest sumą złych uczynków z przeszłości?

Były policjant podsunął jej pod nos swój telefon. Spojrzała na zdjęcie na ekranie i poczuła gwałtowny atak mdłości. Dziewczyna z krótkimi blond włosami, splątanymi w kołtun. Obok głowy kawałek taśmy policyjnej. Wydatne wargi w zielonkawym odcieniu, otwarte oczy pozbawione wyrazu. Sukienka z sieciówki,

rozpięta, oblepiona trawą i uschniętymi liśćmi, przez które przeświturją nagie piersi. Nagle Weronika rozpoznała ten model. Taki sam wzór w drobne trójkąty w rozmiarze S wisiał w jej szafie. Zanim zdążyła zrozumieć, na co patrzy, Grasicki przesunął palcem po ekranie. Kolejna fotografia.

Jasne włosy, tym razem dłuższe, rozrzucone na trawie. Woskowate ciało o nienaturalnie biało-fioletowym odcieniu. Twarz obsypana grudami ziemi, półprzymknięte usta. Obok łokcia niedbale zwinięty biustonosz. I biała plansza z czarną dwójką.

– Ostatnią sobie darujmy – powiedział. – Niewiele z niej zostało. Za długo leżała w ziemi.

Poczuła, że niespodziewanie narasta w niej złość.

– Po co mi pan to właściwie pokazuje?

Przysunął się do niej tak, że niemal dotykał kurtką jej swetra. Próbowała uciec od jego spojrzenia i skupiła wzrok na dzieciakach z wypchanymi plecakami. Za piętnaście minut zaczynała się druga lekcja. Konserwator przełknął ślinę i podrapał się po głowie pod czapką.

– Czy pani mąż… czy on byłby zdolny do czegoś takiego?

– Nie! – krzyknęła, zwracając na siebie uwagę kilkorga uczniów. – Jestem pewna – dodała już ciszej. – Znam go od lat.

– Widzi pani, z tą znajomością drugiej osoby to różnie bywa. Sami siebie znamy tylko w określonych, sprawdzonych sytuacjach. Poza nimi bywamy nieprzewidywalni. Pani chyba dobrze o tym wie, co nie? – Mrugnął do niej porozumiewawczo.

Serce jej załomotało. Czyżby wiedział?

– Czego pan właściwie ode mnie chce? – wyszeptała.

– Chcę, żeby zyskała pani pewność, że mąż jest niewinny. Dla świętego spokoju. Mogę w tym pomóc.

Czuła, że w tej propozycji jest coś niemoralnego, że powinna ją odrzucić, ale prawda była taka, że Weronika chciała wiedzieć.

Musiała.

– Szumy to dziwne miejsce – mruknął. – Przecinają się tu wszystkie omylnie wybrane ludzkie ścieżki. Mówi się, że Wzgórza Dylewskie diabeł stworzył, jak Bóg odpoczywał. Może jest w tym ziarno prawdy. Dlatego tu licho nigdy nie śpi.

Pomyślała, że Grasicki się myli. Nawet jeśli Szumy rzeczywiście są przeklęte, to wszelkie zło pochodzi tu wyłącznie od ludzi. Zachowała to jednak dla siebie i bez słowa wróciła do szkoły.

ROZDZIAŁ 6

Wcześniej

Drobne postacie ubrane w odblaskowe kamizelki wyróżniały się na tle tłumu. Szum ulicy wchłaniał wszystkie dźwięki, zarówno piski i śmiechy dzieci, jak i głos uspokajających je przedszkolanek. Po dziesięciu minutach powolnego marszu zatrzymali się przed kamiennymi schodami. Strzeliste wieże Wawelu wbijały się majestatycznie w poszarzałe niebo.

– Dobra, przeliczymy dzieciaki, zanim wejdziemy. – Hania machnęła pomarańczową chorągiewką.

– Według mnie piętnaścioro – mruknęła Weronika, rzuciwszy okiem na kolorowe czapki.

– No i gra. Anka z Baśką potwierdzają, stan grupy niezmienny, więc wchodzimy. Dobrze, że zgodziłaś się z nami przyjść – dodała z uśmiechem Hania. – W końcu nie masz tego w obowiązkach, ale dla nas przy takich wyjściach każda para rąk i oczu jest nie do przecenienia. Dzieci stają się zupełnie nieprzewidywalne poza murami przedszkola. No a teraz przygotuj się na nadmiar bodźców. Nasza gromadka dostanie tu szału, a my musimy nad

nimi panować, żeby nie zakłócać innym zwiedzającym spokoju. To jak operacja specjalna. – Wiedziała, co mówi, pracowała w przedszkolu już od piętnastu lat.

– Damy radę. To tylko dzieci. W gruncie rzeczy są od nas zależne – odpowiedziała Weronika, zatrzymując wzrok na drobnej dziewczynce w wielkiej czerwonej czapce z pomponem, spod której wystawały jasne warkocze.

Kropelki wody powoli spływały jej po twarzy. Obraz delikatnie się rozmazał, Alina Kochańska zniknęła za ścianą deszczu.

Teraz

Dlaczego widok zamordowanych kobiet nie wzbudzał w niej strachu ani współczucia, a jedynie coś w rodzaju odrętwienia? Czy w niej samej wykiełkowało już tyle zła, że to istniejące poza nią nie było w stanie jej przerazić? Co, jeśli tym razem ten mrok wykluł się w jej mężu? Może poza obrączkami łączyło ich coś jeszcze – sczerniały miąższ duszy. Nie, to niemożliwe, Miłosz miał swoje sprawy i sekrety, ale nie byłby w stanie nikogo skrzywdzić. Kiedyś myślała, że jest jej ulubionym człowiekiem na świecie. A dzisiaj? Współrzędną, która pozwalała określić siebie w czasie i przestrzeni. To było wszystko, co miała. A co, jeśli to też już straciła?

– I jak? W porządku? – zagadnęła Adama godzinę później, stawiając na jego biurku czarną rozpuszczalną. Omal jej nie rozlała, wciąż drżały jej ręce.

Uśmiechnął się ze spokojem.

– Rutynowa wymiana informacji. Nic szczególnego.

– A ten donos?

Poczuła jego ciepłą dłoń na nadgarstku.

– Hej, naprawdę chcesz sobie tym zawracać głowę? Niepotrzebnie o tym wspominałem.

– Po prostu nie chcę robić zamieszania.

Kolejna półprawda. W rzeczywistości chodziło jedynie o to, by Adam nie poznał prawdy o jej przeszłości.

– Jakiego zamieszania? Jak na razie to wprowadziłaś ład do moich papierów, a nie zamieszanie. No i ta lekcja biblioteczna, którą zorganizowaliście z Łukaszem. Czad. To był dowód na to, że dzieciaki chcą rozmawiać, trzeba nimi tylko odpowiednio pokierować. Otworzyliście ich buzie i umysły. Opowiadałem o tym inspektorce, była pod wrażeniem.

– Widziałam te dziewczyny.

Nie miała pojęcia, dlaczego to powiedziała. Może ciężar tamtych obrazów to było za dużo dla niej samej. A może szukała usprawiedliwienia – dla siebie albo dla Miłosza.

– Jak połowa Szumów – odparł spokojnie. – Jeszcze dzień albo dwa i zobaczą je wszyscy. Te zdjęcia są w powszechnym obiegu.

– Tak, ale widzisz… – Urwała, a on czekał cierpliwie. Nie poganiał jej ani nie oceniał i była mu za to wdzięczna. – Chyba zaczynam rozumieć, co się dzieje wokół – dodała po chwili i Adam od razu domyślił się, o co jej chodzi.

– Ludzie łatwo wydają wyroki – odparł łagodnie. – Ale uwierz mi, gdybym przejmował się tym, co myślą lub mówią inni, już dawno nie byłbym dyrektorem, a wydaje mi się, że robię tu całkiem dobrą robotę, więc czasami lepiej nie oglądać się za siebie i działać.

Gdyby to było takie proste… – pomyślała z goryczą.

– Ludzie chyba lubią Adama, co? – zagadnęła później Łukasza. – To taki nowoczesny dyrektor, który potrafi rozkręcić szkolne życie

nawet na… takiej wsi. – W ostatniej chwili ugryzła się w język, zanim z jej ust padło słowo „zadupie”.

– Może i tak – odpowiedział na odczepnego.

– Nie miał nigdy kłopotów z powodu swojego innowacyjnego stylu zarządzania? Kuratoria to chyba skostniałe organizacje.

– Nie wiem, pracuję tu raczej krótko. Zasrany system – syknął, uderzając w klawiaturę.

Rzuciła mu pytające spojrzenie.

– Kupuję bilety na weekend do Marsylii i ciągle coś się wiesza – wyjaśnił. – Ta gadka z dzieciakami mnie zainspirowała. Muszę gdzieś lecieć, zmienić perspektywę. Przypomnieć sobie, że teraz jest tylko tym, co widzimy, a dalej jest jakieś później. Może nawet lepsze.

– Spróbuj za chwilę – doradziła mu, po czym wpisała w wyszukiwarkę „Adam Zbrzyzny Szumy”.

Poczuła, jak miękną jej kolana.

Weszła z ulgą do domu i natychmiast zajęła się przygotowywaniem obiadu. Potrzebowała ruchu, żeby pozbyć się naddatku energii. Miłosz wkroczył do kuchni w rozpiętej koszuli w kolorowe wzorki, pociągając coronę z butelki – zupełnie jakby był na wakacjach.

– Widziałam zdjęcia tych dziewczyn – oznajmiła bez niepotrzebnych wstępów. – To były ładne blondynki. Zastanawiam się, jaki motyw ma zabójca, skoro je obnażył, ale nie zgwałcił. Po cholerę je rozbierał?

Wzruszył ramionami.

– Nie rozumiem, po co oglądasz takie okropieństwa. Takich widoków nie wyrzuca się łatwo z głowy, a ty dopiero co… – Urwał. Nie chciał kończyć tego zdania. – Bawisz się w psychologa

policyjnego? Z tego, co pamiętam, nigdy nie chciałaś iść tą ścieżką kariery.

– Nie, po prostu… – Weronika potrząsnęła głową. – Kurwa, Miłosz, gdybyś je zobaczył. Były takie bezbronne i upodlone. Całe oblepione ziemią.

– Widziałem.

Zatkało ją.

– Pokazali ci je?

Poruszył się niespokojnie.

– Marcin ma te zdjęcia – dodał po chwili z kamiennym wyrazem twarzy. – Podobnie jak połowa Szumów i ludzi z okolicznych wiosek. Biorąc pod uwagę kompetencje tutejszych policjantów, wcale mnie nie dziwi, że wyciekły.

– Odkąd je zobaczyłam, nie potrafię sobie tego poukładać w głowie – wyszeptała.

– Lepiej, żebyś potrafiła – odezwał się ostrym głosem. – Ostatnim razem, kiedy za bardzo dałaś się ponieść niespokojnym myślom, nie było za ciekawie.

Złość podeszła jej do gardła. Odetchnęła głęboko, zanim powiedziała:

– Naprawdę uważasz, że to była kwestia niespokojnych myśli?

– Nie wiem. – Wzruszył lekceważąco ramionami. – To ty skończyłaś psychologię. Ja po prostu nie chcę, żebyśmy znów przechodzili przez coś podobnego.

– Chyba nie zawsze mamy wybór, co? Ktoś cię pytał, czy chcesz się wplątywać w seryjne zabójstwo?

– Nie jestem wplątany w żadne zabójstwo, okej?!

Podniósł do ust butelkę i pociągnął z niej kilka łyków piwa.

Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę wyczekująco, ale niczego już nie powiedział. Ta cisza niemal wypalała skórę. Tak bardzo potrzebowała usłyszeć choć odrobinę uspakajającej prawdy.

Drobne płatki śniegu wirowały w powietrzu. Dopiero co kończył się listopad, a zima już wyparła jesień. Weronika zasunęła zamek kurtki i odpaliła silnik. Gdy jej dłonie przywarły do lodowatej kierownicy, pożałowała, że wieczorem nie wprowadziła samochodu do garażu. Przynajmniej sekretariat powitał ją przyjaznym ciepłem.

– Ależ Mirek nam dzisiaj podgrzał. Gdybym wiedział, że będzie tak gorąco, przyszedłbym w bermudach – zaśmiał się Adam, sięgając po cukierka.

– Czekolada z samego rana? – zdziwiła się.

– Zaraz mam zajęcia z siódmą b. Będziemy omawiać rodzaje oddziaływań i ich wzajemność. To będzie istna rzeźnia, bo te dzieci zainteresowane są wszystkim, tylko nie tym, co mam do powiedzenia. Nawet instrukcja obsługi łapki na myszy jest dla nich ciekawsza niż omawiany temat z podstawy programowej.

Pomyślała, że nie miałaby nic przeciwko takiej lekcji. Oddziaływania i wzajemność – tak, Adam miał rację, to istna rzeź, bo tak właśnie wyglądało teraz jej życie, a ona na próżno szukała wyjścia z tej sytuacji. Może nie oddziaływała z innymi, tak jak powinna? Gdyby tylko fizyka mogła coś zmienić…

– Weronika, co jest?

Znieruchomiała, kiedy podszedł bliżej i poczuła jego ciepły oddech na karku. Oderwała się od komputera i odwróciła się twarzą do niego.

– Mam gorszy czas.

– Zauważyłem. To nasze poranne śmieszkowanie zawsze działało na mnie lepiej niż kawa, a ostatnio jesteś wycofana.

– Wszystko mnie przytłoczyło. Razem ze śniegiem, który musiałam rano zgarniać z przedniej szyby.

– Chodzi o to, że ludzie gadają?

– Też.

Wpatrywała się w jego niebieskie oczy i cała złość, którą w sobie kumulowała od kilku dni, z wolna zaczęła ustępować.

– Dzisiaj gadają, jutro zapomną – odparł pocieszająco. – Znajdą sobie inny temat do plotek. Kiedy ktoś podsuwa nowy trop, zachowują się jak hieny walczące o padlinę. Musisz to olać, bo oni wyczuwają słabość.

– Mówisz, jakbyś sam przez to przeszedł – rzuciła, licząc na to, że powie coś więcej.

– Bo przeszedłem – powiedział powoli.

– I mimo wszystko jesteś dyrektorem placówki dydaktycznej.

Westchnął.

– Więc uprzejmi ci donieśli?

– Google pomogło.

– Ach tak, przywileje życia w dwudziestym pierwszym wieku. Czy to coś zmieni, jeśli powiem, że to nieprawda? – W jego matowym głosie wyraźnie zabrzmiała prośba, dlatego Weronika momentalnie się wycofała.

– Nie zamierzam cię oceniać.

Wzruszył ramionami.

– Nie sądzę, żeby była jakaś klasyfikacja. Możemy robić z naszymi myślami, a tym samym osądami, co tylko nam się podoba. Dlatego powiedz mi szczerze: uwierzyłaś w to?

Zawahała się.

– Nie wiem, przecież cię nie znam. Zresztą nie jestem od tego, żeby wydawać wyroki.

– Nic nie zrobiłem. To moja żona chciała się rozwieść z przytupem, ograniczyć mi prawa rodzicielskie i zabrać dzieci do swojego szwedzkiego kochanka. A to zawsze najłatwiejsza droga w takich sprawach: zrobić z ojca potwora. Ale nigdy nie pozwolę,

by ktoś mi odebrał dzieci. Na razie mieszkają w Gdańsku. I jeszcze długo się to nie zmieni.

Bardzo chciała mu uwierzyć, naprawdę tego potrzebowała – osoby, której mogłaby teraz ufać, ale z dnia na dzień przekonywała się o tym, że słowa są puste jak muszle, które w dzieciństwie wygrzebywała z dna jeziora.

Wyszła ze sklepu z wypakowaną po brzegi jednorazówką i niosła ją właśnie do auta, kiedy za plecami usłyszała:

– Zakupy? Nie lepiej na miejscu robić, niż tachać chleb aż stąd?

Męski głos brzmiał znajomo, jednak nie potrafiła przypisać jego brzmienia do żadnej konkretnej twarzy. Odwróciła się i z trudem powstrzymała grymas na widok komisarza Mioduszewskiego. A już myślała, że zniknął z ich życia.

– Przy tej pogodzie, zanim pani dojedzie do Szumów, chleb zawilgotnieje i glina się z niego zrobi, a najlepszy taki z chrupiącą skórką. – Facet zatrzymał wzrok na wystającej z reklamówki bagietce. Spod niedbale zaciągniętej na czubek głowy czapki wystawały mu krótkie jak igły włosy. Komisarz wpatrywał się w nią wyczekująco, jakby spodziewał się natychmiastowej odpowiedzi.

– Nie lubię wiejskiego klimatu, jest zbyt duszny – odparła ze spokojem, chociaż najchętniej wzięłaby ten bochenek i zdzieliła go nim po głowie. – I chleba z brudnej skrzynki też nie.

– Nie? – zapytał trochę za głośno, przykuwając wzrok kilku osób kręcących się po parkingu. – Jakoś wcześniej to pani nie przeszkadzało.

– Do czego pan pije?

– Ja do niczego nie piję. Przywitać się chciałem po prostu. Znajomą twarz zobaczyłem, to sobie myślę: podejdę. Taka już ta małomiasteczkowa kultura.

Drażnił ją ten facet. W dodatku kłamał jak najęty i miał ją za idiotkę, jeśli sądził, że ona wierzy w jego bajdurzenie.

– No to się już przywitaliśmy. Zresztą widzieliśmy się dotąd raptem dwa razy, więc akurat moja twarz chyba nie jest aż taka znajoma dla pana funkcjonariusza – zaakcentowała ostatnie słowo, a on nawet nie mrugnął.

– A mąż jak się miewa? – rzucił. – W zakupach pomóc nie chciał, tylko drobnej kobiecie samej pozwala takie ciężary dźwigać?

– Może pan to przegapił, ale mamy dwudziesty pierwszy wiek. I robienie zakupów naprawdę nie jest żadnym wybitnym osiągnięciem. Nawet dla kobiety – dodała ironicznie.

Uśmiechnął się lekko.

– No tak, z pani to twarda babka. Nie każdy daje sobie radę, żeby po czymś takim żyć, jakby nic się nie stało.

Reklamówka sama wysunęła jej się z dłoni. Chleb wylądował w kałuży, bagietka na krawężniku, ale Weronika w ogóle nie zwróciła na to uwagi.

– Proszę się nie martwić – dodał komisarz – ja plotek nie roznoszę, ale ludzie prędzej czy później się dowiedzą. Chociaż może niektórym to na rękę jest, że na razie głównie mężem, a nie panią się interesują, co? – Położył rękę na wystającym brzuchu. – No, proszę pozdrowić męża.

Dopiero teraz odzyskała kontrolę nad własnym ciałem. Schyliła się po zakupy i wpakowała je z powrotem do siatki, chociaż tak naprawdę powinna wrócić do sklepu po nowy chleb, bo ten całkiem przemókł.

– Dziękuję, przekażę – odparła sucho. Liczyła, że namolny policjant już pójdzie, ale wciąż tam stał i przyglądał się jej z lekkim rozbawieniem. Trzasnęła klapą bagażnika i już chciała wsiąść do auta, kiedy znów się odezwał:

– Skoro Roguszczak zeznania zmienił, pewnie ludzie niedługo przestaną gadać i do sklepu w Szumach będzie pani mogła znów spokojnie chodzić.

– Roguszczak zmienił zeznania? – zapytała, zanim zdążyła się powstrzymać.

– A to mąż się nie chwalił? – Mioduszewski wziął się pod boki i pokiwał wolno głową. – No zmienił, zmienił. Teraz to już wielki pan miastowy się zrobił, bo do Ostródy się wyprowadza. Podobno mieszkanie tam kupił. Wie pani, ja to się zastanawiam, skąd nagle go stać na takie mieszkanie w nowym budownictwie. U Roguszczaków nigdy się nie przelewało, a jak stara zmarła, to jedna emerytura mniej. Na kreskę kiedyś ciągle w sklepie brał, a teraz mówi, że w skarpecie na takie luksusy odłożył. Kto to by pomyślał…

Zrobiło jej się sucho w ustach.

– Może ma bogatych krewnych.

– No może, może. Dziwne, że wcześniej nie miał, co nie?

– To nie moja sprawa – odparła, podchodząc do drzwi.

– No może i nie pani, a może właśnie pani. Wie pani, jak to mówią, ludzie za pieniądze dużo rzeczy są w stanie zrobić. Szczególnie jak już życia końcówka i nie ma się za wiele do stracenia. Może te pieniądze za coś dostał. Za coś na przykład nie do końca moralnego.

– Ja się cudzym życiem nie interesuję – mruknęła i wsiadła do nissana.

– A szkoda, bo pani mąż się chyba interesuje. I tym, co się we wsi dzieje, też. Wiedział na przykład, że pierwsza ofiara nie została zgwałcona, mimo że tej wiadomości nigdzie nie upublicznialiśmy. Dziwne, co?

Weronika przekręciła kluczyk w stacyjce i nie czekając, aż zgasną kontrolki na desce rozdzielczej, ruszyła. W lusterku

widziała postać Mioduszewskiego, który odprowadzał ją wzrokiem wciąż z tym samym uśmieszkiem na ustach.

Jechała szybko, klnąc pod nosem. Lubawa wydawała się karykaturą miasta. Ciasne uliczki, wzdłuż których niczym domki z ciasta piętrzyły się oprószone śniegiem kamienice, w zestawieniu z tłoczącymi się na każdym skrzyżowaniu eleganckimi samochodami sprawiały przygnębiające wrażenie. Podobnie jak myśli, które niespokojnie kłębiły się w jej głowie.

W bibliotece unosił się słodkawy zapach herbaty owocowej.

– Udało się upolować te bilety? – zagadnęła Łukasza, który od kilkunastu minut mieszał zawzięcie w kolorowym kubku.

– Co? – Spojrzał na nią nieprzytomnie, po czym odburknął: – A tak, tak, udało się.

– No to świetnie.

Nie odpowiedział.

– Wszystko okej?

– Bezsenność leczyłem rozprawą o grawitacji kwantowej Rovelliego i mam kaca czytelniczego.

Nie miała pojęcia, o czym on mówi, więc zmieniła temat i znienacka spytała o Roguszczaka. Łukasz zdziwił się jej nagłym zainteresowaniem tym starym pijaczyną, jak sam go określił.

– Nigdy za kołnierz nie wylewał, ale od kiedy żona mu umarła, to zupełnie się stoczył. Dwanaście lat temu syna pochowali, który w fabryce mebli pod Ostródą pracował. Przez jego nieuwagę maszyna dosłownie zmieliła mu głowę. Okropna tragedia. Kolejna do szumskiej kroniki. Nigdy się u nich nie przelewało, ale jak Piotrek zginął, to już była równia pochyła, prosto na sam skraj nędzy, bo dotąd jego wypłata z fabryki trochę rodzinny budżet wspierała. Na dodatek okazało się, że na rauszu w pracy był, i ani złotówki z ubezpieczenia nie zobaczyli. Na organizację pogrzebu

zapożyczyli się u sołtysa, mimo że ksiądz za darmo chłopaka pochował. Nawet na trumnę nie mieli.

– Podobno się wyprowadza – rzuciła jakby od niechcenia. – Mieszkanie w Ostródzie kupił na zamkniętym osiedlu.

– Serio? No nie wiem, może spadek po jakimś krewnym? – Zamyślił się. – Dziwne, bo oni raczej samotnie żyli. Nikt tu ich nigdy nie odwiedził, a jak Roguszczak się rozpił, to i ludzie z Szumów od niego stronili.

Nic nie powiedziała. Słowa Łukasza tylko potwierdziły jej podejrzenia. To, że Roguszczak nagłym zbiegiem okoliczności dorobił się dużej gotówki, która wystarczyła na kupno mieszkania, nie było przypadkiem. Podobnie jak to, że jego tajemnicze wzbogacenie się zbiegło się w czasie ze zmianą zeznań w kwestii tego, do jakiego auta wsiadła zamordowana dziewczyna.

– Kiedy w końcu jedziecie po tę beemkę? – spytała znad talerza. Od kilku minut przeżuwała kawałek karkówki, która wydała jej się zupełnie pozbawiona smaku. Miłoszowi najwyraźniej to nie przeszkadzało, bo zjadł swoją porcję i jeszcze wziął dokładkę.

– Daj spokój, to już się ciągnie zdecydowanie za długo – westchnął. – Szymon coś miesza, więc nie wiem dokładnie kiedy, ale najpóźniej po weekendzie trzeba będzie ją ściągnąć.

– Podobno Roguszczak zmienił zeznania. Nie wspominałeś o tym. – Siliła się na obojętny ton, chociaż miała ochotę wykrzyczeć mu to prosto w twarz.

Wzruszył ramionami, nie podnosząc nawet wzroku znad obiadu.

– Tak jak nie wspomniałem ci o tym, że próbował mnie w to wrobić, bo nie było o czym. Stary chachmęt.

– Wrobić? Dlaczego miałby cię wrabiać? Przecież nawet się nie znacie.

– A kto go tam wie. Takiego to nie wyczujesz, co mu po głowie chodzi. Może ktoś go namówił, bo obcych ze wsi chcą się pozbyć. Różne ludzie pomysły w głowach mają. Szczególnie na takiej prowincji. Od tej ciszy tutaj można oszaleć. – Prychnął.

– Więc co takiego się stało, że zmienił zdanie?

Miłosz przez chwilę zawzięcie kroił kawałek mięsa, po czym z rezygnacją odłożył sztućce i w końcu spojrzał Weronice w oczy.

– Do czego zmierzasz?

– Po prostu dziwię się, że ktoś, kto składa zeznania oskarżające konkretną osobę, bez powodu się z nich wycofuje. I tajemniczym zbiegiem okoliczności zaczyna opływać w gotówkę.

Trzask przewracającego się na drewniany blat szkła poniósł się po salonie tak gwałtownie, że aż się wzdrygnęła. Szklanka po wodzie przeturlała się na sam skraj stołu, jednak żadne z nich po nią nie sięgnęło.

– Chcesz mi coś powiedzieć? – wycedził Miłosz. – To daruj sobie te podjazdy i rozmawiajmy wprost.

Już wolałaby, żeby krzyczał, walił pięścią w blat albo nawet rzucił tym talerzem w ścianę, ale nie – on wpatrywał się w nią lodowatym spojrzeniem, czekając na odpowiedź.

– Przekupiłeś go.

W tym samym momencie, gdy wypowiedziała te słowa, usłyszała za sobą szmer. Odwróciła się. W korytarzu nonszalancko oparty o ścianę stał Marcin. Nawet nie schylił się po paczkę Cameli, które przed chwilą spadły mu na podłogę. Po prostu stał i patrzył na nich z lekkim uśmieszkiem.

ROZDZIAŁ 7

Wcześniej

Odbijała się od obcych ramion, zaciskając palce na różowym kapturze. Na pełnym wody dziedzińcu zamkowym panował chaos. W kolorowym tłumie stała się niewidoczna. Serce waliło jej jak oszalałe.

– Weronika! – Usłyszała i na chwilę zamarła. Jej imię wybrzmiało kolejny raz i kolejny. Nawoływanie nie ustawało. Wbrew intencjom umysłu ciało zawróciło.

– Matko kochana, już myślałyśmy, że gdzieś przepadłyście. – Hania trzymała rękę na piersi. Krótkie różowe paznokcie kontrastowały z czarnym flauszem jej płaszcza.

– Mała chciała do toalety, a później straciłam was z oczu – wyjaśniła Weronika. – Nie chciałam robić zamieszania i pomyślałam, że pójdziemy prosto do placówki – dodała pewniejszym głosem, przekrzykując panujący wokół hałas.

– O nie, tak nigdy nie rób. To wbrew zasadom. Zawsze wracamy w tym samym składzie, w którym wyruszamy. Nigdy się nie rozdzielamy. Nawet w takim zamieszaniu jak teraz musimy

trzymać się w grupie. Wracajmy już, bo nie dość, że pogoda okropna, to chyba mamy tu jeszcze zlot wycieczek z całego kraju.

Szarpnęła delikatnie różowy kaptur i drobna czterolatka posłusznie poszła za nią, bezwolna jak zdalnie sterowana zabawka.

– Okej, na przyszłość będę się trzymała procedur, tylko najpierw musicie mnie w nie wtajemniczyć – rzuciła Weronika, starając się, by w jej głosie zabrzmiała odrobina pretensji.

Udało się, bo Hania zaraz zaczęła ją przepraszać, a kiedy dotarły do reszty grupki, kucnęła przed dziewczynką i powiedziała:

– Alinko, jak chcesz do łazienki, zawsze zgłaszasz to mnie. A najlepiej byłoby, gdybyś robiła siusiu wtedy, kiedy cała grupa idzie do toalety. Jesteś już duża, więc dasz radę wytrzymać, prawda?

Mała pokiwała głową i Weronika odetchnęła z ulgą, po której od razu przyszło rozczarowanie. Była tak blisko. Ale porażka jej nie zniechęciła. Wręcz przeciwnie, motywowała do dalszego działania. Musiała się bardziej postarać, dopracować swój plan. Obiecała sobie, że wkrótce spróbuje znowu.

Teraz

Listopadowy śnieg szybko stopniał, pozostawiając po sobie kałuże, które najwyraźniej wchłaniały kolory z otoczenia, bo wokół była tylko szarość. Szare drzewa, szare ulice, szarzy ludzie i szare światło. Miłosz po ostatniej wymianie zdań prawie nie odzywał się do żony i spędzał długie godziny w garażu, a ona w tym czasie zwykle gapiła się w sufit, chowając się za przypadkowo wybraną książką. Starała się odpychać od siebie natarczywe myśli, ale im

bardziej je odsuwała, tym bardziej się nawarstwiały i niemal rozsadzały jej czaszkę.

– Wyglądasz, jakbyś nie spała od miesiąca – zauważył Adam, gdy tego ranka kręcił się po sekretariacie. Drobne śnieżynki na jego kremowej koszuli z daleka wyglądały jak zwykłe kropki. Było mu w niej do twarzy.

Uśmiechnęła się do niego.

– Myślałam, że niedoszli poloniści mają nieco więcej finezji w formułowaniu komplementów.

– A ja myślałem, że sekretarki nie zapominają zaparzyć rano kawy.

Prychnęła.

– Ej, to już jest poniżej standardów. Przesadziłeś.

– Wiem, ale nie mogłem się powstrzymać. W ramach pokuty ja zrobię tę kawę.

– Nie wiem, czy to wystarczy.

– Dać takiej przysłowiowy palec – zaśmiał się, podchodząc do ekspresu. – A ja myślałem, że tylko moja eks była taka pazerna na dobre uczynki i wykorzystywała mój słaby charakter.

– Słaby charakter? Dotarły do mnie zgoła inne pogłoski – mruknęła, zanim zdążyła ugryźć się w język.

Adam spoważniał. W jego brązowych tęczówkach mignęło rozczarowanie, szybko wyparte przez niepewność.

– Nigdy nawet jej nie szturchnąłem – powiedział cicho, po czym włączył ekspres. Brązowa struga kawy powoli napełniała kubek, zostawiając brunatne smugi na jego białych ściankach.

Dom wypełnił się trudną do zniesienia ciszą. Myśl o tym, że gdyby nie podjęła decyzji o przyjęciu propozycji Adama, napawała ją lękiem – wtedy musiałaby tkwić tu przez cały czas, a tak mogła chociaż na kilka godzin uciec od tego impasu, który zapanował

między nią a mężem i niczym wirus zataczał coraz szersze kręgi. A może to z powodu Marcina luka między nimi stopniowo się pogłębiała? Pojawiał się w najmniej oczekiwanych momentach, jakby ich śledził lub podsłuchiwał. Miłosz tłumaczył, że na tym właśnie polega jego praca: w końcu musi wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w gospodarstwie, Weronika jednak wcale nie była tego pewna. Miała wrażenie, że w zachowaniu chłopaka jest coś niepokojącego. Nie potrafiła tego racjonalnie wytłumaczyć, ale czasami wzbudzał w niej strach. A może bardziej bała się własnych myśli, które niespokojnie kłębiły się w głowie, i bezwiednie dokonała klasycznego przeniesienia? Marcin przynajmniej odwracał jej uwagę od tego, co tak naprawdę ją dręczyło…

Śnił jej się Kraków, skąpane w słońcu ulice, gołębie siedzące na dachach kamienic i tramwaj, który przejechał pod jej otwartym oknem, dzwoniąc tak głośno, że się obudziła. Z ciężkim westchnieniem spojrzała na budzik. Nie wiedziała, co bardziej ją rozczarowało – to, że jednak jest w Szumach, a nie w Krakowie, czy to, że zamiast tramwaju odezwał się alarm. Zerknęła ponownie na godzinę.

Zaspałam – pomyślała z rezygnacją, przekręcając się na drugi bok. Chętnie znów zamknęłaby oczy i pospała dłużej, wrodzona obowiązkowość jednak zwyciężyła i Weronika zwlekła się z łóżka. Szybki prysznic, makijaż i śniadanie w postaci niedopieczonego tostu wystarczyły, by do końca się rozbudzić. Pół godziny później narzuciła na siebie krótki kożuszek i zbiegła po schodach prowadzących na werandę. Zatrzymała wzrok na oblodzonych szybach i natychmiast pożałowała, że nie wstawiła auta na noc do garażu. Odpaliła rzężący silnik, ustawiła tryb odmrażania szyb i wysiadła, żeby sfotografować malowniczo oszronione jodły. I nagle spostrzegła jadącą wprost na nią granatową skodę.

Sparaliżowana strachem zamarła, czekając na to, co ma nastąpić. Kiedy światła niemal dotknęły jej kolan, samochód gwałtownie odbił w prawo. Poprawka: siedzący za kierownicą roześmiany Marcin odbił w prawo.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?! – krzyknęła, kiedy wysiadł z auta.

– Przepraszam, nie zauważyłem cię. O tej porze głowa jeszcze nie wskoczyła na pełne obroty.

– Nie pieprz głupot! Przecież patrzyłeś prosto na mnie! Nie mogłeś mnie nie widzieć! – Czuła, jak ze strachu drżą jej mięśnie.

– Serio, może szyba była nieco zaparowana. – Znów kpiąco się uśmiechnął. Dokładnie w ten sam sposób, co przed momentem.

Kłamał, wiedziała o tym. W coś z nią grał i sprawiało mu to dziką satysfakcję.

– Szybko odparowała – oznajmiła, pokazując na czystą szybę. Liczyła, że uda jej się go sprowokować. Bez skutku.

– Najwyraźniej. Najważniejsze, że nikomu nic się nie stało. A teraz mam sporo pracy, więc będę już wracał do swoich obowiązków. Na pierwszy ogień pójdą zakupy.

Wsiadł do samochodu i natychmiast odjechał. Weronika jeszcze przez chwilę wpatrywała się w punkt, w którym przed momentem stała granatowa skoda. Kim tak naprawdę był Marcin i o co mu chodziło? Niemal w nią wjechał, zaśmiewając się przy tym do rozpuku, po czym wszystkiego się wyparł! Dlaczego? Ten chłopak zachowywał się coraz bardziej nieprzewidywalnie, a wizja nadchodzącego weekendu, który miała spędzić w Szumach bez męża, powodowała nieprzyjemne uczucie pod skórą.

– Próbował mnie przejechać, rozumiesz? Ten koleś jest pierdolnięty – wysyczała przez zaciśnięte zęby osiem godzin później.

Miłosz spojrzał na nią powątpiewająco.

– Przesadzasz, może szyba mu zaparowała albo się zamyślił. Grunt, że nic ci nie jest.

– Ty siebie w ogóle słyszysz?

– Oj dobra, Wera. Przecież gołym okiem widać, że mu się podobasz. Pewnie w taki gówniarski sposób chciał zwrócić na siebie twoją uwagę. To nie pierwszy z moich znajomych, który na ciebie leci. No nie powiem, schlebia mi to, że moja żona jest obiektem pożądania. – Pogroził jej teatralnie palcem. – Ale wyłącznie obiektem zupełnie poza ich zasięgiem i niech tak pozostanie.

Przewróciła oczami z irytacją.

– Uważasz, że to zabawne? A gdyby coś mi się stało, też byś z tego żartował? Chyba byłoby już za późno na dowcipkowanie, nie uważasz? Kiedyś daliśmy sobie czas. Za dużo czasu.

Miłosz momentalnie spoważniał i westchnął ciężko. Teraz wyglądał na przygnębionego.

– No właśnie tego się obawiałem – powiedział cicho. – Znów dzieje się to samo, nie widzisz? Budujesz wokół siebie bańkę, karmisz się urojeniami, jesteś przeczulona. Ogarnij się, zanim to zabrnie zbyt daleko.

Weronika zadrżała. Wściekłość podchodziła jej do gardła, wypalała ją od środka.

– Całe życie będziesz miał w dupie to, co mówię, bo zdarzyło mi się popełnić… – Zapowietrzyła się. Musiała wziąć głęboki wdech, żeby dokończyć, choć już bez przekonania. – Błąd?

Zdawała sobie sprawę, jak nieadekwatne jest ostatnie słowo, ale nie potrafiła znaleźć innego. Ta bezradność doprowadzała ją do szału.

– Naprawdę tak to nazywasz? – spytał Miłosz, przyglądając się jej z niedowierzaniem. – Wydaje mi się, że to było o wiele więcej niż jeden błąd.

– Świetnie, w takim razie trzymajmy tu sobie tego popaprańca, bo jak zawsze wiesz lepiej.

Trzasnęła drzwiami i wsiadła do lodowatego samochodu. Poczuła nieodpartą ochotę na papierosa.

Wcześniej

Zapach szpitala oblepił jej ciało. Spojrzała na tablicę informacyjną. Nazwisko Kochańska widniało w rubryce oddziału ginekologicznego. Mięśnie się napięły, oddech przyśpieszył. Nie, nie dopuści teraz do siebie tamtych wspomnień. Miała cel i to na nim musiała się skupić. Wcisnęła drżącym palcem przycisk przywołujący windę. Piknięcie. Drzwi kabiny się otworzyły. Wybrała piętro czwarte. Znów piknięcie. Ledwo stamtąd wyszła. Stopy nagle stały się ciężkie jak głazy. Jej ciało wyczuło zagrożenie, uruchomiło tryb samoobrony. Cicho otworzyła przeszklone drzwi i opadła na kraniec plastikowego krzesełka. Wokół kręcili się jacyś ludzie bez twarzy. Selekcjonowała dźwięki, próbując wyłowić tamten głos.

– Przepraszam, wolne? – zagadnęła ją dziewczyna z wyraźnie zaokrąglonym brzuchem i Weronika pośpiesznie zabrała torebkę z krzesła obok. – Pani też czeka na przyjęcie?

– Nie – odpowiedziała niemrawo.

Tamta chyba wyczuła, że sąsiadka nie ma ochoty na rozmowę, bo przestała się odzywać.

Czas raz zwalniał, raz przyśpieszał.

Nagle drzwi gabinetu otworzyły się i stanęła w nich kobieta o krótkich blond włosach, przez które przeświytywały siwe pasma.

– Pani do przyjęcia?

Ciężarna dziewczyna na widok ordynatorki zerwała się na równe nogi.

– Tak, tak, pani doktor. Ja mam skierowanie. – Zaczęła nerwowo grzebać w małej skórzanej torebce.

– Spokojnie, proszę wejść do gabinetu. Tam załatwimy formalności. – Lekarka przeniosła wzrok na Weronikę. – A pa… – Nagle urwała w pół słowa. Jej twarz zmieniła się nie do poznania. – Co pani tu, do cholery, robi?! Proszę stąd wyjść albo wzywam policję!

– Czekam na widzenie z koleżanką. Mam prawo tu być.

Ordynatorka wbiła w nią lodowate spojrzenie.

– Odwiedziny na naszym oddziale są do godziny szesnastej. W tej chwili nikt poza pacjentami i osobami oczekującymi na przyjęcie nie może tu przebywać. Proszę wyjść albo wezwę policję.

– Tak bardzo boisz się prawdy? – wyszeptała Weronika, wstając. – Wolisz udawać, że to się nie wydarzyło, bo tak jest łatwiej, co? Tylko widzisz, ja nie mam tego przywileju. Nie mogę udawać, bo tej luki nie da się wypełnić.

Dziewczyna, która stała dotąd pomiędzy nią a lekarką, odsunęła się bezwiednie, jakby chciała zejść z linii strzału. Ordynatorka uspokajająco skinęła do niej dłonią, po czym ostro zwróciła się do Weroniki:

– Proszę nie podchodzić.

– Przestań powtarzać te zasrane frazesy. Będę robić to, na co mam ochotę. Dokładnie tak jak ty.

– Załatwię sądowy zakaz zbliżania! Mam już tego dość! Proszę przestać mnie nachodzić! – zawołała zdenerwowana kobieta i Weronika parsknęła.

– Możesz nawet załatwić mi bilet na Marsa. Wiesz, ile będzie znaczył dla mnie taki zakaz? Dokładnie tyle samo, co dla ciebie ludzkie życie.

Kiedy z kanciapy wyszły dwie młode pielęgniarki, zaintrygowane głośną dyskusją, postanowiła się wycofać. Nie, to nie miało żadnego sensu. Po co w ogóle tu przyszła? Bez słowa wyszła z oddziału i wsiadła do windy z poczuciem wysysającej wszystkie myśli pustki. Miała nadzieję, że to spotkanie przyniesie choć chwilowe ukojenie, ale jedyne, co teraz czuła, to palące pod skórą rozczarowanie.

Za drzwiami szpitala ciepły wiatr przyjemnie połaskotał policzki. Wyjęła z torebki papierosa i zaciągnęła się głęboko. Dopiero dym tytoniowy i jesienne powietrze sprawiły, że znów mogła oddychać.

Teraz

– Marlboro poproszę – rzuciła chłodno do ekspedientki.

Kobieta bez słowa położyła na ladzie paczkę papierosów.

– Kartą.

– Terminal nie działa.

– Cholera, znowu?

– Życie. – Kobieta wzruszyła ramionami. – A na zeszyt dać nie mogę, szef zabronił.

– Jutro oddam, z napiwkiem.

Tamta spojrzała na Weronikę nieufnie, ale przesunęła papierosy w jej stronę.

– Dziękuję pani bardzo.

– Tylko niech pani nie zapomni oddać, bo mi z wypłaty potrącą.

– Przyjadę z samego rana.

– Do siódmej najlepiej, bo później chleb przyjmuję.

Zgodnie z obietnicą następnego dnia pojawiła się w sklepie bladym świtem. Bez słowa położyła na porysowanym blacie sto

złotych. Dziewczynie za ladą oczy zalśniły z zadowolenia.

– Coś podać? – zapytała znacznie uprzejmiej niż zawsze.

– Nie, dzisiaj niczego nie potrzebuję – oznajmiła Weronika i skierowała się do wyjścia. Złapała za zimną klamkę i się zawahała. – Roguszczak często tu na zakupy przychodzi?

– Już z kilka dni będzie, jak wcale nie zachodzi. Kto go tam wie, może się już wyprowadził do tego mieszkania miastowego, co tak się nim chwalił. Chyba to i lepiej, że co dobrego go w życiu spotkało. Przynajmniej o pani mężu źle gadać przestał i pije mniej.

– W Szumach to chyba często powtarza się oczerniające innych plotki.

Ekspedientka spojrzała na nią pytająco.

– A czy ja wiem, chyba pierwszy raz tak się na kogoś ludzie uwzięli. Ale co się dziwić, w końcu takie młode poginęły. Całe życie przed nimi jeszcze było. Stare rany się w ludziach otworzyły, to i ze strachu gadać zaczęli. Nie mieli na kim złości wyładować, więc się na pani mężu wyżyli, bo policja go jako pierwszego przesłuchiwała, a to czasami coś znaczy.

– O Adamie Zbrzyznym też się swego czasu głośno dyskutowało – zauważyła Weronika.

– O dyrektorze szkoły? – zdziwiła się kobieta. – A w życiu. To tylko te miernoty, dziennikarzyny od siedmiu boleści głupoty wypisywali. Chyba ta żonka jakieś wtyki w gazecie musiała mieć. Może im zapłaciła. Pisali, że damski bokser dzieci uczy i szkołą zarządza, ale ludzie tutaj z Szumów murem za nim stanęli i wszystko się rozeszło. Ten urząd, co się szkołami zajmuje, jak on się tam nazywa… kuratorium, tak? To oni nawet w te farmazony uwierzyli i chcieli Zbrzyznego ze stołka wywalić. Ale rada rodziców zaraz rabanu narobiła i chłop został. Ludzie to tu bardzo są za nim. – Sklepowa oparła łokcie na ladzie i opowiadała dalej.

– Bo to miły facet i fajny dyrektor, taki, co to się z nim wszystko da załatwić. Jak panią zatrudnił, też nosem kręcili, że żonę mordercy do szkoły ściąga. – Spojrzała na Weronikę ze strachem, jakby dotarło do niej, że powiedziała coś niestosownego. Odchrząknęła. – Ale w końcu większość się z tą decyzją pogodziła, bo ludzie jego zdanie szanują. A teraz jak Roguszczak inaczej zeznał, to w ogóle wszyscy wam odpuścili. A za Zbrzyznym murem stoimy i stać będziemy, co by się nie działo.

Weronika pokiwała głową i wyszła ze sklepu nieco oszołomiona. Z jednej strony poruszyło ją to, że mieszkańcy Szumów darzyli Adama tak wielką sympatią. Z drugiej jednak nie rozumiała, dlaczego ją oszukał. Przecież sam powiedział, że spotkał się z lokalnym ostracyzmem, a było zupełnie inaczej. Chciał jej dodać otuchy? To by znaczyło, że jako jedyna osoba na świecie troszczył się o to, co ona czuje.

Około trzynastej Adam położył na jej biurku karton z pizzą.

– Co mam z tym zrobić? – spytała z rozbawieniem.

– Najwłaściwiej byłoby zjeść.

– Od kiedy to pracodawcy w budżetówce z własnej nieprzymuszonej woli zapewniają benefity w postaci czwartków z pizzą?

– No cóż, muszę dbać o mój zespół, szczególnie kiedy mizernieje w oczach. Czasami zastanawiam się, czy ty w ogóle cokolwiek jesz. – Podsunął sobie krzesło stojące pod ścianą i opadł na nie, zerkając znacząco to na karton, to na Weronikę. – Jak będzie trzeba, to zorganizuję nawet owocowe piątki.

Poddała się i sięgnęła po kawałek margherity na zdecydowanie zbyt grubym spodzie – niechętnie, bo nie była głodna, ale nie chciała sprawić Adamowi zawodu.

– Nie wiedziałam, że w Szumach można dostać pizzę na telefon – mruknęła i ugryzła pierwszy kęs.

– Piętnaście kilometrów stąd jest karczma i wyobraź sobie, że mają tam takie specjały. Nie są dużo lepsze niż zwykła mrożonka z dyskontu, ale przynajmniej przywożą pod wskazany adres. – Wziął głęboki oddech. – Nie będę ściemniał, że zamówiłem tę pizzę zupełnie bez intencji.

Zaśmiała się, odłożyła ciasto do kartonu i wytarła tłuste palce w chusteczkę.

– Okej, ciekawie się zaczyna. Czuję, jak mi wrzody wyrastają w żołądku, więc najlepiej by było, gdybyś po prostu powiedział, o co chodzi.

– O pomoc w papierkach. Mam dwie pilne rzeczy do policzenia, a księgowa odmówiła nadgodzin. Bez kogoś, kto będzie mi dyktował kwoty z faktur, utknę z tym na rok. I pomyślałem, że jak cię podkarmię, to może pomożesz koledze z biurka obok powalczyć ze złymi liczbami. Potrzebuję cię dosłownie na dwie, trzy godzinki. Gdybyś mogła zostać dłużej niż zazwyczaj… – Spojrzał na nią prosząco.

– Spoko, tylko uczciwie uprzedzam, że ja nawet drobne rachunki czynię wyłącznie z pomocą kalkulatora.

– Masz tylko dyktować. A jak będzie trzeba, to zorganizujemy jakiś sprzęt w postkomunistycznym duchu. Na pewno coś znajdzie się w szafie.

Kilka godzin później szkoła zastygła w bezruchu. Jedynym źródłem życia było tlące się przez niewielkie okno na parterze światło.

– Dwadzieścia cztery tysiące sześćset! – zawołał Adam. – Cholera, jesteś wielka! Znalazłaś mój zaginiony tysiąc. Mogę spać spokojnie. – Zagwizdał z satysfakcją, po czym sięgnął po ostatni

kawałek pizzy z kartonu. – Mmm, na zimno smakuje jeszcze bardziej interesująco. Ten wyrób seropodobny zbił się w twarde kawałki o niejednorodnej strukturze. Można się pokusić o porównanie do jakiegoś długo dojrzewającego sera z południa Włoch. – Ostentacyjnie zamlaskał.

Weronika się roześmiała.

– Świetna rekomendacja. Branża z pogranicza influ i gastro już na ciebie czeka. Marnujesz się tutaj.

– Nie, dzięki. Jestem mało medialny.

– Nigdy nie żałowałeś, że tu zostałeś? – zapytała znienacka i w gabinecie zapadła niezręczna cisza. – Jeśli nie chcesz, nie odpowiadaj, po prostu byłam ciekawa, jak to jest, że ludzie z ambicjami i dobrym wykształceniem świadomie zostają w takiej… niewielkiej miejscowości – dodała po chwili, a on parsknął.

– Dziurze. Nazywajmy rzeczy po imieniu bez niepotrzebnej kurtuazji.

– No właśnie, dziurze.

Wrzucił blady brzeg pizzy do pustego już opakowania.

– Jak wyjeżdżaliśmy do Warszawy, myśleliśmy, że tu nie wrócimy, ale Beata zaszła w ciążę z Kubą na ostatnim roku studiów. Byliśmy razem od technikum. Jej rodzice zaproponowali, że możemy zamieszkać na poddaszu, wyremontowali łazienkę, zrobili osobne wejście. Wtedy wydawało nam się, że wygraliśmy na loterii. Moja mama mieszkała kilka domów dalej. Przez pierwszy rok naszego małżeństwa przynosiła nam w słoikach zupy gotowane bez wegety i innych kulinarnych wspaniałości tamtych czasów, żeby mały nie miał kolek. Szybko dostałem po znajomości pracę w szkole i jakoś się urządziliśmy. Rodzice Beaty mieli prężną gospodarkę. Co chwilę sypali groszem, więc mogliśmy sobie pozwolić na to, żeby została z dziećmi w domu.

– I nie żałowałeś?

– Nigdy – odparł z przekonaniem. – Mieliśmy tu fajne życie. Spokojne, bez stresu i pośpiechu. Po śmierci teściów odziedziczyliśmy cały dom.

– Jednak coś zaczęło szwankować – zauważyła cicho, a on pokiwał głową.

– Beata zawsze była uparta, dążyła do celu. Kiedyś mi to imponowało. Gdy dzieci podrosły, chciała uciec do miasta i tam realizować zawodowe ambicje. Ja tu miałem dobrą posadę i dobre życie. Nie znaleźliśmy wspólnego środka. Kiedy zapadła decyzja o rozwodzie, obiecała, że mnie zniszczy. I za wszelką cenę chce dotrzymać słowa.

– Zapadła? – spytała Weronika i Adam uśmiechnął się kwaśno.

– Masz mnie. Ostatecznie to ja chciałem się rozwieść. Nie mogłem znieść tych awantur… I uwierz, że to nie ja je wszczynałem. Pod koniec każdej kłótni zaczynała krzyczeć. Zwykle wykrzykiwała niepasujące do kontekstu „zostaw mnie” albo „ała”. Po jakimś czasie zrozumiałem, że chodziło o to, by sąsiedzi usłyszeli.

Poczuła się zakłopotana.

– Nie powinnam dopytywać.

– Nie, no coś ty. To temat zupełnie standardowy jak na rozmowę dwójki znajomych, a może nawet przyjaciół.

– Sprawa rozwodowa nadal się toczy?

– Z tym zniszczeniem życia moja żona nie żartowała – westchnął. – To wszystko już trochę trwa, ale trzeba żyć dalej i robić swoje.

Telefon w jej kieszeni zawibrował, już po raz kolejny, odkąd tu siedziała z Adamem, ale nie chciała przerywać ich rozmowy.

– Trudno robić swoje, kiedy ktoś chce ci odebrać to, co najcenniejsze – powiedziała.

– Nigdy jej się to nie uda. Nigdy. Nie pozwolę jej odebrać dzieci bez względu na cenę, jaką będę musiał za to zapłacić. Tego jestem pewien.

W jego głosie pojawił się zaskakujący mrok. – Od tej strony jeszcze go nie znała. Przez chwilę pomyślała, że może ta historyjka o kłamstwach żony wcale nie miała miejsca i sąsiedzi naprawdę byli świadkami domowej przemocy, jednak szybko odrzuciła tę hipotezę. Bardzo chciała mu zaufać.

Nagle gwałtownie otworzyły się drzwi i do środka wszedł Mirek.

– Tak myślałem, że jeszcze cię zastanę – rzucił i dopiero wtedy zobaczył Weronikę. – Cholera, byłem przekonany, że jesteś, znaczy, że jest dyrektor sam – poprawił się szybko. – Przepraszam.

– Spoko, nie robimy tutaj nic takiego, co by wymagało tajnego statusu. Zwykłe odgrzebywanie papierków – odparł lekko Adam.

Lekko i nieco fałszywie – pomyślała.

– No to gra. Przychodzę, bo wczoraj porządek w komodzie robiłem i znalazłem trochę zdjęć szkoły po pożarze. Trzydziesta rocznica się zbliża, to pomyślałem, że może jakąś gazetkę czy film będziecie robić i się przydadzą. – Grasicki popatrzył na Weronikę, szukając u niej aprobaty, a ona nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wymyślił tę kwestię na poczekaniu, jakby przyszedł w zupełnie innej sprawie i nie chciał się przed nią zdradzić.

– Może to i dobry pomysł, chociaż dla dzieciaków to może być zbyt przerażające. Im później dowiedzą się, czym jest śmierć, tym lepiej – odparł Adam. – Ale niewielką gazetkę w gablocie można wywiesić. – Zamknął nerwowo karton po pizzy, jakby obecność Grasickiego wprawiła go w zakłopotanie. – Wera, wracaj już do domu, zanim mąż zacznie cię poszukiwać. Późno się zrobiło.

Przytaknęła, chociaż była ciekawa, o jakim pożarze rozmawiali. I o czym tak naprawdę chciał rozmawiać Mirek.

Kiedy jechała, telefon znów zaczął wibrować. Rzuciła okiem na ekran – Miłosz. Nie odebrała. Oczywiście w domu zrobił jej awanturę.

– Czy ty jesteś poważna?! Przepadasz na kilka godzin i nie odbierasz. Kurwa, myślałem, że coś ci się stało!

– Musiałam zostać dłużej w pracy. Tak się zdarza. Dorośli ludzie powinni to rozumieć. – Odetchnęła głęboko. – Gdybyś miał normalną pracę, a nie zajmował się sprowadzaniem złomów, które sprzedajesz za cenę salonowych aut, tobyś zrozumiał.

Ten niskich lotów przytyk sprawił jej dużo satysfakcji.

– Z tej „nienormalnej" pracy utrzymujemy się od kilku lat i możemy sobie pozwolić na życie na pewnym poziomie – odparował. – Ale nie o to chodzi, po prostu martwiłem się, że coś się stało. Sama dobrze wiesz, co tu się dzieje – dodał łagodniej.

– Skoro tak bardzo martwisz się o moje bezpieczeństwo, to lepiej przyjrzyj się Marcinowi.

Westchnął i przewrócił oczami.

– Co znowu?

– Już ci mówiłam, ale nie słuchasz. Próbował mnie potrącić. Tyle nie wystarczy?

Roześmiał się, chociaż w jego oczach nie było widać cienia rozbawienia.

– To już się robi śmieszne. Posłuchaj mnie uważnie, z nim jesteś tu bezpieczna bardziej niż ze mną. Ten człowiek jest tu po to, żeby nam pomagać i nas chronić.

– A co, jest jakimś zasranym ochroniarzem?! – prychnęła. – Myślałam, że zatrudniasz go jako zarządcę, a nie agenta do zadań specjalnych.

– Wera, przestań zachowywać się jak rozkapryszona nastolatka. On zna ten dom i tę społeczność od podszewki, dzięki niemu jesteśmy bardziej tutejsi.

Weronika opadła na sofę, nagle poczuła się zmęczona tym wszystkim. Chciała po prostu zamknąć oczy i zniknąć. Wyłączyć chociaż na chwilę świadomość.

– Tylko ja nie wiem, czy chcę być tutejsza – wyszeptała.

Miłosz usiadł obok niej i położył dłoń na jej kolanach.

– Nie pozwól, żeby to, co dzieje się w twojej głowie, znów zdominowało rzeczywistość. Może poszukaj jakiegoś dobrego terapeuty w okolicy? – zasugerował. – Tak na wszelki wypadek.

Odsunęła się od niego.

– Nie będę potrzebowała terapeuty, jeśli opłacany przez mojego męża cieć nie będzie próbował mnie rozjechać.

Głuchy odgłos. Ktoś zapukał w okno. Oboje spojrzeli w tamtą stronę. Za drzwiami balkonowymi stał Marcin w czarnym golfie, do którego przyczepiały się drobne płatki śniegu.

– Wyciąłem świerk, chyba najładniejszy z ogrodu, akurat postoi ze trzy tygodnie w szopie i będzie można wziąć do domu na święta.

Jego głos był wyraźny, jakby wcale nie dzieliła ich szyba. Weronika zatrzymała wzrok na oknie. Dopiero teraz dostrzegła, że było uchylone. Poczuła, jak na karku cierpnie jej skóra. Ile słyszał z ich rozmowy?

– Nie za szybko? Igły zaczną opadać – rzucił mimochodem Miłosz.

– Zawsze tak robiliśmy z Klemencją, żeby robaki wylazły z drzewka, zanim się do domu przyniesie. Bardzo tego pilnowała, żeby ścinać trzy tygodnie przed świętami. To już tradycja.

Kornecki wydawał się przekonany tą argumentacją w przeciwieństwie do żony.

– Tak się składa, że pani Klemencji nie przyda się już choinka, a ja nie chcę takiej przywiędniętej – oznajmiła Weronika. – Zetniemy nową tuż przed świętami.

– Spoko. W takim razie tę się spali. – Marcin wzruszył ramionami, po czym wbił siekierę w pień drzewa.

Przez cały ten czas trzymał ją w dłoni schowanej za plecami. Weronika drgnęła. Trzask łamanego drewna jeszcze długo wybrzmiewał w jej głowie, jakby pień łamał się wciąż od nowa.

Przez całą noc nie zmrużyła oka. Wstała jeszcze bardziej zmęczona, niż się położyła. Kiedy Miłosz jeszcze pochrapywał miarowo, ona wciągnęła niepasujące do grubego swetra legginsy w panterkę i szybko wyszła z domu. Godzinę później siedziała w ciepłej bibliotece i patrzyła na Łukasza pochylonego nad klawiaturą.

– Znasz Marcina? Tego z naszego gospodarstwa? – zapytała.

– Co? – Uniósł wzrok i utkwił w niej nieprzytomne spojrzenie. – Przepraszam, robiłem rezerwację i nie chciałem pomylić numeru karty kredytowej.

– Rezerwujesz hotel?

– W Marsylii, tuż przy porcie.

– Lecicie razem z Elizą?

Zmieszał się.

– Ma inne zajęcia.

– Kryzys?

– Różnica priorytetów. Zobaczymy, na ile poważny. Może minie.

A może nie – pomyślała gorzko o swoim małżeństwie.

– Pytałam o Marcina, który u nas pracuje. Kojarzysz go?

– W Szumach raczej wszyscy się kojarzą. Wojnowscy go tu sprowadzili lata temu, żeby gospodarstwa doglądał pod ich nieobecność. Klemencja z mężem właściwie całe życie za granicą pracowali, a wszystko, co zarobili, pakowali w ten dom. Jakimiś szychami byli w szpitalu pod Londynem. Ta uprawa lawendy to dla nich była chyba bardziej zachcianka niż biznes.

– Jaka ona właściwie była? Miłosz nigdy nie utrzymywał z ciotką kontaktów, więc ten spadek naprawdę nas zaskoczył.

Łukasz zmarszczył brwi.

– Była ciotką twojego męża? Nie wiedziałem, że miała jakąś rodzinę. Myślałem, że kupiliście ten dom, jak już dogorywała w domu starców. Hmm… jaka była? Nawet gdy już przestała do pracy za granicę wyjeżdżać, to żyła trochę na uboczu. – Zamyślił się, jakby próbował sobie coś przypomnieć. – Wszyscy mówili, że jest bogatą samotniczką, która gardzi wieśniakami z Szumów, ale podobno jak dziewczyny chodziły pomagać przy zbiorach, to zawsze dobrze płaciła.

– A ten Marcin z kimś się tu trzyma?

– Nie wiem, bo ja się z nikim nie trzymam – powiedział z pogardliwą nutą w głosie. – Czasami kręci się po wiosce, chyba fajkami handluje. I w pensjonacie na wzgórzach jakieś interesy z Białorusinami robi. A co ty właściwie tak się nim interesujesz?

– Wolałabym wiedzieć, kto przez większość dnia i czasami kawał nocy kręci mi się po domu, zwłaszcza że to nadęty bufon, a tacy z reguły nie wzbudzają zaufania.

– Nadęty bufon? – roześmiał się Łukasz. – To profesjonalne określenie w środowisku psychologicznym?

Posłała mu rozbawione spojrzenie.

– Zajmowałam się wypaleniem zawodowym ludzi na wysokich stanowiskach w korporacji. A na tym poziomie struktury pracowniczej typ osobowości określanej tym niezbyt eufemistycznym stwierdzeniem jest naprawdę normą.

– Serio? A ktoś wspominał, że pracowałaś z dzieciakami w przedszkolu.

Jej płuca boleśnie wypełniły się powietrzem.

– Kto? – zapytała głucho.

Celowo pominęła ten etap zawodowy w swoim CV. Miała nadzieję, że na odległych krańcach Mazur nikt nie dotrze do tych informacji.

– Nie wiem, Mirek albo Adam, nie pamiętam. – Wzruszył ramionami. – To pracowałaś w przedszkolu czy nie?

– Bardzo krótko – odparła cicho i szybko podniosła się z krzesła. – Idę jeszcze na godzinkę do sekretariatu, bo muszę wydrukować kilkadziesiąt testów na jutro dla Kazimierskiej.

Ledwo dała radę wyjść z biblioteki. Miała wrażenie, że żyły boleśnie się rozszerzają od nadmiaru krwi i pękają, tak jak zbyt płytkie koryta zapadają się pod naporem rwącej rzeki.

Wcześniej

– Proszę jeszcze kilogram ziemniaków i może tuzin jaj. – Weronika wychyliła się w stronę ułożonych na drewnianej ladzie warzyw.

– Dołożę dynię w gratisie. – Przysadzista kobieta o niskim głosie zawiesiła wzrok na jej obrączce. – Jej pestki dobrze w małżeństwie robią, a pani jakaś taka zmarnowana dzisiaj. Może miłości pani trzeba.

Kolorowy tłum płynący wzdłuż wąskiej targowej alejki coraz intensywniej napierał na plecy.

– Pani Weronika. – Usłyszała cienki głosik przebijający się przez gwar i momentalnie wszystko inne ucichło, jakby ktoś wcisnął pauzę.

Ukradkowo zerknęła na kolejkę, która ustawiła się za jej plecami. Ułamek sekundy wystarczył, by dostrzec Alinę ubraną w kurtkę w drobne złote serduszka. Dziewczynka uwiesiła się na ręce wysokiej brunetki w eleganckim płaszczu.

– Kochanie, przestań, stój grzecznie, czekamy na babcię.

Weronika doskonale kojarzyła córkę doktor Kochańskiej. Jeśli nie chciała zostać zdemaskowana, musiała działać.

– Przepraszam, muszę iść – mruknęła do ekspedientki, rzucając jednorazową torbę wypełnioną warzywami na drewniany blat. Ziemniaki potoczyły się po deskach, ona jednak nawet się nie odwróciła. Przecisnęła się pomiędzy ciasno ustawionymi prowizorycznymi ladami. Kieszeń wystającego spod kurtki swetra zaczepiła się o wystający z nieoheblowanej belki gwóźdź. Nie miała czasu, by zawracać. Parła do przodu z całej siły, aż w końcu materiał puścił. Pojedyncze brązowe włókna wełny powiewały na wietrze. Przyśpieszyła kroku. Niewiele brakowało, by została zdemaskowana.

Teraz

– Łukasz wziął dzisiaj urlop na żądanie, coś mu wypadło, więc gdybyś mogła poprowadzić lekcję biblioteczną dla czwartej c, byłoby świetnie. Miał im pokazać, jak katalogujemy książki. – Adam postawił na jej biurku kubek z parującą kawą.

– Ta kawa to rodzaj sugestii, jaką powinnam dać odpowiedź?

– Szanowna pani, ja wcale nie czekam na pani odpowiedź, bo ta może być tylko jedna. To było polecenie służbowe.

– Buc – prychnęła.

– Pinda – odparował – jeśli posługujemy się tego typu nomenklaturą.

Lubiła ich słowne przepychanki. Było w nich coś zaczepnego.

– No, no, niech pan uważa. To już podchodzi pod mobbing.

Westchnął teatralnie, przysiadając na jej biurku obok kubka.

– To i tak będzie jedno z lżejszych przewinień na mojej liście grzechów.

– Przesadzasz. Ludzie tutaj daliby się za ciebie wybebeszyć. Przecież sami pisali do kuratorium, żebyś zachował stanowisko.

– W pierwszej fazie chcieli mnie spalić na stosie, ale mieszkańcy Szumów są impulsywni. Szybko się zapalają i jeszcze szybciej uspokajają. Kiedy ochłonęli, stwierdzili, że cokolwiek o mnie myślą, to robotę dla ich dzieci robię dobrą. A ty – musnął palcem jej podbródek – wypij tę kawę, zanim ostygnie, okej?

Poczuła przyjemne łaskotanie wokół pępka.

– Skoro mam zainteresować dzieciaki tematem katalogowania książek, to powinnam wypić przynajmniej trzy takie kubki.

– Częstuj się na koszt firmy. – Chwycił karty pracy z biurka i skierował się w stronę drzwi swojego gabinetu. Zatrzymał się w pół kroku. – Łukasz wspominał, że pytałaś o Marcina. Uważaj na niego, jest w nim coś dziwnego – dodał cicho. – Przez chwilę nawet zastanawiałem się, czy on nie ma czegoś wspólnego z tymi morderstwami.

Przeszedł ją dreszcz. Tak, ona też brała to pod uwagę, zwłaszcza od tamtego poranka, gdy niemal w nią wjechał, ale wolała odsuwać od siebie tę myśl, bo ta oznaczała, że Weronika mieszka w domu z zabójcą. Naprawdę chciała wierzyć, że cały tutejszy mrok jest wynikiem okrutnego zbiegu okoliczności, coraz bardziej jednak wątpiła w to, że znalazła się w Szumach przypadkiem. Może tkwiła w niej ciemność, która przyciągała do siebie równie mroczne zdarzenia, tyle że według praw fizyki dwa identyczne bieguny powinny się odpychać. No chyba że tak naprawdę ona była źródłem tego całego zła. Może wszystko, co najgorsze, wydarzało się w jej życiu wciąż od nowa, tylko w zmienionej formie.

Wieczorem wzięła pierwszą lepszą książkę z regału i w szlafroku opadła na łóżko. Wiatr dął w nieszczelne okna, wychładzając dom. Nie miała ochoty na lekturę, ale dawno przeczytana *Holly* Kinga była świetnym pretekstem, by nie odzywać się do męża. Chciała poukładać myśli. Adam ostrzegał ją przed Marcinem. W jego głosie słychać było troskę, zupełnie inaczej niż w tonie męża, który jej niepokój od razu interpretował jako urojenia. Nawet nie próbował wysłuchać, co tak naprawdę miała do powiedzenia. Pierwszy raz od dawna ktoś dostrzegł w niej osobę mającą prawo do lęków i przemyśleń, a nie kobietę po traumie, którą trzeba wciąż dyscyplinować.

– Za godzinę wyjeżdżam – rzucił Miłosz, zaglądając do sypialni.

– Dzisiaj? Miałeś jechać jutro rano.

– Jutro ma sypać od centralnej Polski w dół, a dzisiaj jest jeszcze w miarę spokojnie. Rano będziemy już na Słowacji.

Nagle przeszedł ją dreszcz niepokoju. Przygotowała się na to, że zostanie bez męża na weekend w tym wielkim domu, ale dopiero jutrzejszej nocy. Wyjący w futrynach wiatr wzmagał uczucie niepewności. Przez całą podstawówkę miesiąc wakacji spędzała u dziadków w Tarnowie. Kiedy wiał halny, babka zawsze powtarzała, że zdarzy się coś złego.

– Skoro musisz, to chyba i tak nie ma znaczenia, co teraz powiem.

– Będziesz mogła czytać do woli i stać pod prysznicem godzinami bez mojego narzekania na to, że nie dbasz o środowisko – zażartował. – Zostawiłem ci prosecco w lodówce.

– Uważaj na siebie. I wracaj szybko.

Kiedy nachylił się, by cmoknąć ją w czoło, na chwilę znieruchomiała. Odwykła od czułości.

– W poniedziałek rano obiecuję naleśniki na śniadanie. Kocham cię, buziak.

– Buziak.

Odetchnęła z ulgą, kiedy się odsunął.

Nie mówili o miłości, odkąd tamto się wydarzyło. Nie wiedziała, jak zareagować. Powinna odpowiedzieć wzajemnością, ale nie miała siły kłamać.

Owinęła się szczelnie kocem i zasnęła. Kiedy się obudziła, świat za oknem tonął w odcieniach szarości. Z żyrandola wciąż sączyło się światło. Przeciągnęła się, podsuwając pled pod samą brodę. W sypialni było zimniej niż zazwyczaj, poleżała więc jeszcze tylko przez chwilę, zanim postanowiła zwlec się na dół i włączyć termostat. Kiedy się podniosła, zadrżała z zimna. Naciągnęła polar i ruszyła w dół po lodowatych stopniach. Kroki niosły się echem po salonie. Zegar wskazywał siódmą dwadzieścia. Podwyższyła temperaturę do dwudziestu dwóch stopni i włączyła ekspres. Wyjrzała przez okno, żeby sprawdzić, czy spadł zapowiadany śnieg, ale parapet oprószyła zaledwie cienka biała warstwa. Nagle uwagę Weroniki przykuło coś dziwnego. Na podjeździe przy bramie wjazdowej leżały jakieś szmaty. Włożyła pierwsze lepsze adidasy Miłosza i z narastającym uczuciem niepokoju wyszła przed dom. Chciała iść szybko, zanim zamarznie, ale jej nogi odmawiały posłuszeństwa – z każdym krokiem stawały się coraz cięższe. W miarę jak się oddalała od domu, obraz stawał się wyraźniejszy. Stopy w czarnych balerinach, podarte rajstopy, nagie piersi i rozrzucone włosy. Nienaturalnie wygięte ciało leżące na stercie ubrań. Widziała już podobny obraz na zdjęciach, które pokazywał jej Grasicki. Kiedy zatrzymała wzrok na woskowej twarzy, zastygłej w przerażającym grymasie, i pustych otwartych oczach, poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Zgięła się wpół i zwymiotowała kilka kropli żółci na oprószony śniegiem trawnik.

– Nie ruszaj się i niczego nie dotykaj. – Usłyszała.

ROZDZIAŁ 8

– Idź do domu, ja się tym zajmę. – Marcin powiedział to spokojnie, takim tonem, jakby proponował jej kawę.

– Co to, kurwa, znaczy, zajmiesz? – wyszeptała. – Ta dziewczyna… nie żyje.

– Biorąc pod uwagę, że jest sztywna, a na skórze są plamy opadowe, to pewnie co najmniej od kilku, a może kilkunastu godzin.

Weronika przyglądała mu się, jakby widziała go pierwszy raz w życiu.

– Ale dlaczego… dlaczego leży tutaj? Na tym zasranym podjeździe? Na moim podjeździe. – Ostatnie zdanie z trudem przeszło jej przez gardło.

– Nie wiem, ale policja z pewnością będzie chciała poznać odpowiedź na to pytanie.

– Myślisz, że… – Zabrakło jej tchu. Zmusiła się, by odetchnąć. Lodowate powietrze kłuło tysiącami igieł, ale pozwalało się skupić. – Pomyślą, że to ja? Albo Miłosz?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co pomyślą, ale nie wygląda to dobrze. Gdzie on jest?

Chwilę jej zajęło, zanim zrozumiała, że Marcin pyta o męża.

– Wyjechał wczoraj przed dwudziestą drugą do Krakowa.

– Widziałaś, jak odjeżdża…?

Drobne płatki śniegu delikatnie opadały na twarz, dając kojące uczucie chłodu.

Nie odpowiedziała. Czy to Miłosz zabił…? Nie, nie mógłby tego zrobić! A nawet gdyby, gdyby posunął się do czegoś tak okropnego, to przecież nie porzuciłby zwłok na podjazd. No chyba że… Świat przed jej oczami zaczął wirować. Chciała za wszelką cenę zdusić tę myśl, ale było za późno. Już zdążyła się zmaterializować w jej głowie, zablokować oddech, zamrozić krew. Chyba że chciał, żeby to ona została uznana za podejrzaną.

– Pytam, czy widziałaś, jak odjeżdża. – Marcin pstryknął palcem przed jej twarzą. – Nie mamy czasu.

– Nie – odpowiedziała cicho. – Ale przecież to nie Miłosz.

– Miłosz, nie Miłosz, to nie ma znaczenia. Znaczenie ma jedynie to, jak to będzie wyglądało dla policji.

Pomyślała o swojej przeszłości i wyroku w zawieszeniu. Wiedziała, że nikt nie będzie słuchał tego, co ma do powiedzenia. Będą liczyły się wyłącznie fakty, a te świadczyły na jej niekorzyść.

– Co mam robić? – spytała szybko.

– Idź do domu. Ja to ogarnę.

Nie miała siły się sprzeciwiać, a już na pewno nie miała siły zmierzyć się z oskarżeniem o zabójstwo. Drżąc z zimna, z trudem dotarła do domu, zatrzasnęła za sobą drzwi i osunęła się na mokre od śniegu płytki. Marzyła, by to wszystko okazało się jedynie złym snem, z którego zaraz się obudzi. Miłosz będzie chrapał u jej boku, a jedynym zmartwieniem będzie to, że spóźni się do pracy.

Nie miała pojęcia, jak długo tam siedziała. Lodowata woda już dawno przesiąkła przez cienki materiał legginsów, stopy w za dużych adidasach zesztywniały z zimna. Nie ruszała się, zupełnie jakby dzięki temu mogła cofnąć czas, odwrócić bieg wydarzeń. Ale życie toczyło się dalej.

Ktoś nacisnął klamkę i drzwi uderzyły ją w plecy. Niechętnie się odsunęła.

– Załatwione – rzucił raźnie Marcin i spojrzał na nią zdumiony. – Cały czas tu siedzisz? Dziewczyno, otrząśnij się. Nie możesz się tak zachowywać, bo od razu zwrócisz na siebie uwagę. Pamiętaj, ludzie z Szumów widzą wszystko. Nawet jak ty ich nie dostrzegasz.

– Co z nią zrobiłeś?

– Czy to ma znaczenie? Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej. Musimy się zachowywać normalnie, jakby nic się nie stało.

– Trzeba uprzedzić Miłosza. Ostrzec go.

– Już to zrobiłem. Ustaliliśmy, że nie zmieni planów. Wszystko ma się toczyć tak, jakby tej dziewczyny nigdy tu nie było.

Zamrugała. O czym on mówił?

– A krew? – spytała. – Przecież na pewno przy bramie zostały jakieś ślady.

– Nic nie widać, no chyba że ktoś dokładnie zbada podjazd. Ale po co miałby to robić?

Opowiadał o tym z takim spokojem, jakby naprawdę nic się nie wydarzyło. Jakby chodziło o śmieci wyrzucone przed dom, a nie… Zamknęła oczy. Próbowała uporządkować myśli i osadzić siebie w tej nowej rzeczywistości. Już raz udawała przed sobą, że nic się nie stało. Odsuwane wspomnienia wróciły ze zdwojoną siłą.

– Monitoring – rzuciła. – Coś musiało się nagrać.

Pokręcił przecząco głową.

– Już sprawdziłem. Ten, kto to zrobił, nie jest pierwszym lepszym amatorem. Podszedł do domu od północy, tuż przy fundamencie, gdzie kamera nie łapie kadru. Kompletnie nic się nie nagrało, bo przecież widok jest skierowany na drzwi wejściowe.

Znowu ślepa uliczka. Wyglądało na to, że Marcin ma rację. Będą musieli żyć, jakby to nigdy się nie wydarzyło. To. Zadrżała.

– Gdzie ona jest?

– W bezpiecznym dla nas miejscu. Idę spalić śmieci. Trzeba uprzątnąć kilka rzeczy w obejściu. A ty się wykąp i zachowuj, jak gdyby nigdy nic. Musimy trzymać się razem. Szczególnie teraz. – Na jego twarzy pojawił się pokrętny uśmiech. – Kiedy mamy wspólną tajemnicę.

– Weronika?

Drgnęła gwałtownie i podniosła głowę. Adam wpatrywał się w nią wyczekująco. Rozejrzała się spłoszona. Przez chwilę straciła poczucie czasu i miejsca. Musiała się przywołać do porządku.

– Pytałem o dokumenty do certyfikacji ISO, nie mogę ich znaleźć.

– Dokumenty?

– Te, o których rozmawialiśmy przed weekendem.

Wzięła głęboki wdech, żeby uporządkować myśli. Nie podziałało.

– Cholera, zapomniałam – wyszeptała. – Zaraz je przygotuję. Przepraszam.

Poderwała się i zaczęła gorączkowo grzebać w szafce, chociaż za nic nie mogła sobie przypomnieć, gdzie je schowała.

– Wszystko w porządku? Coś się stało? – spytał łagodnie Adam, a ona zmusiła się do lekkiego uśmiechu.

– Nic takiego. Drobne wojny małżeńskie.

Skłamała tylko w pewnym stopniu. Każda próba rozmowy z Miłoszem o tym, co się wydarzyło na podjeździe, kończyła się awanturą. Ale nie to uwierało ją najbardziej.

– Wiem, jak to jest. Czasami lepiej złożyć broń, bo eskalacja konfliktu działa destrukcyjnie nie tylko na związek, ale też na ciebie… – Zmieszał się. – Ale ja tu mówię o swojej perspektywie, a u nas zabrnęło to zdecydowanie za daleko. U was może być inaczej.

Odwróciła się twarzą do niego i oparła się o szafę.

– Myślałam, że tu poskładamy jakoś to nasze rozpieprzone życie, ale cóż… – Wzruszyła ramionami. – Jeszcze szybciej się rozpada. Może to, co wydawało mi się stabilne, jest jednak zbyt kruche i po prostu nie wytrzymuje nacisku tej klaustrofobicznej przestrzeni. – Szumy nie dawały szans na ucieczkę. W tej ciasnocie trzeba było stawać twarzą w twarz z każdym lękiem. Od ponad trzech miesięcy przekonywała się o tym coraz bardziej.

Zaledwie trzy miesiące – pomyślała ze zdumieniem, a wydarzyło się tu tyle, jakby minęły co najmniej trzy lata.

– Wcześniej było lepiej?

Zawahała się. Nie znała odpowiedzi na to pytanie.

– Po prostu inaczej. Kraków miał swój rytm, a nasze życie było pełne świeżych szram, które tutaj, zamiast pozwolić się im zabliźnić, rozdrapujemy od nowa.

– Może trzeba dać im czas – powiedział łagodnie. – Nowe miejsce nie jest nowym rozdaniem z automatu. Wszystko potrzebuje przepracowania.

A co z dziewczyną z rozwartymi oczami leżącą na ich podjeździe? Jak to Weronika miała przepracować, skoro ten obraz kompulsywnie pojawiał się pod jej powiekami za każdym razem, gdy tylko mrugnęła?

– Hej. – Adam złapał ją za ramię. – Może powinnaś jechać do domu? Wyglądasz, jakbyś miała zaraz zemdleć albo zwymiotować.

– Chyba tak. Zrobię te dokumenty i się zbieram. Może coś mnie rozkłada.

Godzinę później jechała drogą wijącą się wzdłuż ośnieżonych wzgórz. Nie chciała wracać do zimnych wnętrz, do Miłosza i tamtego obrazu martwej dziewczyny. Instynktownie skręciła, odbijając w stronę Olsztyna. Potrzebowała kawiarni, galerii handlowej i jakiegoś ruchu, czegoś, co choć na chwilę pozwoli jej zapomnieć.

Olsztyn ociekał błotem i deszczem, zupełnie jakby przeniosła się do alternatywnej rzeczywistości, choć Szumy znajdowały się zaledwie kilkadziesiąt kilometrów dalej. Zaparkowała na podziemnym parkingu i z ulgą wjechała schodami do atakującej dźwiękami i kolorami galerii, ale zamiast dynamiki, której tak bardzo potrzebowała, gwaru, wesołej muzyki i tłumu, zastała jedynie opustoszałe sklepy i wyludnione kawiarnie. Dochodziła dwunasta, był poniedziałek – ludzie o tej porze siedzieli wciąż w pracy. Na godzinę zaszyła się w kameralnej kafeterii z filiżanką dyniowego cappuccino. Później poszwendała się po sklepach, kupiła kilka nowych serwet, zupełnie niepasującą do jej stylu sukienkę i buty. Chciała dać upust energii, zrobić cokolwiek, byle nie skupiać się na kompulsywnych myślach. Kiedy wyjeżdżała, wciąż padało, mimo to odbiła na starówkę – nie chciała jeszcze wracać do domu. Zatrzymała auto na ciasnym płatnym parkingu i właśnie wysiadała, kiedy tuż obok niej rozległo się:

– Weronika?

Zaskoczona podniosła głowę i ujrzała rozpromienioną Edytę, jej koleżankę z Krakowa. To znaczy z tamtego życia. Teraz wolałaby jej nie spotkać.

– Cześć, kochana! No nie wierzę. W Krakowie miesiącami nie mogłyśmy się złapać na kawę, a wpadamy na siebie w Olsztynie! – Miała krwistoczerwoną czapkę i usta w tym samym kolorze, co sprawiało, że wyglądała jak kolorowy ptak na tle burych kamienic. Rzuciła się jej na szyję.

– Co ty tu robisz? – zapytała Weronika, nie odwzajemniając uścisku. Stała jak sparaliżowana, modląc się w duchu, by to spotkanie jak najszybciej się skończyło.

– Mam *meeting* u marszałka. Takie tam urzędnicze pierdolety, równie dobrze moglibyśmy to załatwić zdalnie, ale urząd płaci za hotel i paliwo, więc przyjechałam sobie na cały weekend i dopiero dzisiaj wieczorem wyjeżdżam, a co mi tam. – Edyta nawijała z prędkością karabinu maszynowego. – Taki mały urlop od domowych obowiązków. A co do wycieczek… Wy chyba często uciekacie z tej swojej wioski, co? Bo w sobotę wieczorem widziałam Miłosza tu w Sirocco. Machałam nawet do niego, ale był taki tłum, że chyba mnie nie widział, a zaraz później wyszedł.

– Miłosza? Nie, musiałaś go z kimś pomylić. Był w Krakowie na weekend.

– Nie no, Wera, mam już swoje lata, ale akurat wada wzroku to mi się z wiekiem zatrzymuje, nie pogłębia. – Roześmiała się. – Zresztą Miłosz z tą jego charakterystyczną bródką i w swetrze, co go razem wybierałyśmy rok temu na urodziny, byłby trudny do podrobienia, serio. Kręcił się z jakimiś dziwnymi gostkami w gajerkach. Wyglądali trochę groźnie. Ale dobra – Edyta zerknęła na zegarek – muszę iść, bo szanowny pan marszałek na taką zwykłą urzędniczkę jak ja długo czekał nie będzie. Jak wpadniesz na weekend do Krakowa, to się odezwij, mamy milion rzeczy do obgadania! Albo przynajmniej zacznij ode mnie odbierać telefony. Teraz jesteś jeszcze mniej uchwytna niż zwykle, a już po pogrzebie… – Urwała i spojrzała na nią z niepokojem. Nigdy nie

potrafiła w porę ugryźć się w język i tylko ze względu na tę nieokiełznaną szczerość Weronika lubiła się z nią spotykać, kiedy jeszcze mieszkała w Krakowie. – Nieważne zresztą. Po prostu się odzywaj, bo tęsknię. Buziak! – zawołała i już jej nie było.

Weronika nawet nie drgnęła. Krople deszczu spływały jej po twarzy, a ona nie była w stanie się ruszyć. Dopiero zirytowany męski głos, dochodzący z drewnianej budki, uzmysłowił jej, że nadal tkwi na parkingu.

– Pani droga, bierze pani bilet czy będzie tak stać i miejsce blokować? Ja zaraz zacznę naliczać.

Bez słowa wsiadła do samochodu i podjechała pod szlaban. Facet coś jeszcze wykrzykiwał, ale nie reagowała. W końcu podniósł barierkę, klnąc głośno. Ruszyła z piskiem opon.

W kuchni unosił się smród przypalonego bekonu.

– Chcesz tost? – mruknął, włączając ekspres.

– Jajka wystarczą.

Jedli śniadanie w milczeniu. Towarzyszył im jedynie brzdęk sztućców uderzających w talerzyki z włoskiej porcelany. Pierwszy ciszę przerwał Miłosz.

– Spóźnisz się do pracy.

– Od kiedy martwisz się moim żałosnym etatem? – sarknęła.

– Nie martwię się i nigdy nie powiedziałem, że twój etat jest żałosny.

– W niektórych przypadkach nie trzeba używać konkretnych słów, żeby coś zakomunikować.

Westchnął z irytacją, ale nic nie odpowiedział.

– Może cię odwiozę – zaproponował pięć minut później. – Będzie szybciej, bo mam trochę cięższą nogę.

– Nie idę dzisiaj.

– Dlaczego? – W chropowatym głosie dało się wychwycić nerwową nutę.

Podniosła głowę znad talerza i wbiła w męża świdrujące spojrzenie.

– Co Marcin zrobił z ciałem tamtej dziewczyny?

Jego twarz stężała.

– Nie było żadnego ciała. Rozumiesz? Zapomnij o tym.

– Ktoś wciąż czeka na nią w domu. Może dzieci. A ona nigdy nie wróci. Jej bliscy mają prawo wiedzieć, przeżyć żałobę.

Oddech Miłosza przyśpieszył.

– Naprawdę chcesz trafić do pierdla? Tym razem nie dam rady cię chronić. Dotąd podejrzewali mnie, ale szybko mogą przenieść zainteresowanie na ciebie. Byłaś sama w domu, masz za sobą traumę i wyrok w zawiasach. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, jak to wygląda. Dlatego posprzątaliśmy z Marcinem. Dla twojego dobra. Dla naszego dobra.

– Posprzątaliście… Rozmawiamy o zamordowanej dziewczynie, nie o złomowaniu samochodu! – zawołała, chociaż dobrze wiedziała, że miał rację.

Posprzątali z Marcinem, bo ona miała wyrok w zawieszeniu. Jej mąż się o nią troszczył albo… Albo w coś grał. Przecież ją okłamywał – wiedziała już od Edyty, ale dlaczego? Gdyby tylko chodziło o jakiś banalny romans – tak, to Weronika jeszcze by zniosła. Właściwie wolałaby, żeby tak właśnie było, jednak coś mówiło jej, że jest inaczej. Że te jego kłamstwa wynikają z czegoś znacznie poważniejszego. Nie miała wyboru. Jeśli chciała dotrzeć do prawdy, musiała podjąć tę grę na zasadach Miłosza. Odgrywać rolę według scenariusza. Przynajmniej przez jakiś czas.

– Przełóż mi dzisiejsze spotkanie ze starostą, proszę. – Głos Adama brzmiał łagodnie, jak kompres przykładany na piekącą

ranę. – Najlepiej na przyszły tydzień. I dobrze, że wróciłaś. Niby nie było cię tylko dwa dni, a tu wszystko stanęło na głowie. Nie wiem, jak kiedyś radziłem sobie bez ciebie.

Uśmiechnęła się. Tutaj, przy nim, przychodziło jej to z łatwością.

– Jestem pewna, że w ciągu ostatniego roku w zlewie udało ci się wytworzyć osobny ekosystem.

– Przecież zmywałem – zaśmiał się. – Raz w tygodniu.

– Co powiedzieć sekretarce starosty?

– Powiedz, że musiałem wziąć grzecznościowo zastępstwo w Kamionce.

– Spoko – odparła, sięgając po notes z numerami telefonów. – Mam nadzieję, że nie poczuje się urażony.

– W dupie to mam, szczerze mówiąc. Muszę poratować koleżankę. Ma jedną fizyczkę w kadrze, a ta od kilku dni nie wróciła do domu. Nieciekawie się ta historia tam rysuje. Oby jej zakończenie nas pozytywnie zaskoczyło.

Poczuła, jak strużka potu spływa jej wzdłuż kręgosłupa.

– Jak to nie wróciła? – spytała, nie podnosząc na niego wzroku. Bała się, że z jej spojrzenia Adam wyczyta mroczną tajemnicę.

– Po prostu nie dotarła do domu. Trwają poszukiwania. Wczoraj nawet mieliśmy w tej sprawie zebranie, bo nauczyciele chcą się zaangażować jako wolontariusze. Dziewczyna trzydzieści lat, dwójka małych dzieci, mąż w rozsypce. No – westchnął ciężko – trzeba pomóc z ludzkiej przyzwoitości. A najgorsze jest to, co wszyscy po kątach powtarzają. Że szukamy trupa. – Wzdrygnął się. – Bo widzisz, to ładna blondynka. Bardzo podobna do tych, które zamordował wcześniej ten psychol. – Zerknął na zegarek i poderwał się z krzesła. – Dobra, idę się przygotować do lekcji z ósmą b, bo zostało mi maksymalnie dwadzieścia minut do dzwonka, a dzisiaj mamy Newtona.

Kiedy wyszedł, Weronika natychmiast włączyła wyszukiwarkę i trzęsącą się ręką wpisała: „Szkoła podstawowa im. Adama Mickiewicza w Kamionce". Po chwili przewijała już listę kadry dydaktycznej. Aldona Marszelewska, fizyczka – kliknęła w nazwisko. Na ekranie powoli ładowało się zdjęcie. Zamarła. Z monitora spoglądała na nią uśmiechnięta blondynka. Wszystko się zgadzało. Poza spojrzeniem. Ostatnim razem, gdy Weronika na nią patrzyła, jej oczy były nieruchome i puste.

– To musi być ktoś z nas. Ktoś, kto zna zasady, według których tu żyjemy, dlatego z łatwością wtapia się w tłum i jest nie do znalezienia.

Nie słyszała dotąd aż takiej zajadłości w głosie emerytowanego policjanta. Bezszelestnie prześlizgnęła się między regałami. Dostrzegli ją dopiero, gdy przypadkiem potrąciła ramieniem książkę, i momentalnie zastygli, jakby złapała ich na czymś kłopotliwym, ale nawet tego nie dostrzegła. Nie zwróciła też uwagi na ciszę, jaka nagle zapadła w bibliotece. Myślała wyłącznie o jednym – o dzieciach czekających na matkę. Matkę, która nigdy nie wróci.

– No nic, będę szedł. – Konserwator wyciągnął z tylnej kieszeni spodni rękawiczki i skinął głową Łukaszowi. – Trzeba działać. Wieczorem, tam gdzie wczoraj. Zbiorę jeszcze kilku ochotników ze wsi, ze szkoły prawie wszyscy zadeklarowali, że idą. Pani Weroniko, dołączy pani do poszukiwań?

Utkwiła wzrok w ścianie, udając, że nie słyszy. Nie miała pojęcia, jak powinna zareagować. Grasicki nie dawał jednak za wygraną.

– Chodzi o tę nauczycielkę z sąsiedniej wioski, zaginęła. Organizujemy się tu we własnym zakresie, żeby jakoś rodzinę wspomóc. Tam bliźniaki trzyletnie w domu zostały.

Weronika zmusiła się, by wziąć głęboki wdech. Inaczej zwróciłaby kawę, którą dopiero co wypiła.

– Chciałabym, ale chyba nie dam rady. Jeszcze trochę choruję. Przepraszam, ale muszę… – Nie zdążyła dokończyć. W ostatniej chwili wbiegła do toalety i zwymiotowała do umywalki.

Kiedy wróciła po kwadransie, Łukasz siedział przed komputerem. Wydawał się zaaferowany pracą i miała już nadzieję, że nie zauważył jej obecności, kiedy nagle się odezwał, nie odrywając wzroku od monitora.

– Mirek bardzo się angażuje w te poszukiwania. Ogólnie w sprawy zabójstw, tych wcześniejszych też.

– Zauważyłam.

– Chyba emerytura nie bardzo mu służy. Pewnie gdyby mógł, pracowałby w policji do samej śmierci.

– A nie mógł?

– Z Mioduszewskim zadarł, cięli się strasznie, a że tamten ma pierdolnięcie u góry, to go w końcu wysadził.

– O co się kłócili?

– O to, że Mioduszewski to taki typ, dla którego liczą się statystyki. Posadzi kogokolwiek, byleby mieć kolejną sprawę zamkniętą. A Mirek to glina, który nie chce zamykać spraw, tylko je rozwiązywać. Czasami na granicy prawa – dodał Łukasz. – A na świński łeb trzeba uważać. Zapuszkuje byle kogo tylko po to, żeby ukręcić łeb każdej aferze i mieć lepszą wykrywalność.

Wcześniej

– Co to jest? – Miłosz pomachał jej przed oczami połyskującym na złoto iPhone'em. – Pytam, kurwa, co to. – Rzucił go na szafkę, ale nie trafił i aparat upadł z łoskotem na płytki.

Weronika podniosła go i przejechała nerwowo palcem po wyświetlaczu.

– Chyba widać. Zdjęcie. – Wzruszyła ramionami, po czym schowała telefon do kieszeni.

– Dlaczego to sobie robisz? Wera, przecież wiesz, że ona tym razem ci nie odpuści i pójdzie do sądu.

– Z tym, że robię sobie zdjęcia zimowych widoczków? Nie przesadzaj.

– Załatwi zakaz zbliżania. Zobaczysz.

– Wcale się do niej nie zbliżyłam.

Miłosz aż się żachnął.

– Przecież to czysty masochizm! – zawołał. – Po co ty to robisz?!

Spojrzała na niego spod zmrużonych powiek.

– Więc mam żyć tak jak ty? Udawać, że nic się nie dzieje? Wychodzić wieczorami do knajpy, a w dzień zaśmiewać się do rozpuku przy idiotycznych filmikach przewijanych na TikToku? Ja tak nie potrafię. Nie potrafię być tak cynicznie obłudna.

– To jest normalne życie.

– Przestań mi pierdolić o normalności! – wybuchła. – W tym domu już nigdy nic nie będzie normalne. Nigdy!

Podszedł bliżej i wyciągnął do niej rękę w proszącym geście.

– Więc się stąd wyprowadźmy. Wyjedźmy. Poszukam czegoś nad morzem. Zawsze cię ciągnęło do Trójmiasta.

– Mam ich zostawić? Nie ma takiej możliwości.

– Nie można zostawić kogoś, kogo nie ma. Już ich nie ma… – wyszeptał, a Weronice wydawało się, że jego głos wypełnił całe pomieszczenie.

Poczuła rozpierający ból pod żebrami. Miała wrażenie, że dotknął ją między piersi rozżarzonym prętem. A potem jeszcze raz i jeszcze. Wyszła z salonu i zamknęła się w sypialni.

– Wera, wybacz, nie powinienem. Ja po prostu chcę dla ciebie jak najlepiej.

Czuła do niego jedynie odrazę. Marzyła o tym, by zniknął, rozpłynął się, nigdy nie istniał. Ale on cały czas był tuż za drzwiami. Wiedziała, że dobrnęli do takiego momentu, w którym powinni się rozstać, jednak była na to za krucha. Ogarnianie zwykłych, przyziemnych spraw, takich jak rachunki czy zakupy, przerastało jej możliwości. Miłosz był jej potrzebny. Do tego, by zajmować się życiem, podczas gdy ją pochłaniała wyłącznie realizacja planu. Żeby działać precyzyjnie, musiała być maksymalnie skupiona.

Teraz

– Co ty robisz? Idziesz gdzieś o tej porze? – Zatrzymała wzrok na górskich traperach, które Miłosz wkładał tylko na trekkingi, kiedy wyskakiwali od czasu do czasu na weekend w Tatry.

– Ludzie się mobilizują, żeby szukać tej zaginionej nauczycielki.

– Żartujesz? – syknęła. – Przecież mówiłam ci, że to ta dziewczyna z podjazdu. Widziałam jej zdjęcie.

Spojrzał na nią, jakby nie rozumiał.

– No i?

– Chcesz udawać, że jej szukasz, skoro wiesz, że nie żyje? Jesteś aż tak… – zapowietrzyła się, szukając odpowiedniego słowa – … bezwzględny?

– Nie, po prostu cię kocham. I chcę trzymać rękę na pulsie.

Milczała przez chwilę. Jeśli czekał, aż ona odwdzięczy się tym samym, to się mylił.

– Marcin też idzie? – spytała w końcu.

– Idzie. On w przeciwieństwie do ciebie rozumie, jak wysoka jest stawka.

– Jesteście popierdoleni.

Ukryła twarz w dłoniach. Nie mogła uwierzyć w to, że Miłosz zamierza udawać przed tymi wszystkimi ludźmi, przed rodziną dziewczyny, która kilka dni wcześniej leżała martwa na ich podjeździe. Co jeszcze potrafił odegrać? Kiedy improwizuje, a kiedy jest sobą? Zasłaniał się, że robi to wszystko dla niej, ale tak naprawdę cały czas grał na siebie. Pytanie, czy ona też stała się dla niego przeciwnikiem…

– Postaram się wrócić jak najszybciej – powiedział. – Uważaj na siebie i zamknij za mną. To, że wszyscy będą skupieni na poszukiwaniach, może dać impuls temu zwyrolowi, żeby znowu zaatakować.

Nie zmrużyła oka. Dwadzieścia po trzeciej usłyszała trzask zamykanych drzwi. Miłosz nawet nie próbował być cicho. Ciężka kurtka upadła w przedpokoju na podłogę, zaraz potem buty zaszurały na płytkach. Na pewno nie chciało mu się ich podnieść, więc przesuwał je stopą w stronę szafy, żeby rano nie czepiała się, że zostawił bałagan. Wszedł na górę, pogwizdując, z łazienki doleciał do niej szum prysznica, a chwilę później wybrzmiało: *Dreams are made, winding through my head* stłumione po kilku sekundach przez lejącą się wodę. Leżała z szeroko otwartymi oczami, zastanawiając się, kim jest człowiek, który za chwilę położy się obok niej. Czy nadal był tym mężczyzną, który jechał przez połowę Polski, żeby o północy złożyć jej życzenia urodzinowe, przytulić ją i zaraz wracać na uczelnię do Koszalina? Nie, był kimś zupełnie innym. Ale ta zmiana zaczęła się nie wczoraj czy kilka dni temu, ale znacznie wcześniej. Nagle to do niej dotarło. Do tej pory była przekonana, że to, co złe, działo się

między nimi przez nią. Wmawiała sobie, że Miłosz trzyma ją w ryzach. A może w cieniu jej winy ukrywał własne grzechy? Przecież ciągle jej powtarzał, że jeśli się nie wyciszy, wszystko wróci. To był rodzaj zastraszenia alarmujący, że jeśli Weronika nie sprosta jego oczekiwaniom, stanie się coś złego. Zacisnęła zęby i zdusiła w sobie te myśli. Nie, nie miała racji. Jej mózg tylko projektował wygodną dla niej wersję wydarzeń.

Kiedy kilkanaście minut później Miłosz położył się obok, udawała, że już śpi. Piżmowy zapach żelu pod prysznic unosił się w powietrzu. Jak wtedy, podczas ich podróży poślubnej wzdłuż południowego wybrzeża Włoch siedem lat temu. Bez względu na wszystko jej mąż był jedyną stałą w tym pogmatwanym życiu. Potrzebowała go, nawet jeśli przestała kochać dawno temu. Musiała się jedynie upewnić, że wszystkie te niejasne sytuacje z jego udziałem były jedynie splotem nieszczęśliwych wypadków.

Kolejne dni zlewały się w jeden ciąg ponurych myśli. Cienka warstwa śniegu zniknęła, obnażając brzydotę świata. Chociaż to, co najczarniejsze, Weronika i tak nosiła w środku.

– Dzień dobry. – Usłyszała za plecami, kiedy podchodziła do auta.

– Cześć – odpowiedziała niechętnie, nawet się nie odwracając.

Nie miała ochoty na rozmowę z Marcinem. Wdzięczność, którą powinna do niego czuć, przekuła w niechęć.

– Wszystko w porządku? Nie było cię wczoraj na poszukiwaniach. Miłosz wspominał, że chorujesz.

Zacisnęła pięści, wzięła głęboki wdech i posłała mu wściekłe spojrzenie.

– Żartujesz czy po prostu jesteś bezczelny? – warknęła.

– Po prostu się zmartwiłem – przeciągnął sylaby w ostatnim słowie. – Ale skoro to nic poważnego, to świetnie.

Pogrywał z nią sobie, sprawdzając jej reakcję. Miłosz może i próbował udawać, że nic się nie stało, ale był w tym autentyczny – Marcin chciał ją sprowokować.

– Możesz spać spokojnie – burknęła.

– No to świetnie. W takim razie idę umyć ręce, bo te kundle nieodrobaczone były, a takie małe to lubią glistami srać.

– Jakie kundle?

– Ano te od Malwy, suki, co tu się za żarciem kręci. W nocy się wyszczeniła. Miłosz dzwonił z samego rana, bo jak wracał z poszukiwań, znalazł ją pod schodami z całym miotem. Dlatego przyjechałem wcześniej. Nadgodziny – zaśmiał się.

– Chcesz je dokarmić? – Rozejrzała się, szukając szczeniaków, ale nigdzie ich nie widziała. – Może trzeba ogarnąć jakieś mleko w proszku?

Znów się zaśmiał, tym razem głośniej.

– A gdzie tam. Psy nam tutaj niepotrzebne. Już wystarczy, że nad tamtą suką się zlitowałem i dokarmiam ją co jakiś czas, jak przylezie. Niepotrzebnie, bo się przyczepiła, a jeszcze teraz te kundle… Takie małe to wszędzie srają. – Machnął ręką. – Mowy nie ma.

– Gdzie te pieski? Weterynarz powinien je obejrzeć i zaszczepić przed oddaniem. Przygotowałeś już ogłoszenia? Mogę się urwać z pracy na godzinę i pomogę ci rozwieszać.

Prychnął z rozbawieniem.

– Powiedziałam coś zabawnego?

– Trochę. Przyjechałem wcześniej, żeby je zakopać. Wiesz, jak to jest, najlepiej się pozbyć kłopotu, zanim jeszcze oczy otworzą. A Miłoszowi jakoś szczególnie się śpieszyło, żebyś ich nie zobaczyła.

Zacisnęła pięści, po czym zapytała z nadzieją.

– Gdzie je zakopałeś? Może jeszcze żyją.

– A gdzie tam… Ze dwie godziny będzie, jak je w worach do dołu wrzuciłem.

Poślizgnęła się i runęła na mokrą od roztopów ziemię.

– Dziewczyno, co ty wyrabiasz? To tylko jakieś zapchlone kundle. Tu na wsi co chwilę ktoś takie niechciane psy wrzuca do rzeki albo do rowu. Uduszenie to najbardziej litościwy dla nich rodzaj śmierci, nawet nie zdążyły ogarnąć, że w ogóle żyją.

– Wykop je! Wykop, słyszysz?! – Podniosła się niezdarnie i zaczęła tłuc na oślep pięściami w jego klatkę piersiową. – Ją też oddaj rodzinie, oni na nią czekają, posrany gnoju!

Biła coraz mocniej. Tak mocno, że aż zdrętwiały jej dłonie.

– Co tu się dzieje?! – Głos Miłosza przywołał ją do porządku.

Obejrzała się na męża. Jego postać całkiem się rozmazała od jej łez.

– On zakopał je żywcem – wyszeptała, a potem nagle zaczęła krzyczeć: – Rozumiesz?! Żywcem. Były małe i bezbronne jak noworodki. Popierdolony psychol!

Miłosz złapał ją w pasie.

– Weronika, uspokój się. Uspokój się, kurwa! Jeśli zaraz nie przestaniesz, będę musiał zrobić coś, czego nie chcę.

– Ledwo co się urodziły. Odebraliście im szansę na życie, którą dostały od losu! Czym wam zawiniły?! – Ostatnie słowa wykrzyczała tak głośno, że aż zachrypła.

Po chwili poczuła mocne uderzenie, a później była wyłącznie ciemność.

– Stałaś się dla siebie zagrożeniem – powiedział cicho Miłosz. Siedział na skraju sofy, mrużąc oczy. Przypominały wąskie szare szczeliny.

– Jak mogłeś? Jak mogłeś? – powtarzała, dotykając bolącej skroni. Pod palcami wyczuła lekką wypukłość. – Uderzyłeś mnie?

Naprawdę tak nisko upadłeś?

Żachnął się.

– Sama się uderzyłaś. Szamotałaś się i walnęłaś głową w samochód.

Nachylił się do niej, ale się odsunęła.

– Jak mogłeś pozwolić mu zabić te pieski? Co one ci zrobiły? Nie morduje się ot tak, bez powodu.

– Wera, nie zamierzam tu prowadzić przytuliska.

– To trzeba było wysterylizować tę sukę, zamiast grzebać żywcem jej szczenięta. Umarły, zanim zaczęły żyć… – Poczuła, jak te słowa palą ją w przełyku.

Napotkała ostrzegawcze spojrzenie Miłosza. Doskonale wiedział, dokąd wiódł ten kierunek skojarzeń.

– To nie jest nasz pies. Marcin go czasami dokarmia. Do tej pory nawet nie zauważyłaś, że się tu szwenda.

– Gdybym zauważyła, nigdy bym na to nie pozwoliła.

– Ale nie zauważyłaś, a teraz nagle robisz z tego wielką dramę. Zaczynasz wymyślać problemy, które tak naprawdę nas nie dotyczą. Jesteśmy na wsi, to normalne, że suki szczenią się tu po kątach, a ludzie robią z nimi porządek, bo inaczej zżarłyby nas żywcem. Marcin robi tak od lat. Kilka dni temu powiedział mi, żebym dał mu znać, jak suka się oszczeni, żeby nie było kłopotu. Nie zastanawiałem się nad tym, po prostu zadzwoniłem.

– On jest popierdolonym zwyrolem. Zresztą ty też! – Rzuciła mu wyzywające spojrzenie. – Najpierw ukrywacie ciało tej kobiety, a teraz zabijacie psy dla własnego widzimisię. Zabijanie traktujecie jak zabawę.

– Zagalopowałaś się. Chyba zapominasz, że gdyby Marcin w porę nie uprzątnął podjazdu, być może rozmawialibyśmy tylko wtedy, gdyby wychowawca przyznał ci widzenie za dobre sprawowanie. A poza tym – ciągnął bezlitośnie – sama byłaś

o krok od czegoś znacznie gorszego, a teraz znęcasz się nad kolesiem, który może jest trochę nieokrzesany, ale poszedłby za nami w ogień, gdyby trzeba było. I dzięki niemu oboje jesteśmy bezpieczni we własnym domu.

Mylił się. To była zupełnie inna sprawa. Ona miała istotny powód. Nigdy nie robiła tego dla własnego widzimisię.

– Marcin jest nam oddany bardziej, niż obliguje go do tego umowa. Jako specka od HR chyba zdajesz sobie sprawę, że taki pracownik to skarb…

Mówił dalej, ale ona przestała już słuchać.

Nie pamiętała tamtej siebie. Czasy, kiedy pracowała jako psycholog w dużym koncernie farmaceutycznym, wydawały się teraz nierzeczywiste, jakby nie należały do jej życia, a były jedynie urywkiem oglądanego kiedyś filmu. Puste kadry, papierowe postaci, bez myśli i uczuć. To była inna ona. Poważana ekspertka w zakresie psychologii biznesu, szczęśliwa żona, kobieta śledząca z kalendarzem każdą zbliżającą się owulację, przed którą połykała najnowszej generacji suplementy wpływające na płodność. Każde jej wspomnienie było jedynie skamieniałą formacją. Pozostałością po czyimś życiu. Weronika z przeszłości stała się bezosobowym ciałem obcym, które Weronika z teraz nosiła w sobie.

– Myślisz, że to normalne? Że potrafimy żyć z taką tajemnicą? – rzuciła nagle. – Może oboje jesteśmy wynaturzeni. Niebezpieczni dla siebie i innych.

Miłosz złapał ją za rękę.

– Przestań. Wszystko jest z nami w porządku. Spotkało nas w życiu sporo zła, za dużo. Już wystarczy. Nie musimy brać na barki jeszcze cudzego cierpienia.

– Dlaczego morderca podrzucił zwłoki akurat na nasz podjazd? Może w tym wszystkim chodzi o nas?

Potrząsnął przecząco głową.

– Nie, to prostsze, niż ci się wydaje. Byłem policyjnym tropem, jedynym, jaki mieli. On w ten sposób odciąga uwagę od siebie. Nie trzeba być bystrzakiem, żeby coś takiego wymyślić.

Przyjrzała mu się uważnie. Miłosz mógł mieć rację. Ale mógł też kłamać.

Wcześniej

Ktoś zapukał do drzwi. Zirytowana podniosła głowę. Chciała być teraz maksymalnie skupiona, żeby nie popełnić żadnego błędu. Zbliżała się do newralgicznego momentu.

– Proszę – warknęła.

Krystyna Zdanowicz zajrzała do gabinetu.

– Pani Weroniko, mamy tu dziewczynkę, która dość niespodziewanie doświadczyła alienacji rodzicielskiej. Rodzice rozwodzą się w nieprzyjemnych okolicznościach i ojciec właściwie porzucił dziecko. Wczoraj doszło do jakiejś agresywnej wymiany zdań między matką a babką ze strony ojca. Wszystko oczywiście przy małej. Mogłaby pani poświęcić jej chwilę? – Przedszkolanka utkwiła w niej wyczekujące spojrzenie. – Przed chwilą zasiusiała kolejne majteczki, chyba ta sytuacja dość mocno jej ciąży.

– Teraz nie mogę. – Przekartkowała ostentacyjnie notes. – Zaraz zaczynam zajęcia z Aliną Kochańską.

– Aliną Kochańską? Ale przecież ona nie potrzebuje pilnej konsultacji. Przynajmniej z tego, co mi wiadomo… – dodała niepewnie.

– Pilnej nie, ale mam ustalony rytm spotkań, żeby przyjrzeć się każdemu dziecku. Chcę zdiagnozować każdego malucha pod kątem ewentualnych deficytów lub szczególnych potrzeb.

Wolałabym nie zaburzać schematu pracy, bo cały ten proces wymaga pewnej metodyki i skupienia.

– No tak, ale…

– Proszę przyprowadzić do mnie tę małą za godzinę. Wcześniej nie dam rady. A teraz, gdyby była pani tak miła i poprosiła Hanię, żeby powiedziała Alince o naszym spotkaniu. Dzieci nie powinny być zbyt gwałtownie wytrącane z zabawy.

– Jasne – bąknęła bez przekonania Zdanowicz. Najwyraźniej liczyła, że ta rzuci wszystko i zajmie się jej sprawą.

Trudno, uznała w duchu Weronika. Właściwie od początku czuła ze strony starszej kobiety pewną niechęć – jako jedyna z zespołu przedszkolnego nie zaproponowała, by przeszły na ty. Myślała, że chodzi o różnicę wieku, ale tamta chyba po prostu jej nie lubiła. Albo co gorsze, nie ufała jej.

– A i jeszcze jedno – odezwała się Zdanowicz. – Kadrowa prosiła, żeby pani przekazać, że czeka na papier potwierdzający uprawnienia pedagogiczne. Skan nie wystarczy, bo musi wpiąć oryginał albo przynajmniej odpis do teczki osobowej. No i chyba jeszcze jakieś referencje, ale nie pamiętam już dokładnie, więc najlepiej będzie, jak same sobie to wyjaśnicie.

Uśmiechnęła się w dziwny sposób i zniknęła bez pożegnania, a Weronika poczuła, jak cierpnie jej skóra na karku. Miała coraz mniej czasu, musiała się śpieszyć.

Teraz

– Kiedy załatwiamy formalności z mieszkaniem w Krakowie? – zapytała Miłosza, który znudzony przerzucał kanały.

Telewizor pulsował niebieską smugą. Był jedynym jasnym punktem ciemnego salonu.

– No tak jak się umawialiśmy z nabywcami. Do marca mamy wszystko zabrać, a oni wpłacą pozostałą część kasy. Nic się nie zmieniło.

– Aha, to dobrze. Chciałabym pojechać tam na weekend.

Miała nadzieję, że powrót w stare kąty pozwoli jej znaleźć odpowiedzi na pytanie, co tak naprawdę ukrywa przed nią mąż.

– Spoko, jeśli jesteś pewna, że dasz radę, to możemy jechać w któryś weekend po świętach.

– Razem? – zdziwiła się. – Przecież do tej pory twierdziłeś, że ktoś musi tu zostać i pilnować gospodarstwa. A poza tym chcę jechać teraz, nie po świętach.

Oderwał wzrok od ekranu telewizora i spojrzał na nią przeciągle.

– Teraz to niemożliwe. Akurat zamówiłem firmę, żeby odświeżyć farbę i zrobić jakąś kosmetykę. Sąsiad z góry trochę nas zalał i salon jest cały w zaciekach – powiedział bez zająknięcia.

– Nic nie wspomniałeś.

– Tak jak nie wspomniałem ci, że suka błąkająca się po naszym ogródku jest szczenna. Nie chciałem ci zawracać głowy pierdołami, co jednak okazało się wielkim problemem. Od teraz więc uroczyście przysięgam spowiadać ci się ze wszystkich błahostek na bieżąco – dodał żartobliwie i znów skupił uwagę na telewizorze.

– O tym, gdzie jesteś i co robisz, też będziesz mnie łaskawie informował?

Znieruchomiał. Chwilę trwało, nim popatrzył jej prosto w oczy. Zupełnie jakby musiał się najpierw przygotować, wymyślić na poczekaniu kolejne kłamstwo.

– Przecież nigdy niczego przed tobą nie ukrywałem – odparł, po czym teatralnym gestem zerknął na zegarek. – O, nie wiedziałem, że jest tak późno. Muszę jeszcze skoczyć na stację benzynową po

płyn do szyb, bo przy tej pogodzie jeżdżenie na oparach to samobójstwo. – Podniósł się z sofy i ruszył do przedpokoju.

Zobaczyła, jak sięga po ocieplaną ramoneskę, wciąga ubłocone trapery i wychodzi z domu. Przez otwarte drzwi napłynęło do środka lodowate powietrze. Weronika przymknęła oczy. Siedziała tak godzinę albo dłużej, kiedy znów poczuła łaskotanie zimnego wiatru na stopach. Była przekonana, że to Miłosz wrócił, więc nawet nie rozchyliła powiek.

– Trzeba uważać, jak tak wieje. – Cierpki głos zdecydowanie nie należał do jej męża.

Gwałtownie otworzyła oczy. Twarz spękana bliznami potrądzikowymi była zdecydowanie zbyt blisko. Weronika odsunęła się, przywierając do siedziska sofy. Kanapa stanowiła jej strefę bezpieczeństwa. Granicę, której Marcin nie odważy się przekroczyć, a przynajmniej taką miała nadzieję.

– Wichura lubi szkody narobić na tym pustkowiu – ciągnął chłopak. – Do kolejnej chałupy mamy jakieś dwa kilometry. Jak prąd wyłączą, zapada tu całkowita ciemność. A raz drzewo na budynek gospodarczy się przewróciło i najedliśmy się strachu z Klemencją.

– Nie ma agregatu?

– A bez przesady, a co to szpital albo lotnisko?

– Trzeba jakieś świeczki przynajmniej przygotować.

– Lampa naftowa jest w korytarzu. Przyniosłem ze strychu.

– Dziękuję.

– Nie ma co dziękować, to moja praca. – Podrapał się za uchem. – Właściwie to chciałem przeprosić. Głupio wyszło z tymi psami. Ale tutaj w Szumach i w ogóle na wsiach od zawsze tak się robiło. Ubijało się, zanim zwierzaki zdążyły się zorientować, że w ogóle przyszły na świat. Gdybym wiedział, że będzie ci to przeszkadzało, tobym je wywiózł gdzieś i wypuścił w lesie.

– Wtedy umarłyby z głodu w męczarniach. Nic by to nie zmieniło.

Wzruszył ramionami.

– No to nie wiem. Coś by się wymyśliło.

Jeśli chciał poprawić atmosferę między nimi, źle się do tego zabrał. Być może miał dobre intencje, ale Weronika nie potrafiła pozbyć się niechęci do tego chłopaka.

– Dajmy już spokój. Życia nic tym psom nie wróci. Mam po prostu nadzieję, że następnym razem… – zawahała się, szukając odpowiednich słów – …będę miała coś do powiedzenia w swoim własnym domu.

Nazywanie tego miejsca domem wywołało w niej wewnętrzny sprzeciw.

– Ależ pizga. – Miłosz wszedł do salonu z butelką wina pod pachą. Zostawiał za sobą błotniste ślady. – O, rozmawiacie – ucieszył się. – Nieporozumienia trzeba wyjaśniać na bieżąco, bo później urastają do skali końca świata. Dobrze, że kupiłem wino musujące, będzie idealne na toast w imię pokoju i spokoju.

– Myślałam, że pojechałeś po płyn do spryskiwaczy. I zdejmij łaskawie te buty – wycedziła.

– Już zdejmuję. I tak, pojechałem po płyn. Oraz po wino. – Wyjął z kredensu trzy kieliszki.

– Ja odpadam – rzucił Marcin. – Muszę jeszcze zabezpieczyć okna w gospodarczym. Cholera wie, jak bardzo ten wiatr się rozhuśta – dodał, po czym wyszedł, rozmazując mokre ślady Miłosza.

– Widziałem, że zostawił naftę przy wejściu. Swoją drogą świetny sprzęt, muszę tylko ogarnąć, jak to w ogóle działa, o ile działa. Oj, Wera, nie rób takiej poważnej miny. To tylko wiatr w porywach do stu dwudziestu kilometrów na godzinę, nie śmiercionośne tornado.

Przypomniała sobie, co babka powtarzała o halnym, po czym wypiła na raz całą zawartość kieliszka. Miłosz posłał jej zaskoczone spojrzenie.

– Idę spać – oznajmiła. – I dla twojej wiadomości: nie robię przerażonej miny. Po prostu to wycie w każdym kącie domu nawet przy najmniejszych podmuchach doprowadza mnie do szału.

Zanim zdążyła się podnieść z sofy, Miłosz nachylił się do niej i musnął nosem płatek jej ucha. Zamarła. Nie kochali się od miesięcy, a każda próba zbliżenia kończyła się tak samo. Weronikę mdliło od jego dotyku, zwykle wykręcała się więc bólem głowy. Po jakimś czasie przestał próbować. Te dzisiejsze, zupełnie niespodziewane przejawy czułości wprawiły ją w konsternację.

– Dobranoc. – Odsunęła się i wbiegła szybko po schodach.

Oczywiście zdarzały się nawet chwile, kiedy sama myślała o nim z czułością, ale nie potrafiła przełamać się na tyle, by pozwolić na seks, który przypominał te wszystkie lata starań. I wszystko to, co nastąpiło później. Bliskość z mężem była elementem minionej rzeczywistości, wspomnieniem. Tak jak ich miłość. Zostało wyłącznie przywiązanie.

Kiedy od piętra dzieliło ją zaledwie kilka schodów, światło zamrugało, a później zgasło. Wszystko spowiła ciemność.

Weronika zatrzymała się, wyjęła telefon z kieszeni i włączyła go. Niebieska smuga rozświetliła mrok na kilka centymetrów. Poziom naładowania wskazywał trzy procent.

– Kurwa – zaklęła pod nosem, a później zawołała nerwowo: – Miłosz!

Usłyszała jego kroki, szuranie i po chwili w czarnej pustce, która pochłonęła ich dom, błysnął promień światła. Miłoszowi udało się włączyć lampę naftową.

– Gdzie on, kurwa, polazł – mruknął. – Akurat teraz, kiedy jest najbardziej potrzebny… Marcin! – zawołał, ale odpowiedziała mu

cisza. Wyjął telefon. – Ja pierdolę, zasięgu też nie ma. No to pięknie. Zostań tu, a ja go poszukam. Musi sprawdzić, czy tryb awaryjny w alarmie działa.

Wraz z mężem z domu zniknęła łuna światła. Przez chwilę jedynym jego źródłem była niebieska poświata wokół ekranu jej komórki. Ale i ją wchłonęła czerń.

Gdy Miłosz wrócił po kwadransie, stała dokładnie w tym samym miejscu, co wcześniej.

– System zabezpieczający alarm nie chce odpalić, a Marcin przepadł – powiedział z niepokojem. – Nie ma jego auta. Jesteśmy tu totalnie bezbronni, a sama wiesz, że jakiś pojeb chodzi sobie po ulicach, bo policja zamiast tropić prawdziwych morderców, zajmuje się przesłuchiwaniem niewinnych ludzi.

W jego głosie brzmiał czysty strach – pytanie tylko, czego tak naprawdę się bał.

– A może raczej chodzi o to, że twój wielce zaufany i oddany pracownik, który podobno miał zapewniać nam bezpieczeństwo w każdej sytuacji, rozpłynął się w powietrzu, co? – rzuciła zaczepnie. – Wymknął ci się spod kontroli i teraz nie wiesz, czego się po nim spodziewać…

– Idź spać – warknął rozzłoszczony.

Czekała jeszcze chwilę, ale już się nie odezwał. Zrezygnowana podeszła bliżej.

– Daj mi tę lampę, ogarnę sobie jakieś świeczki do łazienki. Chcę się wykąpać.

– Jeśli masz ochotę na morsowanie we własnej wannie, to proszę bardzo. Jak nie ma prądu, terma nie działa.

– Zasrana wiocha – sarknęła, ale jej słowa zagłuszył kolejny podmuch wiatru, który uderzył w okna. Szyby zadrżały.

Kiedy tańcują diabły, w górach wieje halny – powtórzyła w myślach słowa babki. Miała nadzieję, że to góralskie porzekadło nie miało zastosowania na Wzgórzach Dylewskich.

ROZDZIAŁ 9

Wcześniej

Termometr wskazywał kilka stopni powyżej zera, ale przez szarpiący drzewami wiatr wydawało się znacznie chłodniej. Mimo to plac zabaw tętnił życiem. Weronika skupiła się na tym, by nie stracić z oczu kurtki w złote serca. Roześmiana dziewczynka co chwilę podbiegała do eleganckiej starszej kobiety w płaszczu w pepitkę. Ta szeptała jej coś do ucha, po czym mała wracała do zabawy. W pewnym momencie spojrzała w jej stronę i Weronika pośpiesznie zakryła twarz szalikiem. Przyjeżdżała tu co sobota, kiedy Alina przez dwie godziny była pod opieką babci. I w parzyste dni powszednie, gdy przychodziła z matką. Weronika robiła to po to, żeby wtopić się w tłum, stać się częścią krajobrazu. Planowała wyjść z ukrycia dopiero, kiedy będzie mogła wdrożyć plan, który od miesięcy powstawał w jej głowie. Zatrzymała wzrok na uśmiechniętej twarzy Heleny Kochańskiej z wyraźnie zarysowanymi zmarszczkami mimicznymi. Wnuczka była dla niej całym światem. Światem, który za chwilę miał lec w gruzach.

Teraz

Oślepiające słońce rozlewało się po ogrodzie, wślizgując się do łazienki razem z męskim głosem przez szparę w oknie.

– Co ty odpierdalasz? Pojebało cię? – Miłosz próbował mówić szeptem, ale był zbyt zdenerwowany, by zwracać na to uwagę. – Mówię do ciebie. Na słuch ci padło? Miałeś wczoraj zostać tu na noc, a zniknąłeś bez słowa. Zasilanie w alarmie nawaliło, kurwa! Zdajesz sobie sprawę z tego, na co nas naraziłeś?

Weronika ostrożnie wyjrzała przez okno. Zobaczyła Marcina rąbiącego drewno i swojego męża, który zerkał nerwowo na drzwi wyjściowe – jakby się bał, że ona zaraz wyjdzie z domu i ich nakryje. Nie wziął pod uwagę tego, że obaj stali zdecydowanie za blisko łazienki.

– A ty dotrzymujesz naszych ustaleń? – spytał w końcu Marcin, opierając się o siekierę.

– Kurwa, przecież wiesz, że wszystko ci wyrównam. To tylko chwilowy przestój.

– A ja wczoraj chwilowo byłem zajęty.

– Nie będę wchodził z tobą w durne pyskówki. Taka sytuacja nie może się powtórzyć. Sam nas tu ściągnąłeś, obiecując bezpieczeństwo.

– Przecież nic się nie stało. – Marcin splunął.

– Ale mogło. Firma ochroniarska nie miała żadnego wglądu w nasz system zabezpieczeń. A przede wszystkim nie było tu ciebie, a to ty masz nas chronić, gdyby coś się zesrało.

Wstrzymała oddech, notując w pamięci każde słowo.

– Nie mają pojęcia, gdzie jesteś. Przynajmniej na razie.

– Grozisz mi?! – syknął Miłosz, zaciskając pięści.

– Jedynie przypominam o umowie. Zresztą chyba nie jesteś głupi. Szumy zaraz będą na językach całej Polski w związku z tymi uduszonymi dupami. Tak się składa, że jesteś podejrzanym, a oni mają takie samo pierdolnięcie w psiarni jak ty. A może i mocniejsze.

– Dostaniesz tę kasę, daj mi jeszcze kilka dni. W świetle prawa nie jestem żadnym podejrzanym.

– Sypnąłeś komu trzeba, co? Ale uważaj, już raz się przejechałeś. Pamiętasz, jak wypaplałeś glinom, że tej pierwszej uduszonej zabójca nie wyruchał? – Marcin zaśmiał się chrapliwie. – Wtedy właśnie przegapiłeś moment, w którym z tych twoich pleców zrobił się garb. Żeby tak nie było i tym razem, że się przejedziesz na tej swojej pewności siebie. Czekam do wtorku. I radzę ci trzymać się tego terminu, bo jak jestem wkurwiony, to mam bardzo długi język.

Marcin zabrał siekierę i poszedł, a Miłosz stał jeszcze długo, odprowadzając go wzrokiem.

Weronika niemal zapomniała o oddychaniu. Nie miała pojęcia, o czym tak naprawdę rozmawiali, ale jedno wiedziała na pewno: Marcin nie był tym, za kogo go uważała. Wszystko, co do tej pory widziała i słyszała w tym domu, było kłamstwem.

– Ale w nocy wiało. U was na tym końcu świata pewnie jeszcze bardziej niż we wsi. – Łukasz postawił na jej biurku kubek z gorącą czekoladą. Pierwszy raz, odkąd tu pracowała, przygotował jej coś do picia. – Kiepsko wyglądasz, wypij coś ciepłego, zanim zaczniesz ogarniać sekretariat, bo Adam się załamie, kiedy zobaczy cię w tak niereprezentatywnym stanie. Sorki, ale kieruję się standardami z branży lotniczej. Wizerunek jest podstawą zaufania – dodał żartobliwie.

Chciała wspomnieć o jego brudnych paznokciach, ale ugryzła się w język. Poza tym czekolada była pyszna i zrobiło się jej głupio, bo przez ostatnie dni odzywała się do Łukasza jedynie monosylabami. W obecności Adama chciało jej się starać, odzyskiwała przy nim siły i chęć do życia. Przed Łukaszem nie musiała grać kogoś lepszego i ciekawszego. Wchodząc do biblioteki, od razu zamykała się we własnych myślach.

– A jak było w Marsylii? – zapytała. – Nie opowiadałeś nic o swoim wypadzie.

– Posmakowałem trochę dobrych rzeczy, pokręciłem się po starych kątach i zjadłem kolację w najlepszej na świecie knajpce albańskiej. Przebija wszystkie, nawet te w Albanii.

Pożałowała, że ona też nie wyjechała na tamten weekend – wówczas nie znalazłaby zwłok nauczycielki na podjeździe. Oczywiście nie znaczyłoby to, że śmierć tamtej dziewczyny by się nie wydarzyła, ale przynajmniej nie splotłaby się z życiem Weroniki.

– No i zrozumiałem, że czas wracać do starego życia i ciała. – Uśmiechnął się Łukasz. – Muszę uprzedzić Adama, żeby sobie ogarnął kogoś od nowego roku do biblioteki.

– To jeszcze kupa czasu.

– Może i tak, ale wbrew pozorom procesy rekrutacyjne to nie są proste rzeczy do ogarnięcia w Szumach. No chyba że ty tu pociągniesz na cały etat. Ale nie wiem, czy da się to pogodzić z sekretariatem.

– Nie wybiegam myślami tak daleko w przyszłość.

– A ja tam lubię planować i wizualizować sobie to, co ma się dopiero zdarzyć. Czasami rozliczać to, co już było. W głowie przeszłość można udoskonalić, a przyszłość zmienić.

– Przeszłość najlepiej odciąć grubą kreską – powiedziała bez przekonania.

Kiedy dwie godziny później Adam przysiadł na jej biurku, poczuła gorzki zapach jego perfum, mimowolnie pomyślała, że chciałaby, żeby był jeszcze bliżej.

– Chyba wypadałoby postawić tu choinkę i jakiś stroik, bo jutro przyjeżdżają sztywniaczki z kuratorium i jeszcze wyjdzie, że nasza społeczność nie żyje w duchu chrześcijańskim albo coś w tym stylu. To skostniałe towarzystwo, więc lepiej dmuchać na zimne – stwierdził, a ona szybko wróciła do rzeczywistości.

– Czyli zostawiasz taszczenie pudeł na moich kruchych barkach?

– Jestem krzewicielem idei emancypacji – odparł poważnie, chociaż w jego oczach pojawiły się iskierki rozbawienia.

Chciała zatrzymać jego spojrzenie.

– Emancypacja nie ma nic wspólnego z przydzielaniem pracownikom zadań wkraczającym poza zakres ich kompetencji. No chyba że ci się definicje pomyliły i chodziło ci o wyzysk. A może nawet karoshi.

– Karo co?

– Popularna, szczególnie w Japonii, śmierć z przepracowania.

Adam się roześmiał.

– Lubię, jak jesteś taka wredna, ale mówiąc zupełnie poważnie – spojrzał jej w oczy tak głęboko, że poczuła ciepło w podbrzuszu – będę ci bardzo wdzięczny, gdybyś mogła to zrobić. Muszę wziąć kilka godzin w Kamionce, bo nie wyrabiają już na zakrętach, a najwięcej na tym tracą dzieciaki.

– Ta dziewczyna jeszcze się nie znalazła? – zapytała wbrew sobie.

Pokręcił głową.

– Ogólnie sprawa zmierza w dziwnym kierunku. Podobno między nią a mężem nie działo się dobrze, a on nie ma mocnego alibi. Był sam z dziećmi, które są za małe, by zeznawać. Nikt inny

nie może tego potwierdzić. Tylko wiesz… – Zaczął nerwowo zbierać książki z biurka. – Ja po moich doświadczeniach do takich hipotez podchodzę bardzo ostrożnie. – Wydął usta w grymasie, który miał udawać uśmiech. – W każdym razie zakładam, że jeśli rzeczywiście między nimi coś nie grało, a jego wersja jest prawdziwa, to mogła po prostu uciec.

– I zostawiłaby dzieci? – Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– To właśnie mi się nie składa, ale ludzie w depresji nie działają racjonalnie. Zresztą wiesz o tym najlepiej jako psycholog.

– Od dawna nie działam w branży – zmieszała się.

– Nie da się przestać być psychologiem, tak jak nie da się przestać być księdzem. Nawet ci, którzy zrzucili sutannę, nadal są kaznodziejami. Mieliśmy tu kiedyś takiego eksduchownego. Chodził bez koloratki, ale nadal mentalnie tkwił w strukturze Kościoła i ciągle nas katechizował.

Nawet nie miał pojęcia, jak bardzo się mylił. Ona przestała być nie tylko psychologiem, ale przede wszystkim dawną sobą.

Zerknął na zegarek.

– Cholera, muszę lecieć. Jak ci się uda ogarnąć tę choinkę, to super. Jest na górnej półce, jakby co weź drabinę, stoi za szafą. A jeśli nie, to nie zajmuj sobie tym głowy. I tak mam wolny wieczór, to najwyżej zrekompensuję sobie brak świąt w domu strojeniem wielowiekowego drzewka z plastiku na potrzeby szkoły. – Mrugnął do niej porozumiewawczo, zgarnął laptopa i zniknął za białymi drzwiami.

Bez entuzjazmu wyciągnęła metalową drabinkę, wspięła się po zardzewiałych stopniach i otworzyła szafkę. W środku znajdowało się kilka kartonów. Ostatni z nich okazał się zaskakująco ciężki. Kiedy zniosła je na dół, zaczęła wypakowywać bombki, łańcuchy oraz wielką plastikową choinkę. Rozłożyła wyłysiałe gałązki, wracając wspomnieniami do czasów dzieciństwa. Julka zawsze

chciała ozdabiać czubek drzewka. Tata musiał ją wtedy podnosić, żeby mogła dosięgnąć korony. Później umarł i święta na długie lata zostały wykreślone z ich kalendarza. Od nowa Weronika zaczęła obchodzić je dopiero, kiedy poznała Miłosza, ale teraz znów wszystko straciło sens. W tamtym roku nawet nie próbowali udawać, w tym uparł się, żeby zachować tradycję. Jak to miało wyglądać? Włożą eleganckie ubrania, zamówią catering? Kolejna mistyfikacja w ich wspólnym życiu.

Kiedy rozwinęła szeleszczące łańcuchy, z których wysypały się cienkie włókna kurzu, a ona kichnęła, otworzyły się drzwi do sekretariatu.

– Uprzejmi mi donieśli, że jestem potrzebny – powiedział Grasicki.

– Dzięki, ale ci uprzejmi są też nadgorliwi, bo już sobie poradziłam. – Wskazała podbródkiem na stos pudeł, a on pokiwał głową.

– No to nie będę się narzucać, bo całe to przedświąteczne zamieszanie wprawia mnie w rozdrażnienie. Jak dzieci były małe, trzeba było udawać, a odkąd jesteśmy sami z żoną, to nie wydziwiamy. Przełamiemy się opłatkiem, zjemy kolację, pooglądamy telewizję. Co to więcej trzeba? Syn i córka nie przyjeżdżają, odpocząć chcą, z własną rodziną pobyć i ja to rozumiem. A my to już dla nich tylko starzy rodzice, z którymi nie ma nawet o czym pogadać, bo tego życia w korporacyjnym pędzie pojąć w stanie nie jesteśmy. – W zadumie pogładził palcem wąsy.

Pomyślała, że sporo by dała, by móc spędzić święta z rodzicami. Śmierć ojca była szokiem, matkę pochowała trzy lata później na chłodno. Wtedy uważała, że najtrudniejsze rozstania w życiu ma już za sobą. A potem przyszedł dzień, w którym odebrała ten pieprzony telefon.

– To może chociaż pomogę te pudła zapakować z powrotem na górę? – zaoferował się konserwator.

– Nie trzeba. Są puste, więc tym bardziej nie będzie z tym problemu.

– Kobieta mówi, ja respektuję. Nie będę się napraszał. – Włożył zgrabiałe dłonie w tylne kieszenie spodni. – A jeszcze chciałem podpytać, jak tam mąż. Odetchnął po tym, jak to całe zamieszanie się skończyło?

Pokiwała tylko głową, po czym znienacka spytała:

– Zna pan Marcina, który u nas pracuje?

Grasicki westchnął.

– Znam pewnie tyle, co i pani. Ze swoich źródeł wiem, że jakiś tam nielegalny handel papierosami spod granicy prowadzi. Ale zawsze był na tyle cwany, że nikt nie zdołał mu nic udowodnić. Umie gość w te klocki. A czemu pani pyta? Podejrzewa go pani o coś?

– Nie, po prostu czasami dziwnie się zachowuje.

– Dziwnie? – Były policjant zmarszczył brwi i na jego czole pokazały się głębokie bruzdy.

Zawahała się.

– Zakopał żywcem pieski w ogrodzie, bo suczka, którą dokarmiamy, oszczeniła się na naszym podwórku.

Grasicki zaczął się śmiać, co wprowadziło ją w konsternację. Co niby takiego zabawnego było w zabijaniu psów?

Dostrzegł jej spojrzenie, bo podniósł uspokajająco dłoń i wyjaśnił:

– Tutaj wszyscy tak robią z niechcianymi szczeniakami. Nie ma co pochopnie osądzać drugiego człowieka. Wie pani – popatrzył na nią tak, jakby chciał jej coś przekazać – po tylu latach pracy w policji zrozumiałem, że kara nie zawsze jest remedium na złe uczynki. Czasami lepiej je zastąpić czymś dobrym, a jak się nie

da, poszukać mniejszego zła, które zagłuszy to większe. Szkoda, że tak późno to do mnie dotarło, może inaczej potoczyłoby się życie kilku osób…

Miała wrażenie, że emerytowany policjant wie o niej znacznie więcej, niż by chciała. Na szczęście szybko wyszedł i zostawił ją samą z jej myślami. Układając pudła, ze zdziwieniem odkryła, że jedno z nich wciąż jest nierozpakowane. Otworzyła je z zaciekawieniem. Zamiast ozdób znajdowały się tam zdjęcia, wycinki z artykułów prasowych, kilka starych kronik szkolnych. Przekartkowała w dłoniach sztywne od kurzu fragmenty starej gazety.

Tragiczny pożar w szumskim zespole szkolno-przedszkolnym. Dzieci i nauczycielka nie żyją. Tekst był opatrzony niezbyt wyraźnym czarno-białym zdjęciem kobiety i grupki stojących wokół niej dzieci. Kolejne artykuły dotyczyły przeprowadzonej w 1993 roku olimpiady matematycznej i wystawionych rok później jasełek. Były też kartki z odręcznymi zapiskami. Wyglądały, jakby wyszły spod jeszcze nie do końca wprawnej dziecięcej ręki. Weronika z ciekawością omiotła je wzrokiem.

Ola nigdy się z nikim nie kłóciła. Uwielbiała śpiewać, raz nawet wygrała szkolny przegląd piosenki. W piątki po szkole czasami chodziłyśmy na oranżadę do sklepu, jak mama pozwoliła. Śmiałyśmy się wtedy, że jesteśmy jak ci panowie, co piją piwo na miejscu pod parasolem. Tęsknię za nią, jak ona była w szkole, to lubiłam nawet matematykę. Teraz w ogóle nie lubię tu przychodzić, jak jej już nie ma.

Przejrzała kolejne kartki, każda zapisana innym charakterem pisma. Te dziecięce wspomnienia musiały dotyczyć ofiar pożaru.

Na samym dnie leżały zdjęcia spięte recepturką. Zdjęła ją ostrożnie. Uśmiechnięta dziewczynka z zaplecionym nierówno warkoczem, piegowaty rudzielec z odstającymi uszami, drobna

brunetka z ostro zarysowanym podbródkiem. Te dzieciaki mogły mieć nie więcej niż sześć, może siedem lat. Na samym spodzie znajdowała się fotografia nieco większa od pozostałych. Weronika przyjrzała jej się uważnie i nagle zakręciło jej się w głowie. Musiała otworzyć okno i zaczerpnąć powietrza, bo miała wrażenie, że z pomieszczenia uleciał cały tlen.

Ze zdjęcia spoglądała na nią drobna kobieta o jasnych włosach i niebieskich oczach, z których bił chłód. Równo zaprasowana bluzka w czarne grochy, złote oprawki okularów i coś, co sprawiło, że krew stężała jej w żyłach. Przejechała dłonią po swojej twarzy. Kobieta z fotografii miała duże znamię na policzku typu myszka. Identyczne jak to, którego Weronika właśnie dotknęła.

ROZDZIAŁ 10

Kiedy weszła do domu, poczuła intensywną korzenną woń.

– Co tak pachnie? – zapytała, rzucając niedbale płaszcz na dno szafy.

– U jednej z tutejszych gospodyń zamówiłem piernik. Oryginalny, staropolski. Przed chwilą przyniosła. Jeszcze twardy jak kamień, ale do świąt akurat zmięknie. – Miłosz odkrył pożółkłą ścierkę, którą przykryte było ciasto.

– Od kiedy jesteś fanem piernika? – Ściągnęła but z prawej stopy, usiłując zachować równowagę.

– Może nie jestem, ale chcę, żeby pierwsze święta w tym domu były tradycyjne. Nie jakiś tam restauracyjny catering.

Nie skomentowała tego, chociaż na usta cisnęły jej się same złośliwości. Cóż, najwyraźniej nie była w stanie podzielić jego entuzjazmu.

– Skoro już jesteśmy przy zachciankach, tak jak mówiłam, chciałabym pojechać do Krakowa na weekend.

Potrzebowała tego wyjazdu jeszcze bardziej niż wcześniej. Duszny klimat Szumów zaczął ją coraz dotkliwiej przytłaczać. Brakowało jej przestrzeni.

Uśmiech na twarzy Miłosza natychmiast został wyparty przez grymas.

– Tłumaczyłem ci, że do mieszkania wchodzi ekipa remontowa. Pojedziemy tam, jak już skończą, po świętach.

– Chcę pobyć sama.

– To będzie trudne… – Zmrużył oczy, jakby nad czymś się zastanawiał. – No dobra, to miała być niespodzianka, ale w tej sytuacji powiem. Zamówiłem nam hotel na weekend. W ramach przedwczesnego prezentu urodzinowego.

– Przecież urodziny mam dopiero dwudziestego ósmego grudnia – mruknęła ze złością, ale zaraz potem zrobiło jej się głupio.

– No tak, ale bliżej sylwestra są tam tłumy, a ty uwielbiasz słuchać szumu fal, nie rozwrzeszczanych turystów. Z południa takie wypady były problematyczne pod kątem organizacyjnym, na co zresztą często narzekałaś.

Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Jego intencje były szlachetne, jednak nie miała teraz ochoty na żadne podróże.

– Oczywiście mogę cofnąć tę rezerwację, tylko wiesz… – Podrapał się po głowie. – W ramach tego wyjazdu zorganizowałem jeszcze jedną, dość kosztowną niespodziankę. – Zrobił smutną minę. – Ale trudno, nic na siłę. Odwołam, pieniądze nie są w życiu najważniejsze.

Wiedziała, że Miłosz odgrywa jakąś rolę, ale mimo to jego słowa poruszyły w niej jakąś wrażliwą strunę.

– Nie odwołuj – powiedziała miękko. – Kraków nie ucieknie, Krowodrza też nie zniknie z mapy – dodała, myśląc o kiedyś ukochanej, a teraz znienawidzonej dzielnicy. – Pojedziemy po świętach.

Zaczęła się łamać. A co, jeśli te wszystkie podejrzenia, które miała względem niego, były jedynie próbą odwrócenia uwagi od

tego, co ją naprawdę przytłaczało? Może tworzyła sobie wyimaginowane lęki, żeby stłumić te prawdziwe?

– Super, bardzo się cieszę. – Miłosz wyciągnął rękę, ale szybko ją cofnął, jakby nie chciał jej spłoszyć. – Dobrze nam zrobi taki wypad we dwoje z dala od domu. I tego starego, i aktualnego.

Przytaknęła, ale jej myśli pogalopowały już w innym kierunku. Odtwarzała w głowie zapisany w pamięci obraz ze zdjęcia. Łudząco do niej podobna kobieta ze znamieniem na policzku. Musiała być mniej więcej w jej wieku, kiedy spłonęła żywcem wraz ze swoimi uczniami. Nieoczekiwanie przed oczami Weroniki pojawiła się inna klisza. Ciało dziewczyny porzucone na podjeździe. Nie była przekonana, czy to zwykły strumień myśli, czy jej mózg splótł te dwie sprawy, bo mogły mieć ze sobą coś wspólnego.

Siedziała jak na szpilkach, niecierpliwie wpatrując się w okrągły zegar wiszący nad drzwiami. Krótsza wskazówka zatrzymała się na godzinie ósmej, tę dłuższą dzieliło od dwunastej kilka centymetrów. Podskoczyła, kiedy drzwi gwałtownie się otworzyły. Stanęła w nich niska brunetka o ziemistej cerze, Katarzyna, nauczycielka chemii.

– Adam wspominał, że gdzieś tu są sprawdzone kartkówki piątej b. Mam poprowadzić jego lekcję – westchnęła, napotykając zdziwione spojrzenie Weroniki. – Jakieś sprawy rodzinne. Chyba dziecko jest w szpitalu, nie wiem, nie dopytywałam. Dasz mi te sprawdziany? To zastępstwo spadło na mnie dość niespodziewanie, nie jestem przygotowana. Zresztą fizyka to nie moja bajka. Omawianie zadań z kartkówki, których rozwiązania mam w repetytorium, to jedyny sposób, żeby jakoś wybrnąć z tej sytuacji.

Weronika zniknęła za drzwiami dyrektorskiego gabinetu. Była rozczarowana – czekała na Adama, żeby zapytać go o pożar i łudząco do niej podobną kobietę.

– Proszę. – Wręczyła nauczycielce plik kartek i kiedy z korytarza dobiegł przytłumiony dźwięk dzwonka, dodała niepewnie: – Wiesz może, gdzie znajdę jakieś informacje o pożarze szkoły? To chyba było jakoś w latach dziewięćdziesiątych, spłonęło wtedy kilkoro uczniów na świetlicy wraz z nauczycielką.

Kasia spojrzała na nią spod czarnych, nierówno pomalowanych brwi.

– Coś mi się obiło o uszy, ale nie pomogę. Mało się tu o tym mówi, a ja przeprowadziłam się do Szumów pięć lat temu, jak zwolnił się etat chemiczki. Lepiej zapytaj Mirka. W końcu to emerytowany policjant, oni zawsze wszystko wiedzą.

Weronika wolała porozmawiać o tym z Adamem, tyle że jego nie było.

– A nie wiesz, kiedy dyrektor wróci?

– Nie mam pojęcia, ale na jutro też wpadło mi zastępstwo za niego, więc raczej nie prędzej niż po weekendzie.

Wyglądało na to, że będzie musiała uzbroić się w cierpliwość.

Wiatr dął w szyby auta. Grube krople deszczu uderzały z impetem o blaszany dach.

– Czujesz, jak nas zarzuca? Może zwolnij trochę – upomniała męża.

Miłosz nie zareagował. Pogwizdywał, wpatrując się wprost przed siebie. Weronika stuknęła palcami w plastikową belkę okalającą wyświetlacz radia.

– Słyszysz, do cholery, co mówię?

Spojrzał na nią z ukosa.

– Spokojnie, nad wszystkim panuję. Zrelaksuj się. Może się zatrzymam i kupimy jakieś bąbelki na stacji paliw? Będziesz sobie sączyć na spokojnie.

– Nie będą potrzebne. Jeśli zwolnisz, zrelaksuję się bez tego.

Jechali szybko, mijając kolejne auta. Wycieraczki pracujące na najwyższych obrotach rozbryzgiwały smugi deszczu na szybie.

– Skąd wiedziałeś o tym, że ta dziewczyna, którą podwoziłeś, nie została przed śmiercią zgwałcona?

Wzdrygnęła się na dźwięk własnego głosu, jakby to pytanie zadał za nią ktoś inny. Miłosz jeszcze bardziej przyśpieszył.

– Spodziewałem się, że po mnie przyjdą – odparł po chwili, zaciskając palce na kierownicy. – Dostałem cynk od znajomych policjantów, którzy są znacznie wyżej niż ten zasrany komendant. Przygotowali mnie, dali mi wszystkie dane o tej uduszonej dziewczynie. Po prostu niepotrzebnie dałem się sprowokować i za dużo powiedziałem.

Chciała mu wierzyć, naprawdę, dlatego nie pytała już więcej. Zamknęła oczy i jednostajny szum silnika ukołysał ją do snu.

Dwie godziny później wysiedli przed niewielkim, ale zadbanym hotelem położonym w borze sosnowym. Uwielbiała polskie morze poza sezonem – szarpane wiatrem korony drzew, pisk mew, nasycone solą powietrze. Tym razem jednak wyjazd zamiast przyjemnych uczuć budził w niej zniecierpliwienie. Wcale nie miała ochoty tu być, udawać przed Miłoszem, a przede wszystkim przed sobą, że wszystko jest w porządku.

Weszła do eleganckiego hallu i czekając, aż mąż ich zamelduje, rozejrzała się dookoła. Hotel wyglądał na opustoszały. Spojrzała na wielkie wiszące przed nią lustro. Spod czarnego kożuszka wystawał różowy golf, kontrastujący z jej spłowiałymi włosami. Twarz wydawała się przezroczysta. Tylko jeden

charakterystyczny punkt zwracał uwagę. Rozlane na policzku brązowe znamię.

– Idziemy? – spytał Miłosz, a ona po prostu wstała i poszła w stronę windy. Byle jak najdalej od własnego odbicia.

Wieczór spędzili na basenie, później obejrzeli jakiś meksykański dramat, którego tytułu nie umiałaby powtórzyć. Miłosz wyraźnie liczył na coś więcej, ale szybko pozbawiła go złudzeń, gasząc światło i odwracając się do niego plecami. Nie nalegał. Jego ciężkie chrapanie rozchodzące się po pokoju przyniosło jej uczucie chwilowej ulgi.

Dawno nie spała tak twardym snem. Być może był to efekt zmęczenia albo tego, że nareszcie znalazła się daleko od oplatającego zimnem domu, w którym unosił się zapach starości. Kiedy się obudziła, Miłosz wychodził właśnie spod prysznica.

– Całkiem wygodne te łóżka mają jak na hotelowe standardy – powiedział, wycierając włosy ręcznikiem.

To prawda. Właściwie najchętniej zostałaby w tym łóżku cały dzień.

– Przyniesiesz śniadanie? Chyba wydają tylko do dziesiątej, a ja się nie zbiorę w dwadzieścia minut.

Przytaknął, zgarniając z toaletki kartę do otwierania drzwi, a potem zerknął na okno.

– Pogoda wciąż daje w kość. Nie wiem, czy uda się nam zrealizować moją niespodziankę, więc chyba nie ma się co śpieszyć – zmieszał się.

– Nic nie szkodzi. Ta przespana noc była najlepszym prezentem.

Kiedy wyszedł, od razu poprawił się jej humor – nie będzie musiała udawać entuzjazmu w związku z jakąś wydumaną niespodzianką! Ucieszyła się, po czym zdała sobie sprawę, że zapomniała go poprosić o kawę z mlekiem roślinnym. Ostatnio źle

tolerowała krowie białko, a o tej porze bardzo potrzebowała już kofeiny. Sięgnęła po telefon, ale w tym samym momencie zobaczyła jego komórkę. Westchnęła ciężko. Czyli jednak musiała się ruszyć.

Narzuciła na siebie dres i związując włosy w niedbały kucyk, zbiegła po schodach. Miłosz tłumaczył coś recepcjonistce, żywo przy tym gestykulując. Cofnęła się kilka kroków i schowana za rozłożystym fikusem, przysłuchiwała się rozmowie.

– Czy pani rozumie, co powiedziałem? Zupełnie mnie to nie obchodzi. Mamy lecieć zgodnie z planem albo proszę o zwrot kosztów. Co do złotówki – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Drogi panie… Kornacki? Kornecki – zaczęła niepewnie stojąca za ladą recepcyjną dziewczyna. – Staram się panu wytłumaczyć, że lot widokowy w taką pogodę to świadome narażenie zdrowia i życia jego uczestników. Nie możemy sobie na to pozwolić. – Nerwowo poprawiła okulary. – Kosztów również nie możemy panu zwrócić. – Spojrzała na monitor komputera. – Rezerwacja na lot balonem została złożona wczoraj o siedemnastej osiemnaście. To oferta last minute i w tym przypadku to klient bierze na siebie ryzyko. W sytuacji, kiedy warunki pogodowe nie pozwalają zrealizować zakupionej usługi, wpłacona kwota przepada. Piszemy o tym w regulaminie, który pan zaakceptował. Paragraf czwarty – dodała już znacznie pewniejszym tonem.

– W takim razie zorganizujcie nam coś innego – powiedział lodowatym tonem Miłosz. – To miała być niespodzianka urodzinowa dla żony, więc chciałbym…

Kolejne słowa zlały się w ciąg dźwięków wypełniających korytarz. Weronika już nie słuchała.

– Nie smakuje ci? Może mogliśmy wybrać jednak tę kolację w ciemności. To nie to samo co lot balonem, ale zawsze jakieś

nowe wrażenia.

W sali restauracyjnej urządzonej w marynistycznym stylu zajętych było kilka stolików.

– Nowe? – Prychnęła Weronika nad talerzem z niewielką kulką szafranowego risotto. – Braliśmy już udział w czymś podobnym w Krakowie i stwierdziliśmy, że to przereklamowane.

Nie odpowiedział. Grzebał przez chwilę widelcem w swoim daniu, po czym z łoskotem rzucił sztućce na stolik. Kilka osób odwróciło głowy w ich stronę.

– O co ci znowu chodzi? Naprawdę starałem się, żeby to były niezapomniane urodziny. Zarezerwowałem ten lot widokowy nad zatoką już dawno. Skąd mogłem wiedzieć, że pogoda pokrzyżuje nam plany?

Kłamał bez zająknięcia. Miała ochotę wykrzyczeć mu, że słyszała rozmowę w recepcji, ale się powstrzymała. Był przekonany, że rozdaje karty, więc dopóki będzie podsycała w nim to fałszywe poczucie panowania nad sytuacją, miała szansę odkryć, w co on tak naprawdę pogrywa i jaki to ma związek z zabitymi kobietami.

– A tak w ogóle to mam newsa – rzucił radośnie, jakby zapomniał, o czym przed chwilą rozmawiali. – Ekipa remontowa kończy we wtorek i udało mi się podnająć mieszkanie na święta jakimś Anglikom. Wiesz, najem krótkoterminowy, a zarobimy tyle, co przez dwa miesiące.

Poczuła, jak ryż pęcznieje jej na języku.

– Chyba żartujesz? – zapytała cicho.

Roześmiał się.

– Spokojnie. Podpisaliśmy wyłącznie umowę rezerwacyjną, więc mamy do tego pełne prawo.

– Po to remontowałeś mieszkanie, żeby teraz balowali tam jacyś Angole?

– Nie przesadzaj, to spokojna rodzina, polecona przez znajomego. Akurat nam się koszty remontu zwrócą, wyjdziemy na zero. Zawsze musi ci coś nie pasować?

Tym razem to on był kilka kroków przed nią. Plan, żeby jechać do Krakowa na święta, który niedawno wykluł się w jej głowie, właśnie rozpadł się na tysiąc kawałków. Miała wrażenie, że zaplanował ten wynajem tylko po to, żeby coś przed nią ukryć. Tylko co? Pomyślała o kobiecie ze znamieniem na policzku, którą widziała na zdjęciu. Czy ich przyjazd do Szumów miał z nią coś wspólnego? Może Miłosza, zabójstwa i tamtą nauczycielkę łączył jakiś wspólny mianownik, który był odpowiedzią na wszystkie pytania?

Gdyby kolejny tydzień był dźwiękiem, byłaby to kolęda śpiewana na fałszywą nutę. Niby wszystko działo się według wypracowanych schematów, ale w zachowaniu osób przewijających się przez sekretariat była jakaś wymuszona uprzejmość, nienaturalna nonszalancja. Jakby święta obligowały do szczęścia również tych, którzy tak naprawdę nie potrafili go w sobie znaleźć, więc kamuflowali to sztucznym uśmiechem. Adam pojawił się w pracy w środę, ale cały czas otaczał go wianuszek osób, które koniecznie chciały złożyć mu życzenia, podarować upominek świąteczny albo omówić jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę. Około czternastej, wzdychając ciężko, padł na fotel stojący naprzeciwko ekspresu.

– Dobrze, że w tym roku odpuściłem służbową wigilię, bo nie zniósłbym tego świątecznego lukru w jeszcze większym stężeniu. W tej formie przynajmniej się ta błazenada jakoś rozkłada w czasie.

– Jak synek? – zapytała.

– Sepsa. Koszmar, na szczęście gdańska służba zdrowia stanęła na wysokości zadania i lekarze w miarę szybko postawili go na nogi. Za to moja żona urządziła mi prawdziwe piekło, jakby sytuacja nie była wystarczająco dramatyczna…

– Z byłymi żonami zazwyczaj są problemy – weszła mu w słowo, zanim na dobre rozwinął wypowiedź. – Kiedy ubierałam choinkę, trafiłam na pudło ze zdjęciami i wycinkami prasowymi o pożarze.

Zaskoczyła go tą nagłą zmianą tematu, aż zrobiło się jej głupio.

– Możliwe – odparł powoli. – Pełno mamy tu różnych szpargałów.

Weronika zacisnęła nerwowo zęby. Tak bardzo czekała na tę rozmowę, a kiedy w końcu się wydarzyła, nie wiedziała, o co tak naprawdę ma zapytać.

– Jak doszło do tego pożaru?

Przez chwilę wpatrywał się w nią z konsternacją, po czym cicho odpowiedział:

– Wypadek. Najprawdopodobniej od niedopałka papierosa zajęły się pojemniki ze śmieciami, które stały w pobliżu zbiornika z olejem opałowym. To było w świetlicy tuż koło kotłowni.

– Nikt nie zauważył, że się pali? Nie zdążyli uciec?

– Ogień rozprzestrzenił się w kilka minut. Wiesz, stara konstrukcja budynku oparta głównie na drewnie. Koszmarna historia. Trójka dzieci i nauczycielka. Nikt nie przeżył.

– A ta nauczycielka… – zaczęła, ale przerwał jej dzwonek telefonu.

Adam spojrzał na wyświetlacz i poderwał się z krzesła.

– Cholera, miałem podjechać do gminy na symboliczne spotkanie opłatkowe. Znowu podpadnę wójtowi. Może zdążę jeszcze na przedniowoczny toast bezalkoholowymi mydlinami. – Zerknął na nią. – A jakbyśmy się już nie widzieli, to wesołych świąt albo przynajmniej spokojnych. Odpocznij. – Musnął ją

palcami po ramieniu i zniknął za drzwiami, zanim zdążyła się odezwać.

Utkwiła wzrok w książce. Czarne literki układały się w słowa bez znaczenia. Po kilkudziesięciu przeczytanych stronach jej myśli zaczęły podążać w innym kierunku. Próbowała je zagłuszać, rozpoczynając kolejną lekturę. Bez skutku. Postać kobiety ze znamieniem na policzku wypierała inne obrazy. Deszcz miarowo bębnił w blaszane parapety.

– Ale ulewa. – Miłosz wparował do przedpokoju, zostawiając na płytkach czarne ślady.

Obserwowała go kątem oka, chowając się za książką, gdy wyraźnie z siebie zadowolony położył na stole blachę z orzechowcem, a obok niechlujnie zawiniętą w papier kiełbasę.

– Zrobi się jeszcze śledzie, tatara i łazanki. Będą piękne święta. – Nadgryzł kawałek kiełbasy. – Cholera, specyficznie przyprawiona, ale do bigosu idealna.

Drzwi znów się otworzyły. Marcin wytarł mokrym od deszczu rękawem wodę spod nosa.

– Ten dach w magazynie coraz mocniej przecieka. Pojadę do budowlanego w Lubawie, to kupię papę, tylko gotówki potrzebuję.

– Już – mruknął Miłosz, włożył do ust pozostały kawałek kiełbasy, po czym wytarł ręce w tylne kieszenie dżinsów. – Dobrze doprawiona, masz rękę.

Wyjął z portfela trzy stuzłotowe banknoty i wręczył chłopakowi.

– To nie ja robiłem, tylko stary Walczak. Pomagam mu czasami w obejściu, to dał mi na święta tyle, że pół wioski by się najadło, więc się podzieliłem. A nie każdy lubi, bo Walczak ją z koniny robi.

Weronika poczuła, jak kurczą się jej wnętrzności.

– Wyrzuć to – poleciła tonem nieznoszącym sprzeciwu pięć minut później.

– Wera, nie przesadzaj. Te konie nie ożyją tylko dlatego, że wyrzucimy kiełbę.

– Nie chcę tego tu widzieć – powtórzyła.

Zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale rozproszył go dzwoniący telefon. Pośpiesznie wyszedł z nim na zewnątrz w samych skarpetach.

Wrócił po niespełna dwóch minutach. Weronika odłożyła książkę i utkwiła w mężu pytające spojrzenie.

– Zasrany zasięg, na deszczu trzeba rozmawiać, żeby cokolwiek słyszeć. – Uprzedził ją, zanim zdążyła zapytać, dlaczego nie chciał rozmawiać przy niej. – Jakiś zawór tym Anglikom poszedł w łazience i sąsiada z dołu podlało. Afera się zrobiła. Muszę tam pojechać.

– Dzisiaj?

Skrzywił się.

– No tak, jutro Wigilia, nie mogę tego zostawić na całe święta, bo połowę bloku zalejemy.

– Jadę z tobą.

– Bez sensu po nocy się tłuc we dwójkę. Zostań i zrób miodowe śledziki, które zrobiłaś na pierwszą wspólną wigilię. Te święta też są jakby pierwsze. Powinienem być jutro w południe, to zajmę się resztą.

Nie miała zamiaru robić żadnych pieprzonych śledzi, ale skoro nie mogła pobyć sama w Krakowie, przynajmniej odpocznie od Miłosza tutaj.

Miarowe bębnienie deszczu w parapet przeszło w jednostajny huk. Na zewnątrz rozpętała się prawdziwa ulewa.

Wcześniej

Weszła do sali, która aż wibrowała od dziecięcych głosików.

– Pięć minut i wracam. Obiecuję sobie, że od nowego roku rzucę, więc nie będę cię już męczyć.

Drobna blondynka wyciągnęła z torebki paczkę cienkich Marlboro i zniknęła za drzwiami. Nauczycielka wspomagająca stała przed ścianą z półkami i poprawiała naklejki w kształcie zwierząt. Do każdej przegródki przyporządkowano innego bajkowego bohatera. Weronika miała kilka minut, które musiała dobrze wykorzystać.

Powoli podeszła do dziewczynki zajętej budowaniem wieży z klocków.

– Cześć – przywitała się, podając jej drewniany walec. – Pomóc ci?

Alina Kochańska uśmiechnęła się na jej widok, a kiedy ta kucnęła obok i zaczęła ostrożnie dokładać kolejne stożki do niewielkiego stosiku, podawała jej elementy.

– Jesteśmy sekretnymi przyjaciółkami, więc powinnyśmy mieć wspólną tajemnicę – zwróciła się łagodnie do dziewczynki. – Masz jakiś sekret?

Mała zaprzeczyła ruchem głowy.

– A chciałabyś mieć?

Jej oczy zalśniły.

– W takim razie coś wymyślę – powiedziała Weronika. – Tylko nikomu nie możesz mówić o tym, że czasami sobie rozmawiamy i razem się bawimy, okej? Bo wtedy przestaniemy być sekretnymi przyjaciółkami. To jak, obiecujesz?

– Obiecuję.

Weronika uśmiechnęła się do niej i zrobiła gest, jakby zamykała usta kluczykiem i go wyrzucała. Dziewczynka z powagą

odtworzyła ten sam ruch palców.

Teraz

Zasnęła dopiero nad ranem. Jej mózg całą noc pozostawał w trybie czuwania, napięte mięśnie w każdej chwili były gotowe do obrony. Nie bała się, po prostu chciała być przygotowana. Dopiero pierwsze jasne smugi, przenikające przez szparę w zasłonie, pozwoliły jej odetchnąć. Jakby w świetle dnia nie mogło wydarzyć się nic złego.

Obudziło ją głuche walenie do drzwi. Zerwała się i półprzytomna zbiegła na dół w samej koszuli nocnej. Zerknęła na kuchenny zegar, który wskazywał dwadzieścia po dziesiątej.

Czyżby Miłosz nie wziął kluczy? Przecież mógł wejść garażem – pomyślała ze złością, zanim wyjrzała przez wąskie okienko w drzwiach.

Na zewnątrz stał Mioduszewski w towarzystwie dziewczyny ubranej w za dużą o przynajmniej dwa rozmiary kurtkę z policyjną naszywką. Pomiędzy drobnymi kroplami deszczu wolno opadały pojedyncze płatki śniegu. Weronika narzuciła na prześwitującą koszulę polar i otworzyła. Zimny podmuch powietrza przeniknął ją na wskroś.

Policjanci bez słowa weszli do ciemnego korytarza.

– Męża nie ma w domu – oznajmiła, chociaż nie odezwali się do niej słowem.

Dziewczyna rzuciła porozumiewawcze spojrzenie Mioduszewskiemu.

Znienacka w głowie Weroniki pojawiła się myśl, od której ugięły się pod nią nogi. Dwa zdania zapamiętane z kursu robionego jeszcze na studiach: *O śmierci powinny powiadamiać co najmniej*

dwie osoby. Jedna z nich udziela informacji, druga obserwuje reakcje osoby powiadamianej. To był fragment podręcznika ze śliską okładką i złożonym toporną czcionką tytułem *Psychologia służb mundurowych.*

– Mąż wyjechał – powtórzyła.

Zaschło jej w gardle. Cisza brzęczała w uszach, potęgując uczucie niepokoju. Chciała, żeby komisarz lub dziewczyna w końcu się odezwali.

– Może usiądziemy? – Głos Mioduszewskiego wyjątkowo brzmiał łagodnie.

Przytaknęła wbrew sobie. Nie chciała słuchać tego, co mają do powiedzenia, marzyła, żeby sobie poszli, a ona mogła w spokoju wrócić do łóżka.

Policjantka nie odrywała od niej wzroku.

– Pan Kornecki miał wypadek. Niestety obrażenia były rozległe. W aucie wybuchł pożar.

Wypowiedziane bez emocji słowa policjanta odebrały Weronice oddech. Bose stopy przywarły do zimnych płytek, jakby chciała za wszelką cenę złapać przyczepność.

– Nie żyje.

Nie była pewna, czy rzeczywiście wypowiedział to zdanie, czy sama sobie je dopowiedziała, ale to nie miało już znaczenia. Cel ich odwiedzin był jasny. Słowa o wypadku też.

– Rozumiem – odparła spokojnie. Podniosła wzrok i spojrzała zdziwionej dziewczynie prosto w niebieskie oczy.

– Może moglibyśmy pani jakoś pomóc? Jeśli potrzebuje pani wsparcia psychologa… – odezwała się policjantka nienaturalnie wysokim głosem. Wyraźnie stresowała ją ta rozmowa.

– Wszystko jest w porządku, dziękuję. Poradzę sobie.

Nie potrafiła przypisać znaczenia do wypowiadanych powoli słów, ale potrzebowała jakiegoś dźwięku, który choć na chwilę

pozwoli oszukać mózg, wmówić mu, że nic się nie wydarzyło. Musiała udawać, że wszystko będzie dobrze, choć w jej życiu nie było już niczego, czego mogłaby się teraz uchwycić. Stała na krawędzi przepaści i wiedziała, że za chwilę spadnie. Najpierw jednak postanowiła odtańczyć chocholi taniec, zyskując kilka dodatkowych sekund. Zanim wszystko pochłonie nicość.

ROZDZIAŁ 11

Dwa tygodnie później

Pochowała Miłosza na przydrożnym cmentarzu między Szumami a Bagniskiem. Dzięki temu uniknęła spotkania z dalekimi znajomymi, od których izolowała się od tamtych wydarzeń. Marcin załatwił wszystkie formalności. Była mu za to wdzięczna, bo sama nie miała głowy do wybierania koloru trumny i garnituru. Organizacja pogrzebu budziła wspomnienia, których nie mogła do siebie dopuścić. Nie teraz, kiedy była taka krucha i bezbronna. Rodzice Miłosza od lat mieszkali w Kanadzie. Ku jej uldze nie mogli przylecieć. Zamarzniętą ziemię trzeba było rozbijać młotami pneumatycznymi, jakby świat wzbraniał się przed przypieczętowaniem tej śmierci. W płytkiej jamie spoczęło kilka zwęglonych elementów ciała jej męża przywiezionych w czarnym worku. Tylko tyle zostało po człowieku, który jeszcze niedawno był dla niej dniem i nocą, końcem i początkiem. Dopóki… Nie, nie powinna rozdrapywać złych wspomnień. O zmarłych trzeba myśleć dobrze. Ceremonia odbyła się

w kameralnym gronie – nad trumną obok niej stali Adam, Marcin i kilkoro gapiów ze wsi. Nie zapamiętała niczego z pogrzebu.

Pustka po stracie męża szybko zaczęła zarastać poczuciem winy. Nagle Weronika ujrzała niedostrzegane dotąd elementy rzeczywistości – to przez nią musieli wyprowadzić się z Krakowa, z jej ukochanego mieszkania na eleganckim osiedlu, na którym wytykano ją palcami; spadek w Szumach był zrządzeniem losu, by uciec od wścibskich spojrzeń i cichnących w jej obecności szeptów; mąż zawsze stał za nią murem, a ona tak łatwo przestała mu ufać. Dlaczego? Przez kilka kłamstw? Może kilkanaście. W krakowskim mieszkaniu nie było żadnych Anglików, po co więc Miłosz jechał do Krakowa w środku nocy tuż przed świętami? Nie chciała znać odpowiedzi. Kto nigdy nie kłamał, niech pierwszy rzuci kamieniem.

Kamieniem… – powtórzyła w myślach. Kamienie w gardłach tych dziewczyn. Jak w ogóle mogła choć przez chwilę pomyśleć, że Miłosz ma z tym coś wspólnego? Poczuła do siebie obrzydzenie. A później przyszedł niewyobrażalny smutek, bo przecież już nigdy go za to nie przeprosi. Świadomość, że znowu zawiodła, zagłuszała tylko jedna myśl. Ta o kobiecie ze znamieniem na policzku.

Świat za oknem już dawno pochłonęła styczniowa ciemność, gdy Weronika w skupieniu przerzucała kolejne karty kroniki. Przestraszyła się, kiedy drzwi sekretariatu niespodziewanie się otworzyły. Adam we flauszowym płaszczu przyprószonym śniegiem zdziwił się na jej widok.

– Ty jeszcze tutaj? – Zatrzymał wzrok na kronice, którą właśnie zamknęła, i posłał jej pytające spojrzenie.

– Nie mam powodu, by się śpieszyć.

Zmarszczył nos, jakby zrobiło mu się głupio.

– Rozumiem. Ja też nie znoszę długich weekendów. Odkąd się rozwiodłem, dni pracujące są moimi ulubionymi. – Zamilkł na chwilę. – Zostaniesz tu czy wracasz do Krakowa?

– Nie wiem.

W tym stwierdzeniu były i prawda, i kłamstwo. Nie była pewna, czy chce zostać w Szumach, ale wiedziała, że do Krakowa nigdy nie wróci. Brakowało jej siły, by znów uciekać.

– Może wpadniesz jutro na kolację? – zapytała niespodziewanie dla samej siebie. – Nawzajem nakarmimy swoją nienawiść do dni wolnych.

– Chętnie, pod jednym warunkiem: że teraz wyjdziesz razem ze mną, zamiast ślęczeć nad papierami.

Godzinę później weszła do zimnego domu. Z salonu sączyło się blade światło. Pewnie rano zapomniała wyłączyć.

– Cześć. – Usłyszała głos Marcina i zrobiło się jej gorąco.

– Myślałam, że już skończyłeś.

– Ostatnio coraz później wracasz z pracy. Wolałem poczekać, aż będziesz, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wiesz, różnie tutaj z bezpieczeństwem bywało. – W jego słowach nie słychać było troski, raczej niepokojącą natarczywość.

– Wszystko w porządku – odparła. – Włącz, proszę, alarm i jedź do domu, zanim zacznie się zadymka. Zaczyna mocno sypać. – Chciała się go pozbyć, nawet za cenę udawanej empatii, dlatego dodała cicho: – A jutro zrób sobie wolne. Nie ma teraz nic do ogarnięcia w obejściu. Lepiej zachować siły na wiosnę.

Zrobił minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie zrezygnował. Sprawiał wrażenie obrażonego, kiedy wychodził. Weronika przekręciła klucz w drzwiach, wlała do kieliszka prosecco i podeszła do torby, którą przekazano jej w komendzie w Grójcu, zaledwie czternaście kilometrów od miejsca śmierci jej męża. Spłonął żywcem w samochodzie. Świadkowie zeznali, że

przeżył uderzenie, bo kiedy auto trawiły płomienie, walił w szyby i przeraźliwie krzyczał, zapewne błagając o ratunek. Nikt z gapiów nie odważył się zbliżyć do wielkich jęzorów ognia. Służby ratownicze pojawiły się na miejscu dziesięć minut po wypadku. Jedyne, co strażacy mogli zrobić, to ugasić resztki palącego się wraku. Po Miłoszu została jedynie skórzana saszetka, którą znaleziono pięćdziesiąt metrów od samochodu. Musiała wypaść przez szybę w wyniku uderzenia. W środku były portfel, dowód rejestracyjny i telefon. Poza stłuczonym ekranem smartfona reszta rzeczy wyszła z tego bez szwanku. Okazały się trwalsze niż ciało.

Pierwszy raz, od kiedy odebrała rzeczy Miłosza z obskurnej komendy ze ścianami wymazanymi farbą olejną, poczuła pokusę, by włączyć jego telefon. Do tej pory za bardzo się bała. Chciała ocalić w swoich wspomnieniach jego najlepszą wersję. Wiedziała już, że miał sekrety: kupione za jej plecami mieszkania, jacht, obligacje. Wszystkie dokumenty własności przekazał jej kilka dni wcześniej wymuskany młody prawnik, pachnący piżmowymi perfumami. Dusząca woń utrzymywała się w salonie jeszcze długo po jego wyjściu. Weronika nie miała pojęcia, po co były Miłoszowi te wszystkie inwestycje. Nigdy nie brakowało im pieniędzy, ale nie przypuszczała, że zgromadzili aż taki majątek. Przeczuwała, że to nie koniec tajemnic. Była niemal pewna, że w telefonie znajdzie korespondencję z inną kobietą. Może kilkoma. Podłączyła iPhone'a do ładowarki i wpisała ciąg cyfr, tych samych, które zabezpieczały ich wspólne konto. Mimo że doskonale znała ten PIN, nigdy nie próbowała nawet zbliżać się do telefonu męża. Może bała się prawdy. Ale teraz nie miała wyjścia, musiała się z nią zmierzyć. Miłosz umarł, a telefon stanowił ostatni ślad jego życia.

Folder z wiadomościami był pusty. Wychodzące połączenia niewiele jej mówiły. *Damian, zakład, Marcin, Moja Najukochańsza, Diego, Valenty, Angie.* Z tej listy rozpoznawała tylko numer swój i Marcina – nic dziwnego, Miłosz zawsze miał swoje sprawy związane z firmą, którymi ona się nie interesowała.

Dolała wina i otworzyła okno. Przez szparę wdarł się podmuch lodowatego powietrza. Pomyślała o kolacji, którą ostatniego wieczoru gotowali razem w krakowskim mieszkaniu. Krewetki w cieście naleśnikowym przywarły do patelni i mimo wysiłków Weronika nie była w stanie ich odkleić od warstwy nagrzanego teflonu. Miłosz zaśmiewał się z jej umiejętności kulinarnych, po czym zamówił pizzę. Później długo próbowali wywietrzyć mieszkanie ze smrodu spalenizny, pijąc wino i leżąc na kanapie. To było jedno z nielicznych szczęśliwych wspomnień z ostatniego roku. Zrobili sobie wtedy zdjęcie. Powinno być gdzieś w galerii.

Przesuwała nerwowo palcem po pękniętym wyświetlaczu. Kolejne fotografie kartek zapisanych od góry do dołu numerami telefonów. Może klientów? Niespodziewanie trafiła na obraz, który nie pasował do pozostałych. Blond włosy rozrzucone na mokrej ziemi. Woskowate ciało o fioletowym odcieniu. Widziała już ten kadr. Wydatne piersi wylewające się z opuszczonych miseczek stanika. Ścierpła jej skóra. Jednak nie. Ta fotografia była inna niż te, które pokazywał jej Mirek. Brakowało numerków i policyjnych taśm. Na tamtym zdjęciu stanik leżał obok ciała, tu dziewczyna wciąż miała go na sobie. Wyglądało to tak, jakby ktoś ją sfotografował, zanim przyjechała policja, a później zdjął jej biustonosz.

Chciała krzyczeć, ale z gardła nie wydobył się żaden dźwięk. W tej samej, skulonej pozycji siedziała do świtu. Jako dziecko bardzo bała się nocy. Nie chodziło o ciemność lub wyimaginowane potwory. Jej obsesyjny lęk budziło zamykanie oczu. Miała

wrażenie, że kiedy powieki opadają, zostaje zupełnie sama w niekończącej się czerni. Uczucie duszącego lęku z dzieciństwa wróciło. Wydawało jej się, że pochłania ją bezkresna nicość, z której nie może się wydostać, bo oczy zarosły ciemną tkanką i już nigdy nie przepuszczą światła. Jedyne, co się nie zmieniło, co wciąż nie odpuszczało, to dręczące ją pytania – czy całe jej życie z Miłoszem było jedynie mistyfikacją? Skąd miał to zdjęcie? Dlaczego je zachował? Dlaczego jego autor zdjął dziewczynie stanik? Czy ten, kto to zrobił, był mordercą? Czy Miłosz był mordercą?

Musiała znaleźć na nie odpowiedzi, dlatego zmusiła się, by wstać, wziąć prysznic i się ubrać. Kiedy wieczorem wstawiała naczynia do zmywarki, rozległ się dzwonek do drzwi. Adam. Zupełnie zapomniała, że go zaprosiła.

– Dojechać tutaj w taką zimę to naprawdę niemały wyczyn – powiedział, otrzepując buty ze śniegu.

– Witam na końcu świata.

Rozejrzał się po domu, kiwając głową z aprobatą.

– Klimatyczne wnętrze. Jako dzieciaki zawsze myśleliśmy, że to zamek i mieszkają tu prawdziwe księżniczki.

Zaśmiała się.

– Nieco stęchły ten zamek, księżniczka też przeterminowana.

– Jak się czujesz?

– Ciśnienie w normie, poziom tlenu w organizmie też, powinnam przeżyć. Chyba że jakiś popierdoleniec wjedzie w mój samochód na autostradzie i spłonę żywcem. Kawy? Wina?

– Woda wystarczy.

Usiadł przy stole, nie czekając na zaproszenie. W ciemnym golfie i okularach w grubych oprawkach wyglądał jak student. Ciemne kosmyki sterczące w różne strony opadały mu na czoło. Chwilę obracał butelkę w palcach, po czym odezwał się cicho:

– Kiedy zabrała dzieciaki, przez kilka tygodni czułem się, jakby umarli. W domu zapadła nienaturalna cisza. Później zaczynało do mnie docierać, że wciąż są, żyją, że mają się dobrze. Ta myśl utrzymała mnie na powierzchni. Nie wyobrażam sobie, jakbym miał bez nich żyć. – Upił łyk wody. – Do tej pory w weekendy kupuję pięć bułek na śniadanie. Nie potrafię przestać.

Uśmiechnęła się do niego smutno.

– To nie jest moja pierwsza strata. Przywykłam do tego, że ludzie, którzy są dla mnie ważni, odchodzą. – Chciała, by jej głos zabrzmiał twardo, ale złamał się przy ostatnim słowie. Już nie musiała udawać. – Mój synek odszedł, zanim zdążyłam go poznać. To jest dopiero dławiąca myśl. Taka, której nie można odepchnąć. Wciąż wyobrażam sobie jego twarz i głos, to, jak się śmieje i biega latem po trawie.

– Przepraszam, nie wiedziałem – wyszeptał.

– Skąd mogłeś wiedzieć? Ale nie mówię ci tego, żebyś mi współczuł. Mówię to, żebyś nie musiał się o mnie obawiać. Poradzę sobie.

Powoli pokiwał głową.

– Jeśli kiedykolwiek poczujesz, że jednak sobie nie radzisz, po prostu powiedz. Razem coś wymyślimy.

W tym prostym zapewnieniu było coś, co sprawiło, że przez chwilę poczuła się bezpieczniej. Dopóki nie przypomniała sobie o zdjęciu, które znalazła w telefonie męża. Tym sekretem z nikim nie będzie mogła się podzielić.

– Przepraszam, ale zupełnie zapomniałam o tej kolacji. – Przygryzła wargi. – I nic nie ugotowałam.

Zaśmiał się łagodnie, a potem bez słowa wyszedł z domu i wrócił po chwili z torbą pełną zakupów.

– Spodziewałem się tego. Spokojnie, jestem dobry w planach awaryjnych.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Może nic specjalnego, ale klasyczne bolognese będzie idealne na rozgrzewającą kolację w tej syberyjskiej aurze. Tylko musi się trochę pogotować, żeby nabrało smaku. Mam nadzieję, że nie jesteś bardzo głodna.

Godzinę później po domu rozchodził się zapach czosnku, bazylii i oliwy. Adam z podwiniętymi rękawami mieszał w garnku, Weronika siedziała na kuchennym blacie z kieliszkiem wina w ręku.

– Podoba mi się taki podział ról. Ja piję, facet gotuje.

Roześmiała się beztrosko, a pojedyncze pasma włosów opadły jej na policzki. Zastygła w bezruchu, czekając, aż Adam odczyta jej intencję. Podszedł i delikatnie odsłonił jej oczy.

– Nie patrz przez włosy, bo dostaniesz zeza. Babcia tak mówiła moim siostrom.

Nie odpowiedziała. Delikatnie przesunęła twarz w jego stronę i dotknęła czołem zwilżonych warg. Odczytał sygnał. Podniósł jej podbródek i delikatnie ją pocałował. Jej odpowiedź była znacznie bardziej stanowcza – rozpięła pasek jego dżinsów. Pocałunki Adama stały się bardziej napastliwe. Hamulce puściły. Przyjemne mrowienie rozlewało się od mostka do pęknięcia między udami. Dawno nie czuła takiej potrzeby bliskości. Zaciśniętych palców na przegubach i oddechu na plecach. Emocji, z których zrezygnowała po stracie synka. Teraz działała instynktownie. Myśli gdzieś uleciały, zostały tylko odruchy. Była w amoku. Jak ciało, które niespodziewanie ktoś wyrwał z głębokiego snu.

Adam wyszedł przed północą, żegnając Weronikę pocałunkiem. Po tym jak przekręciła zamek w drzwiach, jeszcze długo nie mogła zasnąć. Wyrzuty sumienia mieszały się z żarzącymi się pod skórą emocjami. Dawno nie czuła się tak kompletna. Jakby Adam

swoim dotykiem przywrócił czucie porażonym nerwom. Pierwszy raz od kilkunastu miesięcy była tu i teraz. Przypomniała sobie, że ma twarz, nogi i ręce, że jest czymś więcej niż tylko oczekiwaniem.

Kiedy się obudziła, na zewnątrz było jeszcze ciemno. Owinęła się szlafrokiem i zeszła do kuchni. Na blacie wciąż stał garnek z nietkniętym sosem bolognese. Niespodziewanie usłyszała szczęknięcie zamka. Zamarła.

Cichy odgłos kroków niósł się po korytarzu. Przywarła do kuchennego blatu, jakby spodziewała się ataku.

– Już przez chwilę myślałem, że wymieniłaś zamki, bo nie mogłem otworzyć, ale to chyba przez mróz. – Marcin wszedł do środka i rzucił klucze na stół.

Wbiła w niego zdziwione spojrzenie.

– Masz klucze?

– Miłosz mi kiedyś dał po tej akcji z alarmem. – Chwycił jabłko z miski i ugryzł łapczywie. – Ale jeśli to problem, mogę ci oddać.

– Nie o to chodzi, po prostu nie miałam o tym pojęcia. Muszę się ogarnąć, bo za chwilę powinnam być w pracy.

Marcin rzucił ogryzek na stół i wytarł usta rękawem.

– Spoko. Ja też idę do roboty. Sezon się zbliża, muszę przejrzeć sprzęt. Ach, właśnie, jeszcze jedno. Następnym razem niech Zbrzyzny nie wjeżdża na pole, bo zagęszcza glebę. Wyjaśnij mu to, o ile ten wymuskany pajacyk w golfiku jest w stanie to ogarnąć. A jak nie potrafi jeździć autem, to skuter mogę mu pożyczyć. – Marcin prychnął i wyszedł z kuchni.

Weronika poczuła, jak sztywnieją jej mięśnie. Skoro wczoraj pojechał do siebie, skąd wiedział, że był u niej Adam? Musiał podglądać ją przez kamery. Ale po co? Z troski? A może…? Potrząsnęła głową, zanim ta myśl nabrała kształtu.

W szkole panowała nienaturalna cisza. Nawet woźne nie szczebiotały między sobą jak zwykle. Jakby ten sczerniały, wymieszany z błotem śnieg przeniknął do umysłów, odbierając wszystkim ochotę na codzienną wymianę plotek. Adam wchodząc do sekretariatu, mruknął tylko krótkie „Cześć" i zamknął się w gabinecie. Weronika poczuła się nieswojo. Zwykle zagadywał z uśmiechem, a dzisiaj przywitał się z nią służbowo. W kontekście tego, co wydarzyło się wczoraj, jego zachowanie wprawiało ją w zakłopotanie. Kiedy pół godziny później podpisywał dokumenty, które miała wysłać do urzędu gminy, dostrzegła cienie pod jego oczami i ziemisty odcień skóry. Wyglądał, jakby był chory.

– Wszystko w porządku? – zagadnęła.

Potarł czoło ręką i westchnął ciężko.

– Ta zaginiona fizyczka z Kamionki, Aldona Marszelewska, pamiętasz? Nie żyje… Rano znaleźli jej ciało w stanie rozkładu.

Zakręciło się jej w głowie. Miała wrażenie, że zaraz upadnie.

– Hej, dobrze się czujesz? – spytał zaniepokojony Adam.

– Za dużo ostatnio wokół mnie śmierci.

– Nie bierz tego do siebie. Nawet jej nie znałaś.

Zabrała dokumenty z biura i bez słowa wróciła do komputera. Więc znaleźli ciało. Marcin nie dość dobrze je ukrył. Przez chwilę była na niego wściekła, zaraz potem jednak przyszło poczucie ulgi. Rodzina tej kobiety nareszcie będzie mogła ją pochować.

Nawet nie zauważyła, kiedy Grasicki wszedł do gabinetu Adama. Jej uwagę przykuło dopiero głośne trzaśnięcie drzwiami. Był wyraźnie rozeźlony, kiedy wychodził. Adam chwilę później usiadł na jej biurku. Spojrzał na nią w dziwny sposób, od którego poczuła mrowienie na karku.

– Jedź do domu – powiedział cicho.

Pokręciła przecząco głową.

– Muszę wrzucić plan lekcji na drugie półrocze do systemu. Zresztą przypominam ci, że pracuję do piętnastej trzydzieści.

– Jedź.

Tym razem w tonie jego głosu zawibrowała niepokojąca nuta.

– O co chodzi?

Adam przełknął ślinę.

– Przy zwłokach tej dziewczyny znaleźli bransoletkę z rzemyka ze złotym kluczykiem… – Zrobił pauzę. – Był na nim grawer.

Nie musiał dodawać nic więcej. Doskonale pamiętała, jak na Majorce Miłosz uparł się, żeby kupili sobie takie same bransoletki z wygrawerowanymi imionami. Zapłacił za nie krocie. Przypomniała sobie cienkie żłobione w złocie literki układające się w napis „Weronika” i datę 22.09.2016.

Kiedy podjechała, pod domem pulsowały już policyjne migacze. Trwało przeszukanie. Mioduszewki stał oparty o srebrną astrę i palił papierosa. Czekał, zupełnie jakby spodziewał się, że za chwilę jego ludzie znajdą trofeum ze śladami krwi zabitych kobiet i ostatecznie dowiodą, że miał rację.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś? – Wparowała do kanciapy Marcina, zaciskając dłonie w pięści.

– Po cholerę? Nic byś nie zrobiła, mieli papier. Tylko im otworzyłem.

Z bezsilności łzy napłynęły jej do oczu.

– Zasrańcy złamali prawo, ale jakie to ma teraz znaczenie? – Otarła twarz drżącą ręką. – Przecież tam został telefon Miłosza ze zdjęciem zabitej dziewczyny. Nie z tym, które ma pół wsi, tylko tym sprzed przyjazdu policji. Nie mam pojęcia, skąd się u niego wzięło.

Marcin roześmiał się i złapał ją za brodę. Jego uścisk był silny i nieprzyjemny.

– Jestem tu po to, żeby cię pilnować, jasne? Nie miałem pojęcia o żadnych popapranych fotach w telefonie twojego męża, ale wiem, że kundle lubią mieszać. Telefon i inne rzeczy, które mogłyby choć w najmniejszym stopniu obciążyć ciebie lub Miłosza, są schowane w bezpiecznym miejscu.

Ulżyło jej, ale jednocześnie poczuła wzbierającą falę złości.

– Tak jak tamta dziewczyna? – wycedziła, a on się skrzywił.

– Zwłoki były dobrze ukryte. Ktoś musiał je przenieść. Nie mam pojęcia dlaczego, ale to wszystko zaczyna wymykać się spod kontroli. Musisz na siebie uważać.

Wydawało jej się, że pierwszy raz usłyszała w jego głosie coś prawdziwego. Brzmiało jak ostrzeżenie.

ROZDZIAŁ 12

Wcześniej

Bolały ją oczy od wpatrywania się w ciemność. O szóstej trzydzieści cicho podniosła się z łóżka. Miarowy oddech śpiącego Miłosza studził palący strach. Da radę. Tyle razy robiła to w myślach. Wyszła ostrożnie, zamknąwszy za sobą drzwi wejściowe, wrzuciła torbę na tylne siedzenie auta i ruszyła do pracy.

Osiem godzin później z mocno bijącym sercem wyszła z przedszkola, wystukała do Miłosza wiadomość, żeby nie czekał na nią z obiadem, po czym zostawiła telefon w restauracyjnej toalecie na Kazimierzu. Na wszelki wypadek. Zaparkowała auto przed dobrze jej znanym placem zabaw i czekała. Pogoda sprzyjała – słońce delikatnie przebijało przez chmury, jakby ktoś ją w ten sposób dopingował, utwierdzając w przekonaniu, że to jedyna droga, by ukoić ból.

W czwartki Alina Kochańska pojawiała się na placu zabaw o piętnastej trzydzieści. Jej matka zawsze siadała na trzeciej ławce od prawej strony, z nosem przyklejonym do ekranu telefonu.

Podnosiła wzrok średnio co pięć minut. Tym razem również wszystko odbywało się według znanego scenariusza. Weronika zacisnęła palce na kluczykach do auta. Niepostrzeżenie wmieszała się w grupkę dzieci. Była blisko osiągnięcia celu. Musiała działać precyzyjnie.

– Hej. – Uśmiechnęła się przyjaźnie do dziewczynki. – Wiem już, jaką możemy mieć wspólną tajemnicę. Chcesz jechać na wycieczkę tylko ze mną? To będzie nasza przygoda.

Mała kiwnęła głową, wlepiając w nią błyszczące z ekscytacji oczy.

– W takim razie na mój znak złap mnie za rękę i idź dokładnie tam, gdzie cię zaprowadzę, nie oglądając się za siebie. Po wszystkim odwiozę cię do domu. Zgoda?

– Zgoda.

Brunetka w skórzanym płaszczu omiotła szybkim spojrzeniem plac zabaw i ponownie utkwiła wzrok w telefonie. Nie dostrzegła jej. Filar podtrzymujący zjeżdżalnię dawał bezpieczne schronienie. To był ten moment. Weronika chwyciła drobną dziecięcą rączkę i ruszyła przed siebie. Spokojnym, ale pewnym krokiem. Auto było zaparkowane tuż przy furtce. Przemierzała tę trasę setki razy. Jej przejście zajmowało minutę dwanaście sekund. Chwilę później siedziały już w samochodzie. Głośno wypuściła powietrze z płuc, odpalając nerwowo silnik. Zgasł. Jeszcze raz. Tym razem zaskoczył.

Spojrzała na dziewczynkę w foteliku samochodowym, który kupiła kilka dni wcześniej na Vinted.

– Coś ci pokażę – powiedziała, zjeżdżając z obwodnicy.

Jej plan był misternie opracowany do tego momentu. Jakby tak naprawdę nie wierzyła w to, że się uda. Ale chyba właśnie się udało. Teraz musiała improwizować.

Teraz

Siedziała przy kuchennym stole w butach i kurtce. Okna ciemniały, powoli zapadał zmierzch. Porozrzucane na podłodze w salonie ubrania mieszały się z książkami i garnkami. Nie miała siły, by ogarnąć bałagan. Spod stosu zimowych ubrań wygrzebała jedynie kabinówkę i wrzuciła do niej kilka najpotrzebniejszych rzeczy.

– Rozsadę lawendy trzeba zaplanować na początek lutego.

Drgnęła. Marcin znowu skradał się za jej plecami.

– Wyjeżdżam na kilka dni – rzuciła oschle. – Zajmij się tu wszystkim. I załatw jakąś dziewczynę do sprzątnięcia tego syfu.

– Dokąd jedziesz?

– Muszę pozamykać sprawy w Krakowie. W marcu oddajemy mieszkanie. – Zmarszczyła brwi, jakby zdała sobie sprawę ze swojego przejęzyczenia. – Nie wiem, jak tam w ogóle teraz wygląda, bo przecież wyłącznie Miłosz się tym zajmował.

Nie była tam od miesięcy. Nawet po wypadku, kiedy załatwiała formalności, spała w hotelu. Teraz, kiedy została z tym sama, musiała jakoś znaleźć w sobie siły, by zmierzyć się z przeszłością. Z sekretem, który tak uparcie skrywał przed nią mąż.

– Nie.

Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

– Nie? Chyba nie muszę pytać cię o pozwolenie. Po prostu cię uprzedzam.

– Nie możesz pojechać sama do Krakowa. Pojadę z tobą.

– Nie mogę? – Roześmiała się, chociaż jej oczy zamieniły się w wąskie szparki jak u ptaka, który w każdej chwili spodziewa się ataku drapieżnika. – Nie jesteś osobą, z którą muszę cokolwiek konsultować. Nie wnioskowałeś o wolne, więc

rozumiem, że w nadchodzącym tygodniu będziesz wypełniał obowiązki służbowe. Tyle wystarczy. Ogarnij to wszystko, a jutro zawieź do szkoły mój wniosek urlopowy. Zaraz wydrukuję i podpiszę. I pamiętaj, ja potrzebuję zarządcy, ty potrzebujesz tej pracy. Niech tak pozostanie.

Marcin zapowietrzył się, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko prychnął i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Dojechała do Krakowa około trzeciej w nocy. Zatrzymała się przed eleganckim apartamentowcem wciśniętym między stare budynki. Krowodrza wyglądała dokładnie tak samo, jak kilka miesięcy wcześniej. Jakby nic się nie zmieniło, a przecież wydarzyło się tyle zła. Otworzyła drzwi garażowe i z mocno bijącym sercem ruszyła w dół. Ostatni raz jechali tędy z Miłoszem, gawędząc o tym, jak rozwinie się ich pensjonat na Lawendowym Wzgórzu. On opowiadał, a ona słuchała, próbując uwierzyć w jego wizje. Stop. Musiała powstrzymać myśli, zanim oplotą ją niczym bluszcz. Była tu w konkretnym celu.

Po wejściu do mieszkania uderzył ją duszący zapach, przywodzący na myśl smród zostawionych w koszu śmieci.

Nie było wietrzone od tygodni – pomyślała, zapalając światło.

Na wieszaku zauważyła skórzaną męską kurtkę. Nigdy nie widziała takiej u Miłosza. Ostrożnie przeszła do ogromnego salonu. Widok walających się na stole puszek po energetykach i opakowań z chińskiej knajpy zirytował ją. Wyglądało tak, jakby przez mieszkanie przetoczył się przynajmniej tuzin podpitych mężczyzn. Uprzątnęła bałagan i padła zmęczona na łóżko w sypialni. Otworzyła szufladę połyskującego czarnym lakierem stolika nocnego. Klucze z charakterystycznym brelokiem w kształcie czerwonego motylka. Dobrze znała ten komplet. Pod nieobecność Julki czasami karmiła kota w jej kawalerce na

Grzegórzkach. Ale co te klucze tutaj robiły? Przecież Miłosz sprzedał trzydziestometrowe mieszkanie Julki kilka tygodni po tym, jak to wszystko się wydarzyło. Weronika nie miała wtedy do tego głowy. Może przed sprzedażą wymienił zamki? Tylko po co w takim razie trzymał stary komplet kluczy? Zamknęła oczy, próbując uporządkować pełzające w różnych kierunkach myśli. Sen przyszedł niespodziewanie szybko. Pod powiekami uśmiechała się do niej Julia. Siostra chwyciła ją za rękę, którą po chwili przyłożyła do rysującego się pod bluzką brzucha.

Nad ranem jeszcze w półśnie usiadła na krawędzi łóżka. Ciało było już gotowe do działania, mimo że umysł wciąż spał. Z wysiłkiem rozchyliła powieki. Na zewnątrz dopiero świtało. Wzięła szybki prysznic i pośpiesznie wybiegła z mieszkania, ściskając w dłoni klucze z plastikowym brelokiem. Dojechała pod stary, ale zadbany blok, dopijając nerwowo resztkę gorącej kawy. Nie czuła boleśnie rozchodzącego się z każdym łykiem ciepła. Nie czuła właściwie niczego, skupiała się wyłącznie na obrazach, które podsuwał mózg. Widok siostry otwierającej jej z uśmiechem drzwi wejściowe uparcie wpychał się pod powieki. Wbiegła na górę, stanęła przed pociemniałymi drzwiami z drewna sosnowego i bez zastanowienia wsunęła klucz do zamka. Poczuła opór, ale zaraz potem usłyszała metaliczny chrzęst. Zanim zdążyło do niej dotrzeć, co się dzieje, nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Kurz natychmiast podrażnił jej nozdrza. Kichnęła. Wyłożony boazerią ciasny przedpokój prezentował się dokładnie tak samo jak wtedy, gdy była tu ostatni raz. Szła ostrożnie, żeby nie nadepnąć na pałętającego się zazwyczaj pod nogami kota. Obrazy zdołały oszukać mózg, który przez chwilę pozwolił jej uwierzyć, że spasiony dachowiec zaraz wyskoczy z pokoju, jakby życie w tym mieszkaniu nadal biegło dawnym rytmem. Ale nic się nie

wydarzyło. Bibeloty w witrynce, zdjęcia, zasłonki. Przez szybę z grubym kożuchem kurzu przeświytywała fotografia. Dwie blondynki na tle krzywej wieży w Pizie. Opalone i uśmiechnięte. Zabrała Julkę na tę wycieczkę w dniu jej osiemnastych urodzin. To była pierwsza zagraniczna podróż siostry. Na parapecie pomiędzy porozrzucanymi gazetami wyrastał kaktus. Ziemia w doniczce była wyschnięta, ale wciąż żył. Oddychała szybko, próbując uspokoić narastającą panikę. O co tu właściwie chodziło? Dlaczego Miłosz nie sprzedał tego mieszkania? A przede wszystkim, dlaczego przed nią to ukrył?

Wcześniej

Po ogromnej sali z bielonymi ścianami poniósł się niespokojny szmer. Sędzina z impetem uderzyła młotkiem w drewnianą podkładkę. Tępy odgłos niemal rozsadzał czaszkę.

– Proszę o spokój! – krzyknęła, poprawiając kołnierz togi. – Może pan kontynuować – zwróciła się do wysokiego prawnika, który wyrzucał z siebie kolejne pytania. Były ostre i bezwzględne jak pociski wypluwane przez karabin maszynowy.

– Jak długo obserwowała pani Alinę Kochańską, zanim doszło do uprowadzenia?

– Kilka miesięcy.

Głos Weroniki brzmiał spokojnie. Facet przerzucił kartki, po czym znów zaatakował. Strzał był precyzyjnie wymierzony.

– Dlaczego podjęła pani pracę w przedszkolu Zaczarowany ołówek?

– Żeby być bliżej Aliny Kochańskiej – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Czyli uprowadzenie było misternie zaplanowaną intrygą? Podejmując takie kroki, nie mogła pani działać pod wpływem impulsu.

– Sprzeciw – wtrąciła się elegancka szatynka z ustami pomalowanymi błyszczykiem, jej mecenaska.

– Oddalam. Proszę odpowiedzieć.

– To prawda. Ten plan dojrzewał we mnie od dawna.

Pomiędzy anonimowymi twarzami poniósł się złowrogi szept.

– Wykorzystała pani swoją pozycję zawodową do tego, żeby zbliżyć się do małoletniej?

– Tak.

– Jaki był ostateczny cel tych działań? Czy pani zamiarem było wyrządzenie jej krzywdy?

– Ona nie była celem. Jedynie narzędziem. W gruncie rzeczy chodziło o jej babkę. Helenę Kochańską.

Znów przerzucił kartki, jakby szukał tam jakiejś odpowiedzi.

– Czy była pani skłonna skrzywdzić małoletnią, żeby osiągnąć to, co sobie zaplanowała względem wspomnianej Heleny Kochańskiej?

– Byłam zdolna do wszystkiego, by wymierzyć sprawiedliwość.

Sala zawrzała.

Teraz

Otworzyła szafkę, w której Julka zawsze trzymała czekoladki i wino. Szukała śladów życia. W środku znalazła tylko jedną dużą kopertę i kolorowy notes. W miejscu, gdzie zwykle przykleja się znaczek, różowiło się logo kliniki Ginovum. Od razu rozpoznała tę czcionkę z zawijasami i serduszko przy literce „i”. Kiedyś wgapiała się w tę grafikę godzinami, czekając na kolejne

konsultacje. Co koperta z centrum leczenia niepłodności robiła w szafce Julki? Wyjęła plik dokumentów i pośpiesznie omiotła je wzrokiem. Zdjęcie USG macicy, zgoda na wykonanie zabiegu mimo braku zgodności fenotypowej, badania krwi. Poczuła, że brakuje jej powietrza. Podeszła do okna, mrugając szybko, żeby pozbyć się mroczków. Kilka głębokich wdechów i jeszcze raz dotknęła koniuszkami palców brzegu kartek.

Zabieg wykonano bez znieczulenia, inseminacja domaciczna z nasieniem dawcy AID. Zalecenia: Suplementacja fazy lutealnej przez 14 dni (Luteina 2 x dziennie głęboko do pochwy). 14 dni po zabiegu wykonać próbę ciążową. Jeśli próba wypadnie pozytywnie badanie USG w 25. dniu po zabiegu.

To, co przeczytała, nie miało żadnego sensu. Przecież Julka zaliczyła wpadkę. To była niechciana ciąża, którą miała zamiar usunąć. Weronika z Miłoszem, którzy od lat bezskutecznie starali się o dziecko, postanowili ocalić tego małego człowieka, jednocześnie spełniając największe marzenie w życiu. Dlaczego miałaby robić zabieg inseminacji, a później planować aborcję? Przecież nie miało to sensu. No chyba że chciała urodzić komuś dziecko dla pieniędzy, a później potencjalni klienci się rozmyślili. Nie, to niemożliwe. Julia nie miała szczęścia na rynku pracy, ciągle szukała nowej posady, ale nie posunęłaby się do czegoś takiego dla zarobku. Zresztą wiedziała, że zawsze może liczyć na Korneckich. Czy na pewno?

Weronika poczuła, że robi jej się nieznośnie gorąco. Wciąż miała na sobie płaszcz. Rzuciła go na podłogę i zaczęła nerwowo przeglądać notes. Smukłe litery zapisane żelowym długopisem układały się w zdania. Wpisy opatrzono datami. Nie miała pojęcia, że jej siostra prowadziła pamiętnik.

22.02.2019

Jestem taka zmęczona. Wszystkie dni są takie same. Spędzanie ośmiu godzin w biurze i kolejnych dwóch w tramwaju jest marnowaniem czasu. Dlaczego nikt tego nie dostrzega? Jeśli na tym polega dorosłość, to ja chyba nigdy nie dorosnę. Dobijają mnie puste dni i wieczory. Wychodzenie na zewnątrz też jest bezcelowe. Wystarczy już, że muszę spędzać czas z błaznami z firmy, którzy rozprawiają wyłącznie o bzdurach YouTube'a i wszystko dla nich jest zabawne. Oni są głupi albo ja nie potrafię się dostosować do biurowego rytmu życia. Może jestem jakaś niepasująca…

Kolejna kartka

Mateusz to… Wciąż nie znajduję określenia, które oddałoby jego stopień zidiocenia. Jest taki sam jak wszyscy. Jego życie wypełnione jest piwem, meczami i seksem oglądanym w internecie. Ja miałam być tylko dodatkiem.

Następna.

Coś się zmienia. We mnie i w świecie. Ariel jest inna niż ludzie, których do tej pory spotkałam. Ciekawi ją, co mam do powiedzenia. Uczy mnie cieszyć się życiem. Obiecuje, że kiedyś zamieszkamy przy plaży i będziemy całymi dniami chodzić nago po domu. Mam dwadzieścia lat, to idealny czas, żeby nareszcie zacząć żyć. Całe szczęście, że poszłam wtedy do tej cholernej biblioteki.

Przerzuciła kilka stron. Ostatnie wpisy nie były już datowane.

Kłamstwo w imię wyższego dobra przestaje być kłamstwem? Nie jestem pewna. Ale bardziej przeraża mnie myśl, że nie robię tego dla dobra Weroniki, ale po to, by dostać te pieprzone sto tysięcy od Miłosza i zacząć od nowa. Gdzieś, gdzie ciągle świeci słońce, a ludzie się do siebie uśmiechają. Tam, gdzie nikt nie będzie patrzył z zaciekawieniem, jak trzymam Ariel za rękę. Jeśli przy okazji spełnię marzenie mojej siostry, to przecież wszyscy na tym zyskamy. Gdybym tylko mogła się z nią podzielić tym sekretem. A może nie potrafiłaby mi wybaczyć? Tego, że pod moim sercem wierzga dziecko jej męża, a jej nigdy nie udało się tego doświadczyć?

Nagle myśl o dziecku, które tak bardzo kochała i za którym tęskniła każdego dnia, sprawiła jej ból. Jak ostry opiłek tkwiący w miękkiej jamie oka. Ciało obce, które trzeba jak najszybciej poddać ekstrakcji. Nie, to nie było jakieś tam dziecko. Szybko poukładała kafelki w głowie. To był Oliwier, jej synek. To, że Miłosz był jego biologicznym ojcem, nie miało znaczenia. Że oszukiwali ją z Julią też nie. Oliwier należał do niej, musiała tylko to udowodnić przed światem, a przede wszystkim przed sobą. Sprostać wymaganiom, które niesie ze sobą matczyna miłość. Spłacić dług za to, że nie potrafiła go ocalić. Nic więcej się nie liczyło.

Oddychała szybko, jakby przed chwilą przebiegła maraton. Oczy piekły, ale z premedytacją nie mrugała. Nie mogła poddać się tym uczuciom, które w niej pęczniały. Musiała być niewzruszona, inaczej pęknie i straci nad sobą panowanie, a wtedy wszystko pochłonie mrok. Raz się z niego wydobyła. Kolejny mogła nie mieć tyle szczęścia.

Przesunęła stalową bramkę, a ta zaskrzypiała przeciągle. Metalowe róże powtykane między pręty były powleczone cienką warstwą szronu. Trzy schodki. Wcisnęła zimny przycisk dzwonka. W drzwiach stanęła kobieta o krótkich kasztanowych włosach. Na jej szyi lśniło kilka złotych łańcuszków.

– Weronika?

W jej głosie zdziwienie mieszało się ze zdenerwowaniem.

– Szukam Szymona.

– Przepraszam, że nie byliśmy na pogrzebie Miłosza. Dowiedzieliśmy się zbyt późno. A to taki kawał drogi.

Nie chciała słuchać jej pokrętnych wymówek. Dobrze wiedziała, że po tym wszystkim Marcelina po prostu nie chciała mieć z nią kontaktu. Zresztą Weronika nikogo nie informowała o pochówku męża. Nie chciała, by nad jego trumną stali ludzie z dawnego życia. Odcięła się od wszystkich i pragnęła, by tak pozostało.

– Nie mam wiele czasu. Mogę porozmawiać z Szymonem? To ważne.

Kobieta rozejrzała się nerwowo, po czym odpowiedziała niepewnym głosem:

– Nie ma go, wyjechał na kilka dni.

Dokładnie w tej samej sekundzie na podjazd gładko wtoczył się czarny peugeot.

Marcelina przymknęła oczy z rezygnacją. Szymon wysiadł z auta, posyłając Weronice zdenerwowane spojrzenie.

– Możemy chwilę porozmawiać? – spytała.

Kobieta o kasztanowych włosach wykonała niemal niedostrzegalny, przeczący ruch głową, patrząc porozumiewawczo na męża.

– Oczywiście. Wejdźmy do środka – odparł mimo to Szymon i rozejrzał się wokół, jakby sprawdzał, czy nikt ich nie obserwuje.

W salonie Tadrzaków unosił się chemiczny konwaliowy zapach. Weronika opadła na welurowe krzesło.

– Co z firmą? W KRS był zapisany tylko Miłosz, a przecież byliście wspólnikami.

Szymon się zdziwił. Albo przestraszył i właśnie próbował to ukryć.

– Jaką firmą? Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

Miała nadzieję, że żartuje. Ale jeśli tak było, robił to w mało wyrafinowany sposób.

– Jak to jaką? Przecież co chwilę jeździliście po kolejne auta.

– Pracowałem u Miłosza trzy miesiące – wyjaśnił. – To było trzy lata temu, potem odszedłem. I nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie rozumiesz?!

Nie rozumiała. Czyżby chodziło o jakieś nielegalne interesy, kradzione samochody? To by tłumaczyło, w jaki sposób Miłoszowi udało się zgromadzić w krótkim czasie tak duży kapitał. Latami przekonywał ją, że to wspólnik tak naprawdę zajmuje się biznesem, a on tylko podpisuje papiery.

Telefon zawibrował, na wyświetlaczu pojawił się numer Adama. Odrzuciła połączenie. Nie mogła się rozpraszać. Nie teraz, kiedy była tak blisko prawdy. Prawdy, która przerażała, mimo że wciąż pozostawała tajemnicą.

– Dlaczego odszedłeś tak szybko?

– Bo ta firma była fikcją, a Miłosz tak naprawdę nigdy nie zajmował się sprowadzaniem aut – powiedział szybko, unikając wzroku żony.

Marcelina wstała gwałtownie.

– Dość. Koniec tej rozmowy – oświadczyła twardo. – Wybacz, ale przyszłaś bez uprzedzenia, a my jesteśmy zajęci. Odprowadzę cię do drzwi.

Weronika nie zwróciła na nią uwagi, wciąż wpatrywała się w Szymona.

– Z kim w takim razie współpracował Miłosz? Gdzie mam szukać? O co w tym wszystkim chodzi? Muszę poznać prawdę.

Potrząsnął przecząco głową.

– Nikogo nie szukaj. Zostaw to.

– Nie mogę. To dotyczy mojego męża. Potrzebuję prawdy, żeby go pożegnać.

– Posłuchaj. – Nachylił się nagle i chwycił ją mocno za przegub. – To nie jest kwestia prawdy. Myślisz, że wasza przeprowadzka do Szumów była jedynie próbą ochronienia ciebie przed sobą samą? Otóż nie. A resztę musisz dopowiedzieć sobie sama. Idź już.

Niemal wypchnął ją z domu, a zaraz potem pośpiesznie zamknął drzwi i przekręcił zamek.

ROZDZIAŁ 13

Wcześniej

– Wera, słuchasz mnie w ogóle? Przestań mówić rzeczy, które cię obciążają. Nie odpowiadaj na kłopotliwe pytania. Możesz kluczyć albo w ogóle odmówić odpowiedzi – powiedział Miłosz, po czym zwrócił się do mecenaski, która zaciągała się marlboro: – Prawda?

– Lepiej odpowiedzieć. Nawet zdawkowo. – Kobieta poprawiła elegancki kostium. Przełożona przez ramię toga powiewała na wiosennym wietrze.

– Powiem prawdę – odezwała się Weronika.

– W imię czego, kurwa?! Chcesz iść do pierdla? Już raz niemal tam trafiłaś. Cudem uniknęliśmy tymczasowego aresztowania. Do reszty oszalałaś? Robimy wszystko z mecenas, żeby cię z tego wyciągnąć, stajemy na uszach, żeby jak najszybciej zamknąć sprawę, a ty próbujesz się pogrążyć. Chcesz zostać zasraną męczennicą?!

– Ciszej – zdyscyplinowała go prawniczka.

– Powiem prawdę. Niech wszyscy się dowiedzą, jakim potworem jest ta kobieta. Że to ona jest temu wszystkiemu winna. To ona

skrzywdziła Oliwiera, a teraz skrzywdzi Alinę.

Miłosz spojrzał na nią ze strachem, po czym zrezygnowany machnął dłonią.

Łagodny głos adwokatki wybrzmiał uspokajająco, jakby chciała wyciszyć sytuację.

– Pani Weroniko, teraz wszystko zależy od pani. Mamy linię obrony, musimy się jej trzymać. Była pani rozżalona, pogrążona w żałobie, niezdolna do zachowań intencjonalnych. Tylko trzymając się tego kierunku, mamy szansę na zawieszenie wyroku. – Spojrzała na małą tarczę zegarka pobłyskującą na złotej bransoletce. – Chodźmy już, za pięć minut zaczynamy. Proszę trzymać się ustaleń.

– Nie.

Głos Weroniki był silny. Mecenaska spojrzała pytająco na Miłosza, jakby szukała u niego wskazówki, a gdy jej nie znalazła, odparła z rezygnacją:

– W takim razie ja już nic nie mogę pani zaproponować. To jedyna furtka, którą pani miała, ale świadomie ją pani odrzuca. Szkoda.

– Mam tylko prawdę. Resztę pozostawiam losowi.

Teraz

Jeździła bez celu wokół centrum. Nie miała pojęcia, dokąd się udać. Wszystkie przyjaźnie scementowane egzotycznymi wakacjami i obiadami w drogich knajpach zostały rozniesione jak pył po burzy, która rozegrała się wokół Aliny Kochańskiej. Została przy niej tylko Edyta, dobra do wypicia razem butelki prosecco, ale nic poza tym. Parkując przed apartamentowcem, zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nie znała własnego męża. Nie miała

pojęcia, z kim się spotykał, co robił, gdzie bywał podczas weekendów, kiedy rzekomo jeździli z Szymonem na zjazdy kółka myśliwskiego. Nigdy nie miała okazji zbliżyć się do jego znajomych. Podczas przypadkowego spotkania pod ich domem poznała Marcelinę Tadrzak. Później kilka razy zjadły razem lunch na mieście. Wydawała się sympatyczna, podobnie jak jej mąż, ale Miłoszowi zawsze brakowało czasu na wspólne wyjścia we czworo. Po kolejnej odmowie Weronika przestała proponować. Zawsze zasłaniał się firmą i obowiązkami. Po wszystkim, co się zdarzyło w związku z Aliną, żona Szymona zerwała z nią kontakt. Chociaż nie. Okazało się, że powód rozpadu tej znajomości też nie był prawdziwy.

Zjadła ulubione sushi zamówione przez telefon, ale potem wszystko zwymiotowała. Zaczęła gorączkowo przeszukiwać mieszkanie. Liczyła, że znajdzie jakiś trop, cokolwiek, co przybliży ją do odpowiedzi na pytanie, czym tak naprawdę zajmował się Miłosz. Jedyne, co udało jej się wygrzebać z szafy, to teczka z rozliczeniami. Postanowiła skontaktować się z biurem rachunkowym, którego dane widniały na pieczątce, ale było już za późno. Musiała to odłożyć do jutra. Nagle poczuła wszechogarniającą słabość. Napięte stresem ciało domagało się odpoczynku. Zasnęła na siedząco na podłodze, opierając głowę o siedzisko narożnika. Kiedy się obudziła, w mieszkaniu panował półmrok. Jedynym źródłem światła były niebieskie smugi wpadające przez okno z ulicy. Niespodziewanie usłyszała metaliczny odgłos. Szczęknięcie. Zamarła. Ktoś właśnie otwierał drzwi jej mieszkania, a ona nie mogła odnaleźć w sobie siły, by się poruszyć. Przez chwilę wbrew logice spodziewała się, że to Miłosz.

Poraził ją oślepiający strumień. Zasłoniła dłonią oczy. Spomiędzy palców wyłonił się znany obraz. Mężczyzna o szerokich

barkach w wojskowych butach i spodniach moro.

– Marcin?

Ulga mieszała się z narastającym od nowa strachem.

Ścisnął ją mocno za ramię.

– Pakuj się, wyjeżdżamy.

– Skąd do licha masz klucze do mieszkania?

– Porozmawiamy po drodze. Im szybciej stąd znikniemy, tym lepiej.

– Popieprzyło cię? Nigdzie nie jadę. Mam sprawy do załatwienia.

– Nie masz tu żadnych spraw. Uwierz mi. Zabierasz coś?

Stawał się coraz bardziej nieustępliwy. Jego pokryta bliznami potrądzikowymi twarz pozostawała nieruchoma jak maska.

– Naprawdę myślisz, że Miłosz zginął w wypadku? – wycedził. – Otrzeźwiej, dziewczyno, jeśli chcesz żyć.

Po ostrej wymianie zdań na temat tego, czy Weronika powinna prowadzić, w końcu wsiedli do jej czerwonego nissana. Marcin powiedział, że wróci po swoje auto nazajutrz.

Jechali w ciszy przerywanej złowrogimi szumami dochodzącymi z głośników.

Kiedy w końcu skręciła w zjazd na Warszawę i minęli zieloną tablicę z przekreślonym napisem „Kraków", odezwała się zniecierpliwiona:

– Wyjaśnisz mi to w końcu?

Odpalił papierosa, ignorując jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Miłosz nie zajmował się sprowadzaniem używanych aut.

Uchyliła okno. Strumień zimnego powietrza głośno zassał się do środka.

– Więc czym?

– Handlem kobietami.

W jakimś irracjonalnym obronnym odruchu nacisnęła hamulec. Samochód gwałtownie stracił prędkość.

– Kurwa, uważaj! – wykrzyknął Marcin, próbując przejąć kierownicę.

Weronika wcisnęła powoli pedał gazu, a auto znów płynnie ruszyło przed siebie.

– Co to znaczy handlem kobietami? – spytała cicho.

– Klasycznym. Szukał kobiet, które będą dawać dupy za pieniądze. Ale nie zgrywaj naiwnej, przecież to logiczne, że nie dorobiłby się takiego majątku na sprzedaży jakichś samochodowych trucheł z zagranicy. To była zwykła przykrywka.

Miała nadzieję, że ją okłamuje. Od początku jego zachowanie wzbudzało w niej lęk. Może teraz też tylko ją podpuszczał.

– Co to ma wspólnego z jego wypadkiem?

Wyrzucił niedopałek przez okno, a Weronika natychmiast je zamknęła. Szum ucichł.

– Nie przeprowadziliście się na Lawendowe Wzgórze przypadkiem – odparł.

– Chcesz mi powiedzieć, że śmierć ciotki Miłosza też nie była zbiegiem okoliczności?

Jego chrapliwy śmiech poniósł się po aucie. Był jeszcze bardziej nieprzyjemny niż huk rozsadzający przed chwilą jej czaszkę. W końcu Marcin odetchnął głęboko, wycierając kącik oka, i powiedział:

– Nie było żadnej ciotki. Znaczy Klemencja rzeczywiście chorowała, a później umarła w domu starców, ale nie była ciotką Miłosza. On po prostu kupił od niej dom. Zresztą z mojego polecenia. Poznaliśmy się kilkanaście miesięcy wcześniej. Byłem ochroniarzem do zadań specjalnych na eventach jednego z jego… powiedzmy, że klientów. Pogadaliśmy, powiedziałem mu o tym, że Kostrzewowa, u której pracowałem na co dzień, ledwo dycha i pewnie chętnie spieniężyy dom, żeby kasę przed śmiercią na

jakąś katolicką fundację wpłacić. Nie wahał się długo. Szumy to idealna kryjówka.

– Kryjówka? Przed czym uciekał?

– Chciał zmienić zasady działania biznesu. Ale jak raz wejdziesz do tej rzeki, to już nie wyjdziesz. Ma muliste dno. – Znów się roześmiał. – A jak chcesz się uratować, musisz się czołgać. Miłosz nie lubił padać na kolana. Przywykł, że to on rozdaje karty.

A więc wyprowadzka do Szumów wcale nie była próbą obronienia jej przed szkalującymi spojrzeniami, tylko misternie zaplanowaną strategią mającą chronić Miłosza.

– Marcin – zaczęła ostrożnie, szukając w głowie odpowiednich słów. – A te kobiety z kamieniem w gardle? Czy Miłosz mógł im coś zrobić?

Włożył do ust listek gumy miętowej, przeżuł kilka razy.

– On nie – odparł w końcu. – Ale nie jestem pewien, jak daleko dotarli ci, którzy chcieli go złamać.

Sama nie wiedziała, jak dojechała na miejsce, nie powodując żadnego wypadku. Niewiele pamiętała z samej drogi, jedynie uporczywe myśli, które nie odpuszczały ani na moment. Czy w Szumach będzie bardziej bezpieczna niż w Krakowie? Czy w tej sytuacji mogła czuć się bezpiecznie gdziekolwiek? Przecież te morderstwa kobiet na Wzgórzach Dylewskich wiązały się z jej mężem, nawet jeśli to nie on zabijał. Dlatego znalazła ciało tamtej nauczycielki na podjeździe. Bała się. Tylko czy powinna? Przecież nie mając już kompletnie nic, nie mogła też nic stracić. Poza życiem, ale ono było tylko jednym wielkim kłamstwem. Może kobieta, która uciekła z samochodu Miłosza, miała ku temu powody? Może ją napastował albo próbował zwerbować do swojego interesu? Ta możliwość wywoływała w niej takie samo

obrzydzenie jak hipoteza, że kogoś zabił. Najbardziej przerażała ją świadomość, że już nic nie może z tym zrobić.

– Wprowadzę się do domku dla gości – oznajmił Marcin, kiedy mijali wielką bramę wjazdową.

– Nie, wszystko ma być tak jak wcześniej – odparła zdecydowanie. Wciąż nie potrafiła mu ufać.

Poczuła gwałtowną tęsknotę za Adamem, który w tamtym momencie jawił się jako bezpieczna wyspa, ale przecież to też było jedynie złudzeniem.

W domu wypiła pół butelki zwietrzałego wina, które znalazła w kuchennej szafce, i przysnęła na sofie. Płytkim niespokojnym snem, bez obrazów i dźwięków. Snem, który do złudzenia przypominał jej lęki z dzieciństwa, kiedy w pokoju dziecięcym zapadała ciemność. Rano z nadludzkim wysiłkiem zwlekła się z kanapy. Dochodziła szósta. Za oknem wciąż panował nieprzenikniony mrok. Nie mogła zostać sama. Potrzebowała ruchu, który odwróci uwagę od natrętnych myśli. Wzięła szybki prysznic, a później wsiadła do lodowatego auta i pojechała w stronę szkoły.

– Weronika? – Adam uśmiechnął się niepewnie na jej widok. – Dobrze, że jesteś, chociaż dałbym sobie kciuk obciąć, że dzisiaj masz jeszcze urlop. No dobra, może paznokieć by wystarczył – zażartował.

– Formalnie mam, ale postaram się to później odkręcić w kadrach.

– Cudnie, więc ktoś ujarzmi papierzyska latające po moim gabinecie, bo przed końcem półrocza zawsze mam tu armageddon. – Nagle spoważniał i położył jej rękę na ramieniu. – Wszystko dobrze?

– Zmiennie, jak to u mnie.

– Posłuchaj – zaczął tak cicho, że nie była pewna, czy słyszy jego głos, czy odczytuje znaczenie słów z ruchu warg. – Nawet jeśli twój mąż był winny, nie ma to nic wspólnego z tobą. Rozumiesz? Nie możesz się tym obarczać.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i spłoszony Adam pośpiesznie zabrał rękę z jej ramienia.

Grasicki wszedł do biura, zostawiając za sobą ślady wody.

– Pogadamy?

Ku zaskoczeniu Weroniki zatrzymał wzrok na niej.

– Jasne. O co chodzi?

– Cholera, tu ciągle ktoś się przewija. Może pójdziemy na chwilę do mnie, do kanciapy?

– Nie ma potrzeby – powiedział Adam. – Możecie zainstalować się w moim gabinecie, ja i tak zaraz zaczynam lekcje.

Mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia, jakby ta rozmowa była elementem uzgodnionego przez nich wcześniej planu, Weronika uznała jednak, że może na niej więcej skorzystać, niż stracić, dlatego bez słowa weszła do gabinetu i usiadła na krawędzi fotela z ekoskóry.

– Gdzie pani była przez te kilka dni? – zapytał były policjant bez ogródek.

Zirytowała się, że Grasicki próbuje ją przesłuchiwać, ale mimo to odpowiedziała:

– W Krakowie. Chciałam trochę odpocząć od tutejszej atmosfery.

– Wyjechała pani tuż po przeszukaniu? Może uciekła przed czymś albo… – zawahał się, mrużąc szare oczy – natknęła się na jakiś trop dotyczący męża i chciała go pośpiesznie zweryfikować?

– Wyjechałam, żeby pozamykać kilka osobistych spraw – odparła spokojnie. – Nic więcej.

– Będą próbowali zrobić z pana Korneckiego kozła ofiarnego.

Spojrzała na niego zdziwiona. Czyżby naprawdę nie wierzył w jego winę?

– Łatwo zamknąć sprawę, kiedy podejrzany nie może się bronić – ciągnął Grasicki. – Szczególnie jak ma się żyzny grunt. A pani mąż daleki był od ideału.

Zakaszlał głębokim, rzężącym kaszlem, który wydawał się wydobywać z jakiegoś głębokiego miejsca w jego ciele. Przeszło jej przez myśl, że wiedział o nielegalnym interesie Miłosza. Mężczyzna nachylił się ku niej.

– Patomorfolog, który robi sekcje ofiar w tutejszym zakładzie medycyny sądowej, jest moim dobrym znajomym. Ta trzecia dziewczyna miała w żołądku niestrawione jedzenie. Policja nie kazała wpisywać tego do raportu sekcyjnego, ale na własną rękę zbadaliśmy tę próbkę i okazuje się, że to był kawałek koniny. – Odchrząknął. – Wszyscy wiedzą, że stary Walczak konie tłucze i kiełbasę sprzedaje, ale po co mu w drogę wchodzić. Ekipa z komendy u niego w kieszeni siedzi, więc nie pozwolą, żeby choćby poszlaki w sprawie jego synalka wyszły na jaw.

– Kawałek koniny… – powtórzyła bezgłośnie, przypominając sobie szelest szarego papieru, kiedy Miłosz kładł kiełbasę na stół.

Ciepła woda rozluźniła mięśnie. Weronika poczuła przyjemną błogość, zamarła jednak, gdy na dole rozległ się rumor. Dochodziła dwudziesta druga. Kto o tej porze mógł kręcić się po domu? Wyszła pośpiesznie z wanny, zawiązała ciasno szlafrok i ostrożnie uchyliła drzwi. Odgłos kroków stał się wyraźny.

– Halo! Kto tam jest?! – krzyknęła ostrzegawczo, zanim niepokój przed nieznanym sparaliżował ciało. – Halo! – powtórzyła, zbiegając na dół.

Marcin stał oparty o lodówkę i jadł kabanosa. Mocniej ścisnęła pasek od szlafroka.

– Co ty tu, do cholery, robisz?!

Złość pulsowała w jej żyłach. Posuwał się coraz dalej. Co sobie wyobrażał, wchodząc tu w środku nocy? Słowa Mirka o koninie w żołądku tamtej dziewczyny brzęczały w uszach. Ścierpła jej skóra. Marcin był ich cieniem, odkąd przyjechali do Szumów. Od początku nie budził w niej zaufania, ale Miłosz to bagatelizował. A może miała rację? Tylko po co tyle razy jej pomagał, jeśli chciał ją skrzywdzić? Chyba że miał w tym jakiś ukryty cel.

– Wyjdź stąd – powiedziała zaskoczona swoją stanowczością.

– Przyjechałem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– A dlaczego miałoby nie być w porządku? Przecież alarm działa, monitoring zewnętrzny też. Wystarczyło włączyć podgląd z kamer.

Wzruszył ramionami.

– A co bym tam zobaczył? Zapalone światło. To jeszcze o niczym nie świadczy. Szczególnie w tych okolicznościach. – Urwał na chwilę, ugryzł kolejny kęs, przeżuł i przełknął. – Starą Kujawową ktoś załatwił. – Przejechał palcem po szyi. – To sołtysowa. Uduszona jak te poprzednie dziewuchy. I kamień w gardło też jej wepchnęli.

Weronika odetchnęła z ulgą. Nie tak powinna zareagować na wieść o zabójstwie, ale naprawdę jej ulżyło, ponieważ ta śmierć oznaczała, że nie Miłosz był zabójcą.

– Wepchnęli? Skąd wiesz, że było ich kilku?

Znowu wzruszył ramionami.

– Tak mi się tylko powiedziało.

Spojrzała na niego badawczo. Naprawdę chciała, żeby już sobie poszedł.

– Jak widzisz, nic mi nie jest – powiedziała. – Możesz wracać do siebie. Poradzę sobie. Zresztą nie będę sama – dodała nagle.

To ostatnie nie było prawdą, ale coś podpowiedziało jej, że tylko tak się go pozbędzie.

Marcin sięgnął po kolejnego kabanosa do lodówki, po czym wyszedł bez słowa. Szybko włożyła klucze do zamka – tak żeby nie można było otworzyć drzwi od zewnątrz. Zrobiła to bardziej dla własnego spokoju niż po to, żeby uniemożliwić powrót Marcinowi. Miała niepokojące wrażenie, że kiedy on czegoś chce, nic nie jest w stanie go powstrzymać.

Przez godzinę przekręcała się z boku na bok, próbując zasnąć. Przed północą w sypialni rozległ się sygnał powiadomienia. *Śpisz?*

Zamiast odpisywać, oddzwoniła.

– Mam nadzieję, że cię nie obudziłem – powiedział Adam.

– Nie bardzo. Mózg nie chce zasnąć wbrew ciału. Nie dogadują się.

– Mogę przyjechać.

– Nawet powinieneś.

– Będę za chwilę.

Pośpiesznie zamieniła piżamę na dresy i spięła włosy. Piętnaście minut później Adam czule gładził jej plecy, opowiadając o tym, co dzieje się w Szumach. Siedzieli w całkowitej ciemności. Jedynym źródłem światła była czerwona smuga pochodząca z zegara na dekoderze.

– We wsi wrze. Znaleźli ją jakoś po osiemnastej, ale już wszyscy wiedzą. Ludzie boją się wychodzić z domów. Miałem kilka nocnych telefonów od rozhisteryzowanych matek, czy jutrzejsze lekcje będą odwołane.

– Gdzie ją znaleźli?

– Przy rowie melioracyjnym, tym, który jest z kilometr za znakiem. Łączy się z naszym zbiornikiem retencyjnym spod szkoły. Musiał ją tam celowo wywlec, bo ona przecież była w takim

wieku, że sama w życiu by tam nie doszła. Zresztą i po co? Nawet na wieś już rzadko się zapuszczała.

Uspokajająco pogładził ją po szyi.

– Smutne, że umarła, ale przynajmniej odpieprzą się od Miłosza – powiedziała.

– Cholera ich wie. Ta sprawa jest dziwna. Rozmawiałem z Mirkiem, był na miejscu, zanim przyjechał nowy komendant i go, delikatnie rzecz ujmując, wyprosił. Wcześniej technicy przymykali na niego oko ze względu na starą znajomość. Kujawowa była obnażona dokładnie tak samo jak tamte ofiary, w gardle miała kamień. Wszystko się zgadza, tylko wiek i profil się nie pokrywają. Do tej pory ginęły ładne blondynki w okolicach trzydziestki, a ona była po osiemdziesiątce. Bez sensu.

– No ale te sprawy muszą być ze sobą jakoś powiązane – zauważyła.

Odetchnął głęboko i spojrzał na nią niepewnie.

– Albo zrobił to ktoś, kto chce zmazać winę Miłosza. Ktoś fizycznie słabszy, dlatego wybrał starszą ofiarę, zachowując rytuał pozostawienia zwłok przez mordercę…

Ścisnęło jej się gardło. Czy on naprawdę to powiedział…?

– Co ty pieprzysz? – wyszeptała chrapliwie.

– Ja tylko powtarzam po Grasickim hipotetyczne linie śledztwa – odparł cicho, przymykając oczy. – Ale musisz się z tym liczyć, że pogadają z tobą w tej sprawie.

Rozwarła się przed nią otchłań z jej najgłębiej skrywanymi wspomnieniami.

ROZDZIAŁ 14

Wcześniej

Prawnik utkwił w niej szare jak u jastrzębia oczy, po czym zaatakował.

– W jakich okolicznościach poznała pani doktor Kochańską? – mówił szybko i z przesadnym akcentem, jakby celowo chciał ją zdekoncentrować.

– Moja siostra była w trzydziestym siódmym tygodniu ciąży, kiedy trafiła na oddział patologii. Powodem była infekcja wewnątrzmaciczna. Później okazało się, że jest za mało wód płodowych.

Skupiała się na ruchu palców, którymi delikatnie stukała w krawędź blatu. Słowa wypływały z niej powoli, bez emocji. Musiała opowiedzieć dokładnie, co się wydarzyło. Tak, żeby wszyscy zrozumieli, że Kochańska zabiła jej synka i siostrę. Na dodatek działała z pełną premedytacją. To ona powinna siedzieć na jej miejscu. Weronika była przekonana, że jeśli upubliczni tę historię, wszyscy to zrozumieją.

– Więc poznałyście się panie podczas pobytu siostry na oddziale patologii ciąży?

– Nie do końca. W szpitalu obowiązywał zakaz odwiedzin. Mąż i ja byliśmy upoważnieni do otrzymywania informacji na temat stanu zdrowia mojej siostry. Dzwoniliśmy codziennie. Pani doktor zapewniała nas, że wszystko jest pod kontrolą.

– Czyli mieli państwo stały kontakt z lekarzem prowadzącym?

– Hipotetycznie. Trzy dni po przyjęciu do szpitala siostra napisała mi esemesa, że czuje się coraz gorzej.

Podskoczyła na dźwięk damskiego głosu, który wybrzmiał z jej prawej strony:

– Dowód w formie zapisu tej wiadomości został dołączony do sprawy – wyrecytowała niespodziewanie siedząca obok mecenas.

– Wtedy doszło do spotkania z lekarzem prowadzącym?

– Nie. – W głosie Weroniki zabrzmiało rozgoryczenie. – Doktor utrzymywała z nami wyłącznie kontakt telefoniczny, zasłaniając się obostrzeniami. – Kilka godzin po tym esemesie Julia straciła przytomność, a później zmarła.

Adwokat spojrzał na kartkę, którą trzymał w rękach.

– W dokumentacji napisano: „U pacjentki nastąpiło zakażenie wewnątrzmaciczne, które doprowadziło do niedokrwienia macicy, a w efekcie do perfuzji łożyska i odpłynięcia płynu owodniowego, w wyniku czego płód obumarł. U rzeczonej wyżej pacjentki na skutek powyższych okoliczności doszło do wstrząsu septycznego, który doprowadził do zgonu”.

– Sprzeciw – ożywiła się mecenas. – To nie ma związku ze sprawą.

Sędzina utkwiła spojrzenie w adwokacie.

– Ma pan pytanie do oskarżonej związane z przeczytanym przed chwilą fragmentem dokumentacji medycznej?

Facet potarł ręką czoło.

– Tak, wysoki sądzie. Chciałbym, żeby pani Kornecka w obliczu tego, co opisano w dokumentacji medycznej, wyjaśniła, na czym polegał błąd doktor Kochańskiej.

– Sprzeciw, wysoki sądzie, jeszcze raz podkreślam, że to nie ma związku ze sprawą.

– Podtrzymuję.

– Kiedy po raz pierwszy spotkała pani doktor Kochańską twarzą w twarz? – drążył prawnik.

Weronika przymknęła oczy. Cały ciężar tego wspomnienia rozlał się po ciele, niemal pozbawiając ją tchu.

– Gdy już dowiedziałam się, że Oliwier i Julka nie żyją – powiedziała powoli. – Wtedy z mężem wbrew zakazowi przyjechaliśmy do szpitala.

– Czy wtedy po raz pierwszy groziła pani doktor Kochańskiej?

Poczuła, że krew w żyłach zaczyna buzować.

– Być może. Nie pamiętam. Działałam w amoku. Przecież gdyby ta kobieta w porę zareagowała na pogarszający się stan mojej siostry, Oliwier i ona by żyli.

– Czy podczas tamtego wtargnięcia do szpitala interweniowała ochrona?

– Tak.

– Czy to był jednorazowy incydent, kiedy podczas pani wizyt w szpitalu musiała reagować firma ochroniarska?

Weronika opuściła wzrok.

– Nie.

– Po jakim czasie od śmierci pani siostry doszło do uprowadzenia małoletniej Aliny Kochańskiej?

– Po siedmiu miesiącach.

– Po takim czasie emocje po stracie ciężarnej siostry musiały być już nieco… – zawahał się, po czym dodał niepewnie – …wyciszone, była więc pani świadoma tego, jakiego czynu się pani dopuszcza.

– Wyciszone? Czy pan wie, o czym pan mówi?! – zawołała ze łzami w oczach. – Jak pan może być tak bezduszny?! Tam było jeszcze dziecko! Moje dziecko!

Teraz

Mimo że Adam nie odwołał lekcji, szkoła była niemal całkowicie opustoszała.

– Złe wieści szybko się rozchodzą – mruknął, włączając ekspres. – Powinienem mieć teraz lekcję z siódmą b, ale przyszła tylko garstka, więc połączyłem ich z siódmą a. Mają lekcję biblioteczną. Łukasz trochę kręcił nosem, ale obiecałem mu, że za tę drobną przysługę skatalogujesz za niego nową dostawę książek.

– Świetnie, że składasz deklaracje w moim imieniu. To dobrze wróży na przyszłość – powiedziała z przekąsem.

Adam usiadł na biurku i wskazał palcem na włosy.

– Widzisz?

Zdezorientowana zmarszczyła czoło.

– Co takiego?

– Siwe włosy. Jeszcze przed pięćdziesiątką dzięki moim dzieciom i ich matce będę jak gołąb. Wyobraź sobie, że odmówiły przyjazdu na weekend do Szumów. Tu jest, cytuję: nudno i nie ma co robić. Jeśli chcę spędzić z nimi czas, to ja mam przyjechać do Gdańska. Pewnie moja była żona krwiopijczyni miała w tym swój udział. – Westchnął ze złością.

– Gładko zmieniasz temat – zauważyła. – Ale gdybym ja miała dzieci, pojechałabym za nimi nawet na Alaskę.

Spojrzał na nią zakłopotany. Odezwał się po chwili, przerywając krępującą ciszę.

– Nie planowaliście czy tak wyszło?

– Zdecydowanie nie wyszło.

Nabrała powietrza w płuca, a później ze świstem je wypuściła. Słowa uleciały z niej razem z tlenem.

– Gdy miałam cztery lata, moja mama straciła ciążę. Nie rozumiałam, co się wtedy wydarzyło. Poza tym, że w brzuszku był dzidziuś, a później go nie było. Kiedyś podsłuchałam, jak rozmawiała o tym z ojcem. Powtarzała, że jest złą matką, bo dobra potrafiłaby zejść nawet do piekła, by ocalić swoje dziecko, nie dałaby mu umrzeć. Rodziców dawno już nie ma, ale tamte słowa zostały ze mną na całe życie. Wybrzmiewały podczas setek badań, inseminacji, odrzuceń zarodka. Nie ocaliłam żadnego z tych żyć.

Machnął niespokojnie ręką, jakby już nie chciał słuchać, ale ona mówiła dalej.

– Marzyłam, że zostanę matką, odkąd zdałam maturę. Może dlatego szybko weszłam w poważny związek, później wyszłam za mąż. W miarę upływu czasu to marzenie było coraz silniejsze, ale los ze mnie zakpił, bo okazało się, że nie mogę zajść w ciążę. Miłosz na początku nie był przekonany, jednak im bardziej mnie kochał, tym bardziej dzielił ze mną pragnienie posiadania dzieci, rodziny. Presja stała się nie do zniesienia.

Mówiła cicho, momentami słowa przechodziły w szept, ale Adam doskonale słyszał każde z nich.

– W końcu spróbowaliśmy in vitro, jednak przy zapłodnieniu pozaustrojowym mój organizm również pozbywał się zarodka. Nie byłam w stanie utrzymać ciąży nawet kilka tygodni.

Słuchał jej w kompletnym bezruchu, jakby się bał, że może ją zranić niewłaściwym słowem albo gestem.

– I wtedy pojawił się znak od losu…

Urwała, bo drzwi zaskrzypiały.

W progu stanął Mirek i obrzucił ich poważnym spojrzeniem.

– Musimy porozmawiać – zwrócił się do Adama tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Jasne, ja wracam do swoich obowiązków – mruknęła zmieszana i pośpiesznie zaczęła przekładać przypadkowe kartki, a oni zamknęli się w gabinecie.

Zza ściany słychać było podniesione głosy. Kłócili się o coś.

– Nie! – zawołał stanowczo Adam i w tym samym momencie rozeźlony Grasicki nacisnął klamkę.

– Otwórz oczy, zanim będzie za późno – burknął i już go nie było.

Zdziwiona Weronika spojrzała na gabinet, ale nie odważyła się wejść. Kilka minut później wyłonił się stamtąd Adam z ponurą miną.

– W porządku? – zagadnęła.

– Tak. Wszystkim trochę nerwy puszczają, bo ta sytuacja wymyka się spod kontroli.

– Na co nie chcesz się zgodzić?

Spojrzał na nią pytająco.

– Nie, nie podsłuchiwałam. Po prostu byłeś na tyle ekspresyjny w swoim zaprzeczaniu, że trudno było tego nie usłyszeć.

Machnął ręką.

– To nic ważnego. Nie ma sensu się nad tym zastanawiać. Jak możesz, zajrzyj do biblioteki. Nie jestem pewien, czy dzieciaki jej nie rozniosły. Łukasz jest wobec nich zdecydowanie zbyt uległy.

– Chyba go nie doceniasz.

Roześmiał się sztucznie, po czym pogładził brodę.

– A ty go doceniasz? To dobrze, bo widać, że zależy mu na twojej opinii.

Skrzywiła się, kręcąc głową.

– Nie sądzę.

– O naiwności niewieścia. – Ostentacyjnie wzniósł ręce. – Nie trzeba być bystrzakiem, żeby zauważyć, jak na ciebie patrzy.

– Przestań, bo za chwilę sam będziesz musiał się pofatygować do biblioteki.

Zaperzyła się, ale rzeczywiście kilka razy złapała Łukasza na tym, że się w nią wpatrywał.

– Dobra, w takim razie zerka na ciebie tylko wtedy, kiedy musi, i to z wyjątkową odrazą – zażartował.

Przewróciła oczami.

Bezszelestnie weszła do biblioteki i opadła na stojący przy drzwiach fotel. Przytłumiony głos Łukasza wybrzmiewał cicho zza regałów pełnych książek. Brzmiał łagodnie i kojąco.

– Proszę pana – odezwała się jakaś uczennica – widziałam pana wczoraj.

– Naprawdę? A gdzie? – W sposobie, w jaki wypowiedział to pytanie, nie było słychać zaciekawienia, raczej zawstydzenie.

– W kronice. Z panem Rzepczyńskim przerabialiśmy historię szkoły. I pan tam był. Jako uczeń. Poznałam po łańcuszku z medalikiem. Tym samym, który ma pan teraz. A pod zdjęciem był podpis „Łukasz Omański” – dodała dziewczynka z zadowoleniem, jakby skrycie podkochiwała się w starszym od siebie mężczyźnie.

Łukasz chyba też odniósł takie wrażenie, bo milczał zmieszany.

Dopiero teraz dotarło do niej, że podobnie jak Adam uczył się kiedyś w tej szkole. Szybko przeliczyła w głowie lata. Być może nawet wtedy, kiedy doszło do pożaru. Musiała go wypytać o nauczycielkę ze znamieniem na policzku. Miała niejasne wrażenie, że ta kobieta odgrywa jakąś znaczącą rolę w jej życiu.

Tak głęboko pogrążyła się w myślach, że nawet nie zauważyła, kiedy dojechała do domu. Zastanawiała się, czy Miłosz wybrał Szumy przypadkowo, uznając gospodarstwo na wzgórzu wyłącznie za bezpieczną kryjówkę, chociaż przeczuwała, że chodzi o coś więcej. Że wszystko, co wydarzyło się w ostatnich miesiącach, jest w jakiś sposób powiązane z nią i kobietą ze zdjęcia. Nagle w jej głowie błysnęła elektryzująca myśl. Przypomniała sobie, że za jedną z szafek w kuchni była niewielka wnęka w ścianie. Pozostałość po jakiejś starej konstrukcji meblowej, którą zdemontowali, kiedy tylko się przeprowadzili. Miłosz śmiał się, że to będzie ich tajna skrytka na papiery wartościowe. Po policyjnym przeszukaniu szafka była otwarta, a szkło tylko nieznacznie przesunięte. To mogło oznaczać, że albo szczelina była pusta, albo policjanci jej nie dostrzegli.

Dlaczego wcześniej na to nie wpadła? Weszła w butach i kurtce do kuchni, nerwowo rozsunęła zawartość szafki. Jedna z butelek potrąciła szklankę i ta z łoskotem rozbiła się o podłogę.

– Wszystko okej? – odezwał się Marcin. Jak zawsze pojawił się cicho niczym duch.

Weronika na ułamek sekundy zastygła w bezruchu, po czym dyskretnie zasłoniła szczelinę ceramicznym dzbankiem.

– Chciałam trochę uprzątnąć – odpowiedziała i zaczęła zbierać z podłogi kawałki szkła.

Zdjął rękawiczki, po czym włożył je do tylnej kieszeni spodni.

– W butach i kurtce?

– Najpierw szukałam szklanki, żeby… – zaczęła, szybko jednak urwała. – Chyba nie muszę ci się tłumaczyć.

– Uuu, szefowa dzisiaj dość nerwowa, przepraszam. – Zagwizdał i podniósł ręce w geście kapitulacji. – Nie miałem złych zamiarów.

– Chcesz coś konkretnego?

Twarz mu stężała.

– Przychodzę zapytać co u ciebie, a ty na mnie naskakujesz, jakbyśmy byli dla siebie obcymi ludźmi – rzucił, przysuwając się do niej tak, że poczuła na policzku jego ciepły oddech.

– Jesteśmy dla siebie obcymi ludźmi – odparła stanowczo. – Co więcej, ja jestem twoim pracodawcą i mogę sobie nie życzyć w danym momencie twojego towarzystwa. A teraz odbierz maila, którego wysłałam ci wieczorem, tego z listą zakupów, i jedź do Lubawy, bo mam spore braki w środkach czystości.

Marcin jednak zamiast się odsunąć, owinął pasmo jej włosów wokół palca.

– Jesteśmy sobie bliżsi, niż ci się wydaje – wyszeptał. – Mamy wspólną tajemnicę. Chyba pamiętasz tę dziewczynę z podjazdu? Matka i żona, młodziutka. Gdybym zeznał, że natknąłem się na ciebie, kiedy pochylałaś się nad jej ciałem, mogłabyś mieć kłopoty. No i ta bransoletka. Może tamtego dnia ty miałaś ją na przegubie, a niej twój mąż? Z pewnością są na niej odciski was obojga. – Uśmiechnął się.

Z trudem powstrzymała mdłości.

ROZDZIAŁ 15

W szczelinie znalazła kilkanaście upchniętych ciasno kopert, białych, bez odbiorcy i nadawcy. W każdej z nich była ta sama kartka z numerem telefonu i hasłem: „marakuja". Nic więcej. Niewiele myśląc, wpisała numer do smartfona i czekała na połączenie. W końcu miarowy sygnał ucichł. Po drugiej stronie usłyszała jedynie oddech. Z emocji zaschło jej w gardle.

– Marakuja – powiedziała.

– Mamy prawie komplet. Miejsce i godzina będą w esemesie – odezwał się ktoś po drugiej stronie, po czym się rozłączył.

Zamknęła koperty i włożyła je z powrotem do wąskiej szpary między szafką a ścianą. Po chwili nadeszła wiadomość.

Współrzędne geograficzne, data i godzina. Spotkanie wypadało w najbliższą sobotę o dwudziestej drugiej. Wklepała dane do aplikacji. Środek lasu za Kornatką. W nocy? O co w tym wszystkim chodziło?

Zrzuciła ciężkie ciuchy i natychmiast zapragnęła wziąć długą kąpiel. Nalała sobie kieliszek wina i z uczuciem chwilowej błogości zanurzyła się w ciepłej wodzie. Straciła poczucie czasu

i ocknęła się dopiero, kiedy woda była już lodowata. Włożyła koszulę nocną, weszła do sypialni i zamarła na widok Marcina.

– Buu – wychrypiał, a potem opadł na łóżko.

W pierwszej chwili sparaliżowana strachem nie wiedziała, jak zareagować, ale lęk szybko wyparła wściekłość.

– Jeśli za chwilę stąd nie wyjdziesz, wezwę policję – wyszeptała.

– Ijo, ijo. Komisarz Mioduszewski już jedzie. – Jego brzydka twarz wykrzywiła się w grymasie, uwidaczniając wgłębienia w policzkach.

– Marcin. – Wzięła głęboki oddech. – Nie prowokuj mnie do tego, żebym zrobiła coś, czego będę żałowała. Dobrze się nam współpracuje, świetnie wypełniasz swoje obowiązki, ale ostatnio przekraczasz granice.

Błyskawicznie poderwał się z łóżka i złapał ją za nadgarstek tak mocno, że aż syknęła z bólu.

– Mówisz o przekraczaniu granic komuś, kto swoje granice przekroczył dawno, przelewając krew za jakiś obcy i nic nieznaczący dla niego kraj. Więc uważaj, bo tak naprawdę nie wiesz, co mówisz.

– Jesteś żołnierzem? – domyśliła się. – Służyłeś na misjach?

– Dawno temu. Po maturze kilka lat w Legii Cudzoziemskiej.

Dziwne zachowania, podsłuchiwanie, brak empatii – tak, to miało sens. Przewlekłe PTSD.

– Tym bardziej proszę cię, żebyśmy trzymali się ustalonych reguł. Jako wojskowy doskonale wiesz, jak ważne jest przestrzeganie narzuconych norm.

– Posłuchaj, bo chyba mnie nie zrozumiałaś. Chcę ci pomóc, ale jeśli dalej będziesz odrzucała moją pomoc, będę musiał sięgnąć po bardziej drastyczne metody, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo. No i jest jeszcze ta nasza wspólna tajemnica.

Uśmiechnął się. Przesuszona skóra ust pękła w kąciku i wysączyła się z niego strużka krwi, którą Marcin oblizał.

Popełniła kardynalny błąd. Zaczęła negocjować z szantażystą.

Powiew zimna uderzył ją w twarz, kiedy weszła do niewielkiej kanciapy. Zapięła dżinsową kurtkę i zbliżyła się do mężczyzny pochylonego nad starym szkolnym krzesłem.

– Odmaluje się i będzie jak nowe – mruknął, nie podnosząc głowy znad oparcia, które właśnie przykręcał.

– Panie Mirku, to ja, Weronika. Mogłabym zająć chwilę?

– Wiem przecież, munduru już nie noszę, ale nawyki zostały. Muszę wiedzieć, kto znajduje się w promieniu kilkudziesięciu metrów ode mnie, zanim on zorientuje się, że ja wiem. Taka branża, do końca życia w człowieku siedzi. – Wyprostował się, wycierając ręce w zmechacony polar. – To w czym mogę pomóc? Chyba że woli pani w szkole porozmawiać, tam cieplej.

– Nie, tu jest w porządku. Chciałam pana podpytać o Marcina. Czy policja na początku podejrzewała go o te zabójstwa?

– Oni połowę wsi podejrzewali. Tak to jest, jak się nie ma żadnej linii śledztwa, tylko się improwizuje. – Wytarł nos rękawem. – Szybko go wykluczyli. Miał mocne alibi. A o co chodzi?

– Zaczynam się go bać – szepnęła, rozglądając się niespokojnie, jakby się spodziewała, że ktoś podsłucha tę rozmowę.

Spojrzał na nią z ukosa. Milczał przez chwilę, jakby próbował ocenić, czy i tym razem nie przesadza, ale w końcu odpowiedział:

– Niech pani podpyta w karczmie nad Drwęcą. On tam się często kręci. Podjechałbym z panią, ale za dobrze mnie tam znają, od razu będą plotkować, że znowu węszę. Tylko ostrożnie. Nigdy nie wiadomo, kto w tej układance tak naprawdę jest kim. Lepiej się nie wychylać. – Zamilkł znów i po chwili namysłu dodał: – A pani mąż? Coś nowego wiadomo w jego sprawie?

Potrząsnęła przecząco głową.

– Pamięta pan może pożar szkoły? – zapytała niespodziewanie.

– Ano zapomnieć o tym trudno. Straszna tragedia. Tyle młodych istnień. Ale chyba najgorzej to Janikowie przeżyli. Długo się po tym pozbierać nie mogli, a potem wyjechali. Może to i lepiej.

– Janikowie?

– Iwona Janik, jedynaczka, duma rodziców, przedszkolanka z dyplomem. Spokojna, bez nałogów, bez narzeczonego. I nagle strawił ją ogień. Wszędzie było jej pełno, a później tak nagle zniknęła. Trudno się z czymś takim pogodzić. Tam spłonęły też dzieci, wszystkie z rodzin wielodzietnych. Wie pani, jak to jest, rodzice na głowie gospodarkę mieli, nie było czasu nad złym losem się pochylać, a Janikowie w obsesję popadli. Jedną ją mieli. Upierali się do końca, że to podpalenie, że ktoś celowo to zrobił. Nie było żadnych dowodów, żadnych.

Nogi się pod nią ugięły. A co, jeśli rodzice tej dziewczyny mieli rację? Jeśli podpalenie było celowe, a morderstwa kobiet w jakiś sposób łączą się z tamtą sprawą? I z nią. Instynktownie pogładziła się po policzku. Czy to znamię było wskazówką?

– Ale ta sprawa nie będzie mi ciążyć na powiekach na łożu śmierci – dodał Mirek. – Zrobiliśmy wszystko, co można było. Oni po prostu nie potrafili pogodzić się ze stratą. Co innego sprawa małego Wojtka Cichockiego. – Westchnął ciężko. – Twarz tego dzieciaka będzie mi towarzyszyć przy ostatnim wdechu.

Historia Wojtka naprawdę ją dotknęła. Nie mogła przestać o niej myśleć, dlatego kiedy wróciła do biblioteki, od razu spytała o chłopca Łukasza. Chodzili do jednej szkoły, a zważywszy na to, że mały zginął kilka lat przed pożarem, pewnie się znali.

– Byliśmy w jednej grupie w przedszkolu – odparł zdziwiony jej pytaniem i odłożył na bok karton pełen lektur, które dopiero co

dotarły do szkoły. – Pamiętam, że zawsze przychodził i wychodził sam, zresztą nikogo to nie dziwiło. Miał piątkę rodzeństwa, najmłodsza siostra dopiero co się urodziła. Na wsi większość dzieciaków sama chodziła. No i pewnego dnia nie dotarł. Kilka dni później policja znalazła go w zbiorniku retencyjnym. W siatce okalającej basen, jak go nazywaliśmy, była spora dziura, czasami przeciskaliśmy się przez nią, żeby organizować zawody, kto podejdzie bliżej betonowej krawędzi.

– Wpadł? Czy ktoś go popchnął?

Łukasz wzruszył ramionami.

– Nie wiadomo, ale dla nas to był szok. Nie mogliśmy pojąć, że ktoś był, miał swoje miejsce w szatni z naklejką w muchomorki i czarny worek na kapcie, a później już go nie było. Za to we wsi wszyscy szybko przywykli do tej myśli. Nikt nie zadawał pytań, nie szukał odpowiedzi. Jakby mali chłopcy co dzień topili się w zbiornikach retencyjnych.

Nagle w drzwiach stanął Adam z szerokim uśmiechem.

– Co to za poważne miny? – zagadnął, machając z entuzjazmem jakąś teczką.

– No zbyt wielu powodów do śmiechu to tu ostatnio nie ma – burknął Łukasz.

– A zdziwiłbyś się. Wysłałem scenariusz waszego spotkania z dzieciakami na konkurs z programu kreatywna szkoła i wygraliście. Za tydzień w piątek widzę was w Olsztynie na uroczystej gali.

Weronika próbowała skupić się na paplaninie chłopaków na temat jakiegoś absurdalnego konkursu organizowanego przez kuratorium, ale jej myśli niespodziewanie powędrowały do hasła „marakuja” zamkniętego w kopercie, a później do Miłosza. Miała już plany na najbliższy weekend, jednak najpierw musiała załatwić jeszcze jedną sprawę.

– Mogę dzisiaj wyjść wcześniej? Najlepiej już. Mam coś pilnego.

Adam spoważniał i posłał jej zaniepokojone spojrzenie.

– Teraz? To nie może poczekać do wieczora?

– Zdecydowanie nie, zgarnę tylko rzeczy z sekretariatu – odparła stanowczo i nie czekając na odpowiedź, wyszła.

Złapał ją przy drzwiach wejściowych.

– Weronika, co się dzieje?

– Muszę coś sprawdzić, nie martw się. Wpadnij do mnie wieczorem.

– Może pojadę z tobą? – Chwycił ją za rękę.

– Nie.

Odpowiedziała nieco za głośno, ściągając spojrzenia kręcących się po korytarzu sprzątaczek.

– Uważaj na siebie! – krzyknął za nią, ale już tego nie dosłyszała.

Rozmowa z Mirkiem o pożarze rozpaliła w niej przekonanie, że tamta tragedia sprzed lat w jakiś sposób łączy się z ich przyjazdem do Szumów.

Karczma nad Drwęcą była dużym i zaniedbanym budynkiem wyrastającym niespodziewanie z okalających drogę chaszczy. Weronika niepewnie weszła do środka.

– Słucham? – Młoda recepcjonistka z wysuniętą szczęką spojrzała na nią podejrzliwie.

– Szukam kogoś – oznajmiła na wdechu.

– U nas? To nie biuro osób znalezionych.

Z trudem ugryzła się w język i wyciągnęła z kieszeni telefon. Zamiast zgodnie z planem zapytać o Marcina, pokazała dziewczynie zdjęcie Miłosza.

– Mój mąż zginął kilka tygodni temu. Chciałabym ustalić pewne fakty, żeby móc pozamykać jego sprawy. Może pani go kojarzy?

– Mamy sporo gości – odparła recepcjonistka, jednak po jej minie widać było, że rozpoznała Miłosza.

Weronika nie odpuszczała. Patrzyła na nią wyczekująco, aż ta w końcu się poddała.

– Czasem robimy zamknięte imprezy integracyjne dla firm z różnych części Polski. Pani mąż bywał na niektórych – przyznała. – To tyle.

– A ten? – Przesunęła palcem po ekranie i pokazała jej zdjęcie Marcina.

Dziewczyna posłała jej rozbawione spojrzenie.

– Przecież to Marcin, wszyscy go znają w promieniu stu kilometrów. Handluje papierosami zza wschodniej granicy. I nie tylko. – Skrzywiła się. – Jak goście popiją na imprezie i domagają się, żeby ściągnąć kogoś, kto zapewni dodatkowe atrakcje, dzwoni się po niego. On zawsze ma coś w zanadrzu.

Narkotyki? – przemknęło Weronice przez myśl.

– Bywali na tych samych imprezach z moim mężem?

– Tak. Chyba nawet kilka sami organizowali. Ale pani męża z pół roku już tu u nas nie było.

Podziękowała jej za informacje i wetknęła pomiędzy broszury dwustuzłotowy banknot.

Na zewnątrz uderzył ją powiew wilgotnego powietrza. Zaczęła się odwilż. Wielkie bloki śniegu łuszczyły się w zacienionych miejscach między drzewami. Weronika oparła się o auto i zapatrzyła w niebo. Szare chmury płynęły coraz szybciej. Nie potrafiłaby powiedzieć, co takiego spodziewała się tu usłyszeć, ale na pewno coś więcej. Rozczarowanie miało gorzki smak.

– Papierosa?

Obok przystanęła dziewczyna z kolczykiem w nosie i tatuażem w kształcie kolczastego krzewu na szyi. Głębokie zmarszczki

mimiczne wskazywały, że była przynajmniej kilka lat starsza od niej.

– Nie, dzięki – odparła. – Mam swoje.

– Szukasz pracy? Jak chcesz, to zagadam z ojcem.

– Nie, szukam informacji. O moim zmarłym mężu. – Pokazała jej zdjęcie w telefonie.

Dziewczyna przez chwilę wpatrywała się w ekran, po czym odpaliła papierosa.

– Swego czasu lubił tu zabalować. Zawsze dawał dobre napiwki – powiedziała, po czym spojrzała na nią z ukosa. – A właściwie dlaczego szukasz informacji o własnym mężu? Zdradzał cię?

– Sama nie wiem. Coś ukrywał i próbuję dojść do tego, co to było.

Nieznajoma pokiwała głową. Chyba współczuła Weronice, bo zaczęła opowiadać:

– To było takie dziwne towarzystwo pod krawatem. Chyba coś kombinowali z polowaniami. Jakieś koło łowieckie, co się nie stosuje do harmonogramów odstrzału Lasów Państwowych czy coś takiego. Nie wiem, o co dokładnie chodziło, ale jak już ostro dali w palnik, to prowadzili głośne rozmowy. I w środku, i na zewnątrz. Czasami stali tu jeszcze godzinę albo dwie po skończeniu imprezy i się przekrzykiwali. Zapadła mi w pamięć jedna jego rozmowa z jakimś naprutym gościem o tym, jak strzelać, żeby zwierzyna padła po pierwszym naciśnięciu spustu. Ten drugi mówił, że woli się pobawić i oddać kilka strzałów, zanim zabije. – Skrzywiła się z niesmakiem. – Jestem na to wyczulona, pewnie dlatego zapamiętałam. Wiesz, filozofia wege i te sprawy. Jedyna w mięsożernej rodzinie. – Uśmiechnęła się lekko.

– Pamiętasz coś jeszcze?

Kolczyk w skrzydełku nosa lśnił, odbijając promienie słoneczne. Zmarszczyła czoło.

– Chyba kiedyś kłócili się o tłumiki czy coś takiego. Który lepszy, bo adaptery solidniejsze, jakoś tak to leciało. Z kontekstu wynikało, że to, co robią, jest nie do końca legalne, ale nie wnikałam. Tu ciągle jakiś burdel się odstawia, więc przywykłam. No bo kto normalny zatrzymuje się w takiej budzie? Tylko ci, co chcą coś ukryć, ale ojcu to chyba odpowiada. Łatwy hajs bez inwestycji.

Marcin twierdził, że Miłosz zarabiał na nielegalnej prostytucji. Dziewczyna mówiła coś o strzelaniu. To nie miało sensu. Jej mąż należał przez chwilę do kółka łowieckiego, tam poznał Szymona, ale przecież dobrze wiedziała, że nie chodziło o żadne pieprzone polowania, tylko o to, by mieć pretekst do wyjazdu na mocno zakrapianą imprezę. Później firma się rozkręciła, Miłosz co chwilę wyjeżdżał w interesach. A teraz okazało się, że jego biznes był fikcją. Tak jak ich całe życie.

– A tego kojarzysz? – Pokazała jej zdjęcie Marcina.

Dziewczyna pobladła.

– Ten to jest dopiero pojeb jakich mało – powiedziała z obrzydzeniem i pstryknęła petem, który z cichym pyknięciem poleciał w stronę oblepionych błotem traw.

Wcześniej

Starsza kobieta nerwowo poprawiła zaczesane gładko siwe włosy. Piąty raz w ciągu ostatniej minuty.

– Proszę odpowiedzieć. – W głosie sędziny zabrzmiało zniecierpliwienie.

– Przechodziłam akurat tym mostem, bo lekarz mi zalecił spacery na mój artretyzm, no to spaceruję sobie tak nie za daleko.

– Dlaczego pani zwróciła uwagę na oskarżoną?

Adwokatka postukała czerwonymi paznokciami w blat.

Kobieta wzięła głęboki oddech i odparła cicho:

– Ta mała dziewczynka moją wnuczkę przypominała. To sobie popatrzyłam. A ta pani – wskazała podbródkiem na Weronikę – tak ładnie z nią rozmawiała. Myślałam, że to jej mama. Za ręce się trzymały, z taką czułością. Mała podskakiwała i śpiewała piosenkę o zoo, no taką dla dzieci, wnuczka też jej słucha.

– Co śpiewała?

– Idziemy do zoo. Tak powtarzała.

Weronika wiedziała, że w słowach kobiety nie ma ziarna prawdy, ale nawet się nie poruszyła. Jej mecenaska uśmiechnęła się triumfalnie.

Teraz

Jechała szybko, przetwarzając w głowie zdania, które przed chwilą usłyszała.

To rasowy zboczeniec, zawsze sobie jakąś dziewczynę wypatrzył, a później nie dawał jej żyć. Kilka praktykantek nawet przez niego od nas odeszło. Ojciec ich za bardzo nie żałował, tylko brał dotacje na kolejne. Przecież to biznes. Tylko Agnieszce z recepcji jego zainteresowanie się spodobało. Chyba na niego leciała. Ale jak zaczęła reagować na jego zaczepki, to szybko ją olał. Do mnie też podbijał. Obleśny zbok.

Po wszystkim, co przeszła, niewielu rzeczy w życiu się bała, jednak w zachowaniu Marcina było coś, co od początku wywoływało u niej uczucie dyskomfortu. Starała się zdusić

w sobie tę niechęć, uspokajana przez Miłosza uznała, że może naprawdę przesadza, ale teraz w końcu miała dowód. Tak, to musiał być zespół stresu pourazowego, nazywany też niezbyt fachowo stresem bojowym. Zamknięte w głowie szufladki z wiedzą zdobytą na studiach otwierały się powoli. *Stres doprowadza do zaburzeń w przekaźnictwie neuronalnym, redukcji liczby komórek OUN, a także do osłabienia procesów neurogenezy. Zmiana osobowości na skutek doświadczenia katastrofy, zaburzenia dysocjacyjne*. Do czego Marcin tak naprawdę był zdolny? I jaki był jego udział w morderstwach kobiet? Może celowo kierował uwagę na Miłosza, żeby w jego cieniu zaspokajać chore żądze?

Kiedy zaparkowała przed domem, odetchnęła z ulgą na widok ciemnych okien. Pewnie już skończył pracę, nie będzie musiała znowu się z nim spotkać. Weszła szybko do środka i wyłączyła system alarmowy. Nie chciała, żeby Marcin mógł podglądać ją przez kamerę. Miłosz zganiłby ją za tę decyzję. On zawsze pilnował, by zabezpieczenia antywłamaniowe działały, ale przecież już go nie było. Jedyne, co jej po nim zostało, to kłamstwa i tajemnice.

ROZDZIAŁ 16

Przylgnęła do ciepłego ciała Adama. Gdy tylko wszedł do domu, wymienili zaledwie kilka słów, a potem przywarli do siebie jak wygłodniałe zwierzęta. Potrzebowała tego, bliskości i poczucia bezpieczeństwa też, ale przede wszystkim zapomnienia o całym świecie, który zostawiła za drzwiami sypialni.

– Niespokojnie spałaś. – Świdrował ją spojrzeniem następnego ranka, nalewając kawę.

– Ostatnio mam gorszy czas. Ale przejdzie, zawsze w końcu przechodzi. – Spojrzała na zegarek. Dochodziła ósma. – Cholera, spóźnimy się.

– Ty się spóźnisz. Ja dzisiaj jadę do kuratorium. Mam spotkanie o jedenastej.

– No to mam przechlapane – uśmiechnęła się. – Ten mój dyrektor to okropny gbur.

– Słyszałem, że straszny z niego służbista.

– Przyjedziesz wieczorem? – spoważniała. Bardzo nie chciała być sama w nocy.

– Jasne. Do weekendu jestem dyspozycyjny. Potem wyjeżdżam. Starszak ma urodziny, więc sama rozumiesz. Moja żona na pewno

liczy na to, że nie przyjadę, ale nie zrobię jej tej przyjemności.

Podświadomie liczyła na to, że Adam pojedzie z nią na tajemnicze spotkanie pod hasłem „marakuja". Po tych wszystkich rewelacjach, które wczoraj usłyszała, coraz bardziej niepokoiła się tym, co zastanie w lesie.

– Hej, nie rób takiej miny – powiedział, zakładając jej kosmyk włosów za ucho. – W niedzielę po południu wracam, więc możemy umówić się na kolację.

– W sumie ja też wyjeżdżam. I nie wiem, kiedy wrócę.

Czy w ogóle wrócę – dodała w myślach i przeszedł ją dreszcz.

Im bardziej próbowała spowolnić czas, tym szybciej galopował. W ciągu dnia katalogowała książki z Łukaszem i segregowała dokumenty, a wieczorami przylegała tak zachłannie do Adama, jakby każdy seks miał być ich ostatnim. Marcin nie wchodził jej w drogę. Kręcił się po obejściu, przygotowując gospodarstwo do sezonu. W piątkowy poranek jeszcze raz gorączkowo przejrzała rzeczy Miłosza, szukając wskazówki, która łączyłaby się w jakikolwiek sposób z tajemniczymi kopertami. Bezskutecznie. Poczuła się tak samotna, że z żalu aż zabrakło jej tchu. Do tej pory wszystkie, nawet te najmroczniejsze dni, dzieliła z mężem, który wyciągał ją z bezkresnej czarnej otchłani. Teraz była sama i toczyła walkę z nieznanym przeciwnikiem. A może znanym? Ostatnia myśl spowodowała bolesny skurcz żołądka.

W bibliotece panował rozgardiasz. Dzieciaki zamiast rysować w ciszy, śmiały się piskliwie i rzucały w siebie zmiętymi w kulki kartkami. Łukasz czuwający w zastępstwie nad rozbrykaną grupą co jakiś czas mruczał ledwo słyszalne „ciii", co doprowadzało Weronikę do szału. Razem z hałasem wracały wspomnienia. Próbowała się od nich odciąć, ale była zbyt

rozdrażniona i zestresowana czekającym ją spotkaniem, więc w końcu nie wytrzymała. Cisnęła książką o blat.

– Cisza!

Łukasz spojrzał na nią zaskoczony. Dziecięce krzyki na chwilę przeszły w szmer tylko po to, by po kilku sekundach wybuchnąć ze zdwojoną siłą.

– Jak się nie uspokoicie, to inaczej porozmawiamy – rzuciła ostro.

– To tylko dzieci, odpuść im – obruszył się Łukasz.

– Powinny przestrzegać zasad. To biblioteka, nie przedszkole.

Zamknęła oczy. Po co to powiedziała? Sama zrywała strup, pod którym wciąż była krwawiąca tkanka.

– Mam jeszcze jeden papier do wysłania przed weekendem w sekretariacie – mruknęła, podnosząc się z krzesła. Musiała stąd jak najszybciej wyjść, bo inaczej zwariuje od natłoku obrazów z przeszłości.

Wcześniej

Silnik wył miarowo, kiedy Miłosz coraz mocniej dociskał pedał gazu. W dach bębniły grube krople, wycieraczki nie nadążały z odgarnianiem strug wody. Z głośników płynął miękki głos Adele.

– Nareszcie mamy to za sobą – powiedział Miłosz.

Prychnęła.

– Niby co? Te zawiasy nie wskrzeszą nam synka.

– Oczywiście, że nie, ale przynajmniej nie pójdziesz siedzieć. To też by mu życia nie wróciło.

– Skąd wziąłeś te bilety do zoo, które dołączyliście jako dowody?

Wzruszył ramionami.

Pędzili obwodnicą, wymijając kolejne samochody.

– Tę staruszkę też przekupiłeś?

Oderwał na chwilę wzrok od szyby i spojrzał na nią.

– Wera, jakie to ma znaczenie? Najważniejsze, że będziemy razem. Wyjedziemy stąd i zaczniemy od nowa. – Położył prawą rękę na jej udzie.

– Miałam nadzieję, że dzięki temu procesowi wszyscy się dowiedzą, że ta pseudodoktorka zabiła naszego synka. Że ona już nigdy nie skrzywdzi innego dziecka.

– Zamieszanie na pewno zrobiło jej trochę złej prasy. Może było więcej takich zaniedbań i ludzie zaczną się zgłaszać. Ale nas to już nie dotyczy.

Nie odpowiedziała. Odwróciła głowę i wpatrywała się w rozmazany krajobraz za oknem. Świat tonął w deszczu.

– Niepotrzebnie się w to mieszałeś – odezwała się po długiej chwili ciszy. – Powinnam była ponieść karę, skoro chcę wierzyć w sprawiedliwość wszechświata.

– Przestań.

– Kochańskiej nawet nie zawiesili w obowiązkach. Jakby życie mojego synka i siostry było tylko szpitalną statystyką. Jakby ich śmierć nie była prawdziwa. Chciałam, żeby zobaczyła, jak to jest. Żeby straciła kogoś, kogo kocha najbardziej na świecie.

– Wera, to już za nami. Na szczęście tej małej nic się nie stało. Nie ma sensu myśleć o tym, co naprawdę zamierzałaś. – Wpatrywał się w przednią szybę i mówił tak, jakby recytował wyuczoną rolę. – Sąd uwierzył, że chodziło wyłącznie o spełnienie jej urodzinowego marzenia, które matka olała. Zabrałaś ją do zoo, by zrekompensować brak rodzicielskiej atencji. Przelałaś na nią uczucia po stracie siostrzeńca. Uważałaś, że matka i babka krzywdzą ją tak, jak w twojej opinii skrzywdzili twoją siostrę. Przeniosłaś to w pokrętny sposób, żeby oswoić traumę. Biegli psychiatrzy to potwierdzili. I tego się trzymamy.

Weronika prychnęła, po czym zapytała kąśliwie:

– Za darmo?

Udał, że nie dosłyszał jej zaczepki.

– Każdy ma jakieś tajemnice. Czasami tak mroczne, że nawet sami przed sobą je ukrywamy, więc nie zadręczaj się tym. Jesteśmy tylko ludźmi, popełniamy błędy, ale musimy żyć dalej. Bo my jeszcze żyjemy, pamiętasz o tym?

Pamiętała, choć akurat o tym wolałaby zapomnieć. Może uda jej się to w końcu w tym domu na odludziu, który odziedziczył Miłosz. Może tam nie dosięgnie jej ta wypalająca duszę tęsknota.

Teraz

Postanowiła, że wyruszy w nocy i najpierw pojedzie do Krakowa, dzięki czemu zyska dodatkowy dzień na to, żeby poszukać tropu łączącego jej męża z hasłem „marakuja". Chciała jeszcze raz rozejrzeć się w ich starym mieszkaniu. Skoro Miłosz zatrzymywał się tam podczas samotnych wyjazdów, musiał zostawić jakiś ślad, który przeoczyła. Planowała też porozmawiać z Edytą, która przecież widziała jej męża w Olsztynie w czasie, kiedy rzekomo załatwiał interesy na południu. Miała nadzieję, że koleżanka zapamiętała z tamtego przelotnego spotkania cokolwiek. Potrzebowała każdej, nawet nie do końca wiarygodnej wskazówki, zanim pojedzie do Kornatki w środku nocy.

Spakowała najpotrzebniejsze rzeczy i ze ściśniętym ze stresu gardłem zeszła na dół, a potem szybkim krokiem skierowała się do kanciapy Marcina. Musiała zostawić mu klucze, bo ostatnim razem zmusiła go, by oddał jej swój komplet. Uderzające prosto w twarz lodowate podmuchy przenikały ją na wskroś. Termometr wskazywał sześć stopni powyżej zera, ale wydawało się, że jest

znacznie zimniej. Dochodziła dziewiętnasta. Zapukała w stare drewniane drzwi, ale odpowiedziała jej cisza przerywana wyciem wiatru. Jeszcze raz. To samo. Obejrzała się nerwowo. W mglistej poświacie gwiazd majaczył zarys skody Marcina. Musiał gdzieś tu się kręcić. Po kilku minutach stania na chłodzie zrezygnowana nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły.

Niewielkie pomieszczenie wyglądało, jakby przetoczył się przez nie huragan. Wszędzie walały się żyłki na ryby, śrubokręty, śrubki i inne szpargały. Niepewnie weszła do środka, starając się niczego nie nadepnąć. W głębi, na blacie biurka, dostrzegła trzy zdjęcia leżące w równych odstępach. Kiedy im się przyjrzała, zamarła z przerażenia. Na każdym z nich pozowali mężczyźni w ciemnozielonych strojach, oparci o długie strzelby. Stali uśmiechnięci, zadowoleni, jak myśliwi na pamiątkowym zdjęciu z upolowaną zwierzyną. Tylko że na leśnej ściółce zamiast saren z przestrzelonymi czaszkami leżały młode kobiety w kusych sukienkach. Martwe.

Weronice trzęsły się ręce, kiedy wyjmowała z kieszeni telefon i wybierała numer Grasickiego. Odebrał po jednym sygnale.

– Potrzebuję pomocy – wychrypiała. – Mógłby pan przyjechać? Do mnie, to znaczy do gospodarstwa na Lawendowym Wzgórzu.

– Będę za pół godziny – powiedział, po czym się rozłączył.

Chciała wierzyć, że ma tyle czasu. Z tyłu głowy czaiła się myśl, że Marcin może w każdej chwili wrócić. Podbiegła do drzwi i drżącą ręką zamknęła je na zamek, ale dobrze wiedziała, że wystarczyłoby je kopnąć, by dostać się do środka. Dziwne, dotąd była przekonana, że śmierć będzie wybawieniem, ale teraz w jej ciele nagle uruchomił się instynkt przetrwania.

Po dwudziestu minutach usłyszała warkot zbliżającego się silnika. Ostrożnie wyjrzała przez okno. Grasicki. I nigdzie ani śladu Marcina. Wpuściła Mirka do środka i pokazała mu zdjęcia.

– Skurwiele – syknął.

– To on? To wszystko Marcin?

– Jeśli pytasz mnie, czy on jest zabójcą, to nie wiem. A jeśli chodzi o te dziewczyny – wskazał podbródkiem w stronę makabrycznych fotografii – to miał w tym swój udział. Podobnie jak twój mąż. – Odwrócił się twarzą do niej. – Mieliśmy ich na oku już jakiś czas.

– My?

– Ja i stary znajomy, jeszcze ze szkoły policyjnej. Teraz robi w Wieliczce, bo między służbami pomaga przy wnuczku. Kilka miesięcy przed emeryturą poprosiłem go, żeby trochę powęszył wokół ludzi, którzy organizowali dziwne spędy w naszej karczmie. Miał trochę większe pierdolnięcie, więc więcej wiedział i więcej mógł. Okazało się, że te spotkania łączą się z grupą strzelców. Tak ich nazywają u nas w środowisku. Policja czaiła się na nich już kilka dobrych lat, nawet kogoś posadzili, ale ciągle ukręcali łeb tej sprawie. Strzelcy mieli mocne plecy, kogoś z samej góry. Po tym jak prześwietliliśmy twojego męża, doszliśmy do źródła.

– Miłosz? – spytała cicho. – To pewne?

Pokiwał głową.

– Wszystko na to wskazuje. Ale spokojnie, nie ujawnimy tego, dopóki te partaki nie rozwikłają zagadki tych ostatnich zabójstw. Nasz komendant chętnie powiązałby te dwie sprawy, ale one nie mają ze sobą nic wspólnego. Teraz musimy przede wszystkim namierzyć Marcina.

Zerknęła nerwowo w ciemne okno. A co, jeśli przez ten cały czas był tu z nimi? Przecież on zawsze czaił się za plecami. Zapragnęła jak najszybciej wyjść z tej kanciapy.

– Napije się pan kawy?

Grasicki najpierw się obruszył, że wciąż mówi do niego per „pan”, a on ją traktuje jak własną córkę, a potem przyjął

propozycję. On nigdy nie odmawiał kawy.

W domu było znacznie cieplej niż u Marcina, a mimo to jej ciałem wstrząsały dreszcze. Usiedli w kuchni.

– Dlaczego mordowali te kobiety? – spytała, nastawiając ekspres.

– Dla zysku. Takie nielegalne polowania na ludzi to raj dla dewiantów z grubymi portfelami. Byli w stanie zapłacić każdą cenę, więc biznes się kręcił. Właściwie wciąż się kręci. Sporo osób jest w to umoczonych. Mają wtyki w kołach łowieckich, żeby łatwo omijać szlaki myśliwych, informatorów wśród policjantów i urzędników.

Chciała jeszcze o coś zapytać, ale nie wiedziała, od czego zacząć. Grasicki podniósł się z krzesła i zaczął niespokojnie krążyć po kuchni, jakby coś go uwierało.

– Karczma nad Drwęcą i spotkania tam organizowane to był mój tajny projekt przed emeryturą. Taki, na który w tej robocie czeka się całe życie, tyle że musiałem odejść przed rozwiązaniem sprawy – skrzywił się – a nowa władza na komendzie miała to w dupie. Ale wciąż w tym grzebałem. Odkąd się tu sprowadziliście, miałem was na oku, zacząłem szukać powiązań. Uruchomiłem trochę znajomości. Podczas jednego z weekendowych wyjazdów twój mąż sam nas zaprowadził do celu, a dokładniej mojego znajomego z Wieliczki, który go obserwował. Działali w całym kraju, ale ich główną bazą były okolice Kornatki, niedaleko Krakowa. Dziewicze tereny, przekupna władza, która zapewne była przekonana, że chodzi o jakiś nielegalny odstrzał zwierzyny dla zabawy. I jakoś szło.

– Tych kobiet naprawdę nikt nie szukał?

Prychnął.

– Odkupowali tak zwane odpady od alfonsów, czyli takie, które już w burdelu kariery nie zrobią, albo brali, jak to mówią teraz

młodzi, freelancerki. Czasem brali jedną, a na specjalne okazje nawet kilka. Nikt nie zauważał, że zapadały się pod ziemię, a jak już ktoś szukał, to nie tam, gdzie powinien.

Pokręciła głową. To niemożliwe. Miłosz miał swoje tajemnice, dzięki nim potrafił zrozumieć jej mroczną stronę, ale na pewno nie prowadził kobiet na rzeź. Tylko jakim cudem na zagranicznych kontach zgromadził te niewyobrażalne dla niej kwoty? Kilka dni wcześniej analizowała firmowe dokumenty. Oficjalnie działalność przynosiła same straty, a księgowy, by odwrócić uwagę urzędu skarbowego od kolejnych zakupów nieruchomości, prowadził kreatywne wyliczenia, bazując na firmowych kredytach. Jej mąż był oszustem, ale żeby zajmował się urządzaniem polowań na kobiety dla korzyści majątkowych? To było dla niej niewyobrażalne, chociaż ona też oszukiwała. Tylko z zupełnie innego powodu.

– Posłuchaj… – zaczęła, zanim zdążyła się zastanowić, czy dobrze robi, ale nagle uświadomiła sobie, że musi w końcu uwolnić się od tajemnicy, która ciążyła jej od pewnego czasu. Od tajemnicy i od Marcina. – Ta zaginiona nauczycielka z sąsiedniej wsi…

Spojrzał na nią pytająco.

– Ona… leżała na naszym podjeździe – dokończyła, wstrzymując oddech.

Mirek odstawił gwałtownie kubek. Kilka czarnych kropli rozbryzgnęło się na białym blacie.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– Znalazłam ją martwą któregoś poranka. Miłosza wtedy nie było. Marcin schował ciało.

– Pozwoliłaś mu je ukryć? – W jego głosie było niedowierzanie, ale i coś, co ją uwierało: potępienie.

Obwiniał ją. Zupełnie niesłusznie. Przecież nie miała wpływu na jej śmierć, chciała jedynie uniknąć kłopotów. A może tylko się usprawiedliwiała przed sobą, uciszając własne sumienie? Może była tak samo winna jak ten, kto zabił. Była winna tak jak wtedy. Od tej myśli nie było już ucieczki.

– Przez kilka dni po wypadku twojego męża widywałem Marcina na skuterze. – Usłyszała po długiej chwili ciszy i nie od razu zrozumiała, o co chodzi Grasickiemu. – Jego samochód stał wtedy w warsztacie w Fijewie za Lubawą. Uszkodzony przedni zderzak i reflektory. Mechanik usuwał ślady czarnego lakieru, które zostały we wgnieceniach blachy.

Wstrzymała oddech. Miłosz jeździł czarną beemką. Tą samą, w której zginął.

– To jasne: Marcin zabił twojego męża. Do tej pory myślałem, że chodziło o konflikt w interesach, ale najwyraźniej potrzebował kozła ofiarnego, żeby wrobić go w te zbrodnie. – Mirek znów zaczął krążyć po kuchni. – To tłumaczyłoby, dlaczego zabił też Kujawową. Faza uśpienia minęła, a napięcie zaczęło wzrastać, musiał dać upust nagromadzonym emocjom, ale myślał jeszcze na tyle zdroworozsądkowo, że wybrał ofiarę spoza schematu. Tym samym uwiarygodnił winę Kornackiego za poprzednie zbrodnie. – Zatrzymał się w pół kroku. – Gdzie są nagrania z monitoringu?

– W komputerze Marcina. Ale wtedy na podjeździe nic się nie nagrało. Chociaż… – zawahała się. Dopiero, kiedy to powiedziała, zrozumiała, jak naiwnie zabrzmiały te słowa. Zatrzymała wzrok na swoim laptopie. – Przynajmniej on tak twierdził – dodała niepewnie.

Grasicki westchnął ciężko.

– Sam tego nie ogarnę – mruknął, wyjął telefon i wybrał jakiś numer. – Potrzebuję cię tu na miejscu – rzucił. – Kiedy możesz być? – Najwyraźniej nie takiej odpowiedzi się spodziewał, bo

zaklął i dodał szybko: – Dobra, w takim razie ja przyjadę do ciebie. Zaraz ruszam. Zadzwonię z trasy. – Schował telefon i dopił zimną kawę z kubka. – Muszę jechać do Wieliczki – powiedział. – Trzeba sprawdzić, co jest na tym nagraniu. Zbyszek znacznie lepiej ogarnia elektronikę niż ja. Musi zobaczyć laptopa Marcina. Pójdę po niego do kanciapy i zabieram ze sobą. Ale ty nie możesz być bez ochrony. Podeślę zaraz kolegę z patrolu. Grzesiek to poczciwy chłopak, jako jeden z nielicznych, którzy zostali w tutejszej służbie. Nie sądzę, żeby wasz cieć wrócił, ale ostrożności nigdy dość.

– Nie trzeba, mam alarm i monitoring połączony z firmą ochroniarską.

Mirek prychnął.

– Ten sam monitoring, który obsługiwał Marcin? Błagam cię. Nie dotykaj go nawet.

Wiedziała, że miał rację, ale musiała obejrzeć te nagrania sama, bez Mirka. Tylko jak to zrobi, skoro on zaraz zabierze sprzęt Marcina… I wtedy nagle uprzytomniła sobie, że w telefonie ma przecież zdjęcie adresu serwera firmy ochroniarskiej wraz z loginem i hasłem. Miłosz podesłał jej tuż po tym, jak się przeprowadzili. Na wszelki wypadek – powiedział – gdyby akurat nie było w domu ani mnie, ani Marcina. Nigdy tam nie zaglądała, nie było takiej potrzeby, ale teraz…

Gdy Mirek wyszedł, usiadła w salonie i zaczęła gorączkowo przeglądać galerię zdjęć. Jest! Otworzyła laptopa, wpisała adres, zalogowała się. Po kilku minutach, które wydawały się wiecznością, odnalazła folder z 8 grudnia. Po chwili wahania włączyła nagranie. Nieruchomy obraz podjazdu. Przesunęła suwak. Dwie godziny później to samo. Przewinęła czas do kolejnej nocy. Poza kręcącą się w pobliżu kamery rudą suczką nie

dostrzegła w kadrze niczego zaskakującego. Marcin mówił prawdę. Ktoś, kto podrzucił ciało tamtej kobiety, zrobił to tak umiejętnie, że nie dał się nagrać. Nagle obok krzewu rokitnika zauważyła jakąś smugę. Najpierw pomyślała, że to wiatr, ale pozostałe rośliny zastygły w bezruchu. Zatrzymała nagranie i zbliżyła obraz. Pomiędzy podłużnymi listkami dostrzegła plamę. Wyostrzyła kadr i drgnęła gwałtownie. Piksele ułożyły się w kształt dobrze znanej jej twarzy poprzecinanej bliznami. To Marcin podrzucił ciało na podjazd.

– Cześć. – Usłyszała za plecami znajomy głos.

Wzięła głęboki wdech i odwróciła się powoli. W półmroku przedpokoju ujrzała znajomą sylwetkę. Spojrzała prosto w błyszczące oczy i napotkała dzikie spojrzenie zwierzęcia, które przygotowuje się do ataku.

– Oddaję – powiedział, wszedł do salonu i rzucił klucze na stół.

Ten głos nie należał do Marcina.

ROZDZIAŁ 17

Wcześniej

Samochód sunął drogą przez las. Zieleń dosłownie wlewała się przez okna. Żołądek podszedł jej do gardła, kiedy podjeżdżali na strome wzniesienie.

– Za pięć minut powinniśmy być na miejscu. – Miłosz zerknął na leżącego na kolanach iPhone'a.

Weronika uchyliła szybę i odetchnęła ciepłym powietrzem przesiąkniętym zapachem igliwia. Kiedy dojechali do Szumów, jej zachwyt nieco zelżał. Stare, zaniedbane domki powtykane wzdłuż podziurawionego jak szwajcarski ser asfaltu robiły przygnębiające wrażenie. Wieś była pogrążona w bezruchu. Kobiety w kolorowych fartuchach wisiały na obdrapanych płotach przed domami, jakby kogoś wyczekiwały.

Zatrzymali się przed kwadratowym budynkiem, przypominającym garaż. Pod umazaną koślawym graffiti ścianą dwóch mężczyzn piło piwo z prześwietlonych słońcem brązowych butelek. Weronika czuła na sobie ich oblepiające spojrzenia.

– Idę po fajki i jakiegoś energetyka. Chcesz coś? – zapytał Miłosz, wyjmując z przegródki pod deską rozdzielczą portfel.

– Nie – mruknęła, przekonując siebie w myślach, że to będzie dobre miejsce do tego, by zacząć od początku.

Słońce grzało przez przednią szybę. Promienie załamywały się na zmiętej sukience w drobne brązowe trójkąty. Było duszno mimo uchylonych drzwi. Miała wrażenie, że przelewające się przez szybę świetliste smugi zamieniły się w rozżarzone pręty, które ktoś przykłada jej do ciała. Potrzebowała tlenu i czegoś zimnego, co schłodzi przełyk. Oddychając ciężko, wysiadła z auta. Obraz przed oczami przysłoniły czarne plamy, które centymetr po centymetrze odbierały jej wzrok. Na oślep ruszyła przed siebie, zostawiając otwarty samochód. Kiedy pchnęła ciężkie, obite dermą drzwi sklepu, przyjemny powiew chłodnego powietrza przyniósł ulgę. Miłosz stał przy kasie i właśnie płacił za zakupy. Przecisnęła się pomiędzy drewnianymi skrzynkami, potrącając jakiegoś faceta.

– Przepraszam – bąknęła, nawet nie podnosząc wzroku.

On za to odprowadził ją spojrzeniem do samej lady. Był jak w transie. Do momentu, gdy wyszła ze sklepu z butelką wody mineralnej, nie oderwał od niej wzroku.

– A pan coś kupuje? – niecierpliwiła się ekspedientka.

Nie odpowiedział, tylko wyszedł pośpiesznie. Z niewielkiego podjazdu pod sklepem ruszało właśnie czarne bmw.

– KR01224 – wymruczał, a później zapisał w telefonie numer z tablicy rejestracyjnej odjeżdżającego auta.

Teraz

– Spokojnie – odezwał się, wykrzywiając twarz w dziwnym grymasie, ni to uśmiechu, ni to odrazy. Podszedł do Weroniki i pogładził znamię na jej policzku.

Wzdrygnęła się.

– To ty – syknęła oskarżycielsko.

Chciała pokazać, że się nie boi. Strach uleciał z niej z chwilą, gdy go zobaczyła. Najbardziej przerażało ją to, co nieznane. Teraz nareszcie miała odpowiedź na swoje pytanie. Potrzebowała tylko więcej danych, by zrozumieć. Później była gotowa na śmierć.

Zdjął kurtkę i niedbale rzucił ją na sofę.

– Chodźmy do kuchni, wstawisz wodę. Napiłbym się herbaty, bo trochę zmarzłem. – Zaczął rozcierać sobie dłonie. – I dorzuć plaster cytryny, jak masz.

Wstała jak automat i ruszyła do kuchni.

Poszedł za nią. Szum gotującej się wody wypełnił ciszę, jaka zapanowała w domu. Weronika czuła na sobie jego spojrzenie, kiedy sięgała po kubek i zalewała wrzątkiem torebkę z herbacianym suszem.

– Jestem na liście? – spytała cicho.

– Jak by ci to powiedzieć… Tuż przede mną. – Uśmiechnął się szeroko. – Weronika Kornecka. Ładna blondynka od HR z psychologicznym wykształceniem pnąca się po szczeblach kariery. Elegancka, pewnie zabawna. Po starych zdjęciach z firmowego LinkedIna trudno to było stwierdzić, ale ludzie z korporacji zawsze pozują na dowcipnych – parsknął. – A może oddana pani psycholog, czuwająca nad właściwym rozwojem emocjonalnym maluchów? Troskliwa przedszkolanka? Bezwzględna porywaczka? Która wersja jest prawdziwa? Wszystkie?

Do czego zmierzał?

– Czego chcesz?

Zaśmiał się, a z głębi jego klatki piersiowej rozległo się stłumione rzężenie.

– Chcę, żebyśmy razem zmienili przeszłość.

Nie miała pojęcia, o czym mówił. Spojrzała w skute lodem niebieskie oczy, szukając w nich wskazówki, i wtedy zrozumiała, że Łukasz nie żartuje.

ROZDZIAŁ 18

Wcześniej

W aucie unosił się słodko-kwaśny zapach energetyków. Jechali wąską drogą wzdłuż lasu. W oddali majaczył wielki dom, wokół którego rozlewały się tętniące różnymi odcieniami fioletu pola lawendy.

– Zobacz, to tam. – Miłosz wycelował palec w szybę. – Stąd widok jest najlepszy. Robi wrażenie, co nie? Zawsze zachwycaliśmy się tym obrazkiem z ciotką, kiedy zabierała mnie na grzyby za dzieciaka. To cudowne miejsce.

Utkwiła wzrok we wskazanym punkcie, ale nie dostrzegała tego, co malowało się za szybą.

– Wszędzie będzie tak samo – odezwała się po chwili.

– Nie zaczynaj, nawet jeszcze nie obejrzałaś domu.

Parsknęła.

– A co to zmieni?

– Wszystko. To idealne miejsce na stworzenie pensjonatu. Hotel na plantacji lawendy, tego jeszcze nie grali, co? Mała Prowansja na Wzgórzach Dylewskich. Będziesz mogła to wszystko wymyślić

od podstaw, powoli, bez pośpiechu. O finanse się nie martw, mam sporo zaskórniaków. Możemy inwestować.

Kilka minut później weszli do zaniedbanego domu. Wewnątrz panował przenikliwy chłód, wywołujący gęsią skórkę. Wciągnęła pachnące wilgocią i kurzem powietrze do płuc i niemal natychmiast je wypuściła.

– Chyba powinienem przenieść cię przez próg. To jakiś taki popularny zabobon – oznajmił i bez namysłu objął ją w pasie.

Znieruchomiała pod wpływem jego dotyku. Odwykła od bliskości.

– Przestań! – krzyknęła, wyrywając się.

– No dobra, dobra. Myślałem, że uda mi się wysępić jakieś małżeńskie czułości.

W tym samym momencie z kuchni wyłonił się facet z wyraźnymi bliznami po trądziku na twarzy.

– To już dzisiaj? Ten wielki dzień – mruknął do Miłosza, podając mu rękę. – Wprowadzacie się?

– Nie, chciałem tylko pokazać żonie ten raj. Właśnie! To jest Weronika, a to Marcin, zarządza tu wszystkim od lat i dla nas też będzie pracował. – Odkaszlnął. – Jako manager obiektu.

Utkwiła wzrok na wiszącej między salonem a korytarzem replice miecza grunwaldzkiego i poczuła, że to miejsce jest zupełnie obce. Nie pasowała tu.

Facet przyglądał się jej łapczywie. W sposobie, jaki na nią patrzył, było coś oślizgłego. Pomyślała, że jeśli naprawdę mają tu zamieszkać, musi przekonać Miłosza, by jak najszybciej się go pozbył.

Teraz

Im bardziej próbowała uspokoić oddech, tym wyraźniej organizm domagał się tlenu, a ona nie mogła zdradzić, jak bardzo się denerwuje. Nie śmiercią, bo i tak wiedziała, że Łukasz ją zabije. Nie zależało jej na przetrwaniu, tylko odkryciu prawdy. Skoro wszystkie dotychczasowe tropy okazały się fałszywe, być może teoria, że jej mąż był bezwzględnym mordercą, organizującym polowania na kobiety, również była błędna. Potrzebowała prawdy nie po to, by zrozumieć, dlaczego Łukasz bestialsko zamordował te kobiety. Teraz, kiedy pojawiła się taka szansa, chciała ocalić dobre wspomnienie o Miłoszu, tak by spokojnie z nim umrzeć.

– Jak to jest, że nie poszłaś siedzieć? Mąż ci to załatwił? Pieniądze potrafią zmieniać rzeczywistość, co? Ale to wszystko pozory. Prawda to atomy, nie idee. Istnieje wina bez kary. Naprawimy i to.

– Nie było żadnej winy – skłamała. Chciała kupić sobie czas.

– Tak… Zło wyrządzone dzieciom łatwo zatuszować, przeobrazić w coś innego.

– Nic jej nie zrobiłam.

– Naprawdę? W Krakowie inaczej się o tym mówi.

Rozmowa zmierzała w niewłaściwym kierunku. Musiała jak najszybciej przejąć nad nią kontrolę.

– Dlaczego one? Dlaczego je zabiłeś?

Syknął, przymykając oczy.

– Wszystko psujesz. Dokładnie tak jak Eliza, ona też ciągle mówi. Poucza, opisuje, przypomina. Nawet teraz próbuje się wtrącać, chociaż jej nie ma. A może nigdy nie było. Kto decyduje o tym, kto i co jest prawdą? Czy ludzie, których idealizuje nasza pamięć, bo odeszli z naszego życia na zawsze, są autentyczni czy wymyśleni?

Podszedł do niej na tyle blisko, że była w stanie policzyć zmarszczki pod jego oczami.

– Chciałaś kiedyś cofnąć czas? Chciałaś, prawda?

Zamrugała. Miała wrażenie, że czytał w niej jak w otwartej książce. Skąd tyle o niej wiedział?

– Każdy, kto kogoś lub coś stracił, chciał. Miałem kilka lat, kiedy wydusiłem mojej matce na ucho pewien sekret. Nie dała wiary moim słowom, a ja przestałem jej ufać. Później chyba zdała sobie z tego sprawę i chciała cofnąć czas, spełniała wszystkie moje zachcianki. Posłała mnie na studia, na które nie było nas stać. Harowała na kilku etatach, żeby zmienić przeszłość. I wiesz co? Kiedy umarła, zrozumiałem, że poniekąd jej się to udało.

Odsunął się od niej, przechylił głowę i przyglądał się Weronice z ukosa.

– A potem zobaczyłem cię w sklepie i pomyślałem, że teraz moja kolej, żeby zakrzywić czasoprzestrzeń. Że razem zmienimy przeszłość.

Próbowała coś z tego wyłapać, cokolwiek, co pomogłoby zrozumieć, o czym on mówi, a przede wszystkim, co tak naprawdę ich łączyło.

Znów dotknął jej policzka, miał tak lodowate palce, że aż się wzdrygnęła.

– Tamtego dnia, kiedy cię spotkałem w sklepie, udusiłem pierwszą dziewczynę. Była do niej podobna. – Skrzywił się, jakby tamto wspomnienie sprawiło mu ból. – Łapała stopa na trasie do Lubawy. To był impuls. Błysk. Oprzytomniałem dopiero, kiedy wkładałem jej do gardła kamień. Wtedy zrozumiałem, że to się wydarza ciągle od nowa. W zmienionej formie, ale wraca.

O czym on mówił? Zrobiła krok w stronę blatu, na którym stał stojak z nożami. Poczułaby się pewniej, gdyby choć jeden z nich miała w zasięgu ręki.

– Nie ruszaj się.

W sposobie, jaki to powiedział, była jakaś zwierzęca dzikość. Zupełnie niepasująca do twarzy, którą przecież dobrze znała.

– Wiesz dlaczego? Bo razem z tobą wrócił tamten mrok. Ale pojawiły się też nowe możliwości. Kolejne rozdanie. Czas nie jest linearny. Można przeżyć to samo, ale inaczej. Podstawiając inne mianowniki, zmieniamy wynik równania.

Gdyby tylko to była prawda… – pomyślała.

– Nie wierzysz mi? – rzucił, jakby naprawdę czytał jej w myślach. – To po co zabrałaś Alinę Kochańską na tamten most, co? Może chciałaś ją zabić, żeby ocalić w sobie obraz siebie jako dobrej siostry, co? Udowodnić sobie, że masz na to wszystko jakikolwiek wpływ.

Był blisko prawdy, a jednocześnie bardzo od niej daleko.

ROZDZIAŁ 19

Wcześniej
24 lipca 2020
Kilka godzin przed śmiercią Julii

Dźwięk przerywanego połączenia niemal eksplodował w jej głowie.

– Miłosz! – Histeryczny krzyk poniósł się po mieszkaniu. – Tam się dzieje coś złego. Julia mówi, że nie wyczuwają tętna Oliwiera, ale każą czekać. Będą indukować poród, zamiast ciąć!

Kornecki w samych bokserkach wyszedł z łazienki, przecierając oczy.

– Jak to nie ma tętna? Musimy tam jechać.

– I tak nas nie wpuszczą. Przecież są te zasrane obostrzenia pandemiczne.

Patrzył na nią wyczekująco, jakby spodziewał się, że znajdzie inne rozwiązanie.

– Będę dzwonić do tej Kochańskiej, ale wiesz, jaka z nią jest rozmowa.

– Jedźmy. Może trzeba komuś dać w łapę. Musimy tam wejść – mruknął, wciągając dżinsy.

– Wczoraj już próbowaliśmy i musieliśmy zrezygnować.

– Wczoraj mojemu synowi biło serce. Dzisiaj nie damy się zbyć.

Weronika wyglądała na nieprzekonaną. Drżącymi palcami wystukała numer oddziału patologii ciąży, na którym leżała Julka. Sygnał połączenia trwał całe wieki, ale w końcu ktoś odebrał i przekierował rozmowę do gabinetu ordynatorki. Po trzech krótkich sygnałach wreszcie usłyszała:

– Kochańska, słucham.

– Z tej strony Weronika Kornecka. Pani doktor, rozmawiałam z siostrą i mój synek… znaczy jej synek… – poprawiła się szybko. – Podobno podczas badania tętno dziecka było niewyczuwalne.

W ciszy, jaka zapadła, Weronika słyszała dudnienie własnego serca.

– Na KTG odnotowaliśmy zaniki tętna, ale to nie znaczy, że nie ma go w ogóle – odezwała się ordynatorka lodowatym głosem. – Ciąża jest już prawie donoszona, to trzydziesty siódmy tydzień, dla bezpieczeństwa więc zdecydowaliśmy się wywołać poród.

– Ostatni zapis nie wykazał tętna wcale!

– Mały mógł się przekręcić, dlatego wynik był niemiarodajny. Położna przy badaniu wyczuła ruchy. Ale tak jak pani powiedziałam, z ostrożności zdecydowałam się na wywołanie porodu.

– Dlaczego nie możecie ciąć? Wywołanie może trwać godzinami. To niebezpieczne dla Oliwiera.

Znów cisza, przerwana po chwili ostrym jak skalpel tonem.

– Ma pani zamiar uczyć mnie tajników mojego zawodu?

Weronika cicho wciągnęła powietrze, po czym powiedziała wbrew sobie:

– Przepraszam, nie chciałam pani urazić, po prostu martwię się o małego i o siostrę.

– Przez to pani zmartwienie zamiast pomagać pacjentom, tracę czas na bezcelowe rozmowy przez telefon. Droga pani, ja doskonale wiem, że teraz każda rodząca chciałaby cesarkę i najlepiej sushi jeszcze przed pierwszym karmieniem, ale bycie matką to jest misja, a nie pobyt w Disneylandzie.

– Tu chodzi o ich życie.

– Mnie chodzi przede wszystkim o dobro moich pacjentów, podejmując decyzje, opieram się na faktach, a nie na histerii. A teraz proszę wybaczyć, bo straciłam przynajmniej kilka minut, które mogłam poświęcić pani siostrze i jej dziecku.

Weronika poczuła palącą w gardle bezradność.

– Czy mogę ich zobaczyć? – wykrztusiła.

– Trwa pandemia, w związku z czym odwiedziny na naszym oddziale są wstrzymane do odwołania. Dla bezpieczeństwa – rzuciła beznamiętnie Kochańska, po czym się rozłączyła.

– I co? Co powiedziała? – Miłosz patrzył na nią wyczekująco.

Nie była w stanie odpowiedzieć. Po tej rozmowie bała się jeszcze bardziej niż dotąd.

Teraz

Kiedy usłyszała nadjeżdżające auto, przypomniała sobie o policjancie, którego miał podesłać Grasicki. Jeśli zaraz tu wejdzie i obezwładni Łukasza, Weronika nigdy nie pozna prawdy. Nie odkryje, co ona i jej rodzina mieli wspólnego z kobietą ze znamieniem na policzku, a to znaczyło dla niej teraz więcej niż życie. Z tyłu głowy majaczyła niepokojąca myśl, że chodzi jeszcze o coś. Miała wrażenie, że słowa Łukasza poruszyły w niej jakąś

strunę, z której dotąd nie zdawała sobie sprawy. Pierwszy raz ktoś miał myśli tak bliskie jej myślom. Przeglądała się w nim jak w lustrze.

Silnik ucichł, trzasnęły drzwi, rozległy się kroki.

Łukasz uśmiechnął się lekko, a potem wziął z blatu kuchennego nóż do steków i kazał Weronice iść do salonu. Gdy usiadła przy stole, położył znacząco palec na ustach i ruszył do przedpokoju. Zastanawiała się, czy ma ostrzec policjanta, czy jednak dać sobie szansę na…

– Nareszcie! Ileż można na ciebie czekać – odezwał się zirytowany Łukasz.

– Co tu…?

Nie, to niemożliwe – pomyślała. Chociaż… Życie przecież nauczyło ją, że niemożliwe w przypadku tego, co najgorsze, nie istnieje.

– Adam? – szepnęła.

Kiedy wszedł do salonu, posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. Jego wzrok był pozbawiony emocji, twarz niemal kamienna.

– Koleżanka chciała posłuchać trochę o przeszłości – powiedział Łukasz, przyglądając się ostrzu noża. – Pomyślałem, że dopełnisz moją historię. Iwonka to była wielowymiarowa postać, warto przedstawić ją z kilku perspektyw. – Jego głos brzmiał spokojnie, a jednak słychać w nim było niebezpieczną nutę.

Adam podszedł do stołu, powoli odsunął krzesło naprzeciwko Weroniki i ostrożnie na nim usiadł. Był spięty, cały czas kątem oka spoglądał na nóż w rękach Łukasza. Zachowywał się, jakby czekał na jakiś ruch z jego strony. Ruch, który razem zaplanowali. Weronika próbowała rozgryźć, co tak naprawdę zamierzają.

– Wracanie do tamtego nic nie da – odparł cicho. – Przejdźmy do rzeczy.

– Gówno prawda.

– To już zamknięty etap.

Adam poruszył się niespokojnie.

– Chcesz udawać, że to się nie wydarzyło, ale uciekanie nic nie da. Trzeba się z tym zmierzyć. Przyszłością zmienić przeszłość. Ona mi to uświadomiła. – Łukasz wskazał podbródkiem na Weronikę. – Kiedy ją zobaczyłem, najpierw mnie zamroczyło. Ta fryzura, ten pieprzyk. Wszystko wróciło. A później zrozumiałem, że to szansa. I znak.

Adam nie odpowiedział. Przygarbiony, zastygł w oczekiwaniu.

– Najpierw byłem przekonany, że jesteś jakimś pojebanym fetyszystą, że ją bzykasz – prychnął Łukasz. – Dopiero później ogarnąłem, że oboje próbujemy odwrócić bieg rzeczy, tylko w inny sposób. Po to ją zatrudniłeś, chciałeś oswoić tamto. Przeżyć od nowa, ale inaczej. Teraz, kiedy dorośliśmy, jest trochę łatwiej, a ona… – Znów spojrzał na nią. – Ona jest taka sama, rozumiesz? W środku ma ten sam mrok. Przyznaję, miałem wątpliwości, przez chwilę nawet bałem się, że mnie poniosło, że wariuję, ale później dowiedziałem się o sprawie Aliny Kochańskiej i dotarłem do nagrania z kamery w monopolowym przy tamtym moście. Sam widzisz, że to wszystko zaczęło się od nowa. I nigdy się nie skończy, chyba że zmienimy przeszłość tak, by nigdy się nie wydarzyło.

Z kamery w monopolowym? O czym on mówił? Przecież do sprawy dołączono jedynie nagranie z kamer ulicznych, ale złapały wyłącznie moment, w którym przechodziła z dziewczynką przez skrzyżowanie na moście. Nie było dowodów, że wspięły się na barierkę. Zeznała, że przystanęły, bo Alina chciała popatrzeć na rzekę. Czy rzeczywiście był tam jakiś sklep? Przypomniała sobie zarys budki z otwieranym w nocy okienkiem dla okolicznych pijaków i dworcowych meneli. Czy to możliwe, żeby takie miejsce było monitorowane? Ale nawet jeśli, to jakim cudem zapisy nie

trafiły do akt sprawy? Odpowiedź mogła być tylko jedna. Miłosz o to zadbał.

Łukasz okrążył stół i usiadł na krześle stojącym najbliżej niej. Czuła jego słodkawy oddech, drażnił jej nozdrza.

– W Dęblinie na roku miałem rudzielca z diastemą, trzy lata wyżej był chłopak z podobną wadą zgryzu i kolorem włosów. W ogóle nie byli do siebie podobni, ale wszystkim i tak wydawało się, że wyglądają jak bliźniacy. Na początku uznałem więc, że ten pieprzyk i kolor włosów jedynie sprawiają wrażenie podobieństwa. Ale to wystarczyło, żeby obudzić drzemiące demony. Później znaków było coraz więcej. Bravo na przykład miała taką samą sukienkę, jak ty w sklepie. I twoja data narodzin! – zawołał z triumfem. – Urodziłaś się rok po pożarze, równo trzysta sześćdziesiąt pięć dni po śmierci Iwonki. Poczciwej przedszkolanki, co to różańce jeden po drugim pod figurką odmawiała. Wszyscy podziwiali, że Janikowie tak ją dobrze wychowali, że na starość pociechę z niej będą mieli. Kamień, papier, nożyce, kto opowiada dalej? – zwrócił się nieoczekiwanie do Adama, ale on wydawał się nieobecny. Jego twarz mieniła się odcieniami bieli.

– To już za nami – odezwał się po długiej chwili tak cicho, że ledwo go usłyszała. – Skupmy się na tym, co dalej. Ważne jest jutro, nie wczoraj.

Znów go popędzał. Do czego tak mu się śpieszyło? Albo czego chciał uniknąć?

– Nic nie rozumiesz, panie dyrektorze! – zawołał zirytowany Łukasz. – Chwila skupienia, żeby rozwiązać równanie i wskazać niewiadomą. Ile razy byłeś z Iwonką w łazience? Dwa, trzy razy? Ja byłem dwanaście. A może więcej, ale wtedy umiałem liczyć tylko do dwunastu. Z wiekiem była coraz odważniejsza. Wojtek nigdy tam nie chodził. Grzeczny, cichy, niedostrzegalny. Ciągle

siedział na tym zasranym dywanie i bawił się autami. Tamtego dnia jak zawsze przyszedł sam, spóźniony. Dwa dni do świąt, niektóre dzieciaki chorowały, inne zostały w domu, żeby pomagać w przygotowaniach. Z całej sześcioosobowej grupy byliśmy tylko my dwaj. Ćwiczyliśmy alfabet. Ani ja, ani Wojtek nie potrafiliśmy spamiętać kilku pieprzonych pierwszych liter. Iwonka wściekała się coraz bardziej…

Adam poderwał się gwałtownie, sięgnął przez stół i złapał go za kołnierz.

– Co ty, kurwa, chcesz powiedzieć?!

Łukasz odepchnął go z taką siłą, że ten wpadł na bieloną ścianę.

– Siadaj – warknął. – Gramy w tej samej drużynie, pamiętasz? – warknął, po czym dotknął noża leżącego obok na blacie. – Mamy jeden cel. Musimy pozbyć się tego, co wtedy się w nas zalęgło. Odwrócić bieguny.

Adam zastygł w bezruchu i patrzył na niego wyczekująco.

– Wiedziałem, że z naszej dwójki wybierze mnie – ciągnął Łukasz. – Że w końcu będzie chciała sobie ulżyć, dlatego musiałem coś wymyślić. Schowałem mu te zasrane autka, a on dostał szału. Krzyczał i wił się po podłodze jak opętany. Nie zwracał uwagi na jej upomnienia. Kiedy się uspokoił, zabrała go do łazienki.

Zamilkł na chwilę i w salonie zapadła przenikliwa cisza. Słychać było jedynie trzy przyśpieszone oddechy.

– Myślałem, że skończy się jak zawsze. Że wyjdzie blady i z mokrymi włosami. Zwykle wiedziała, kiedy przestać polewać wodą, kiedy zrobić przerwę na oddech. Lodowaty prysznic to była jej ulubiona forma karania. – Wzdrygnął się mimowolnie. – Ale on nigdy stamtąd nie wyszedł.

– Co zrobiła z ciałem?

Obaj spojrzeli na Weronikę ze zdziwieniem, jakby zapomnieli o jej obecności. A ona czekała na ciąg dalszy, nieświadomie wbijając paznokcie w swoje znamię na policzku.

– Co zrobiła z ciałem? – powtórzyła.

– Zabroniła mi patrzeć – odpowiedział Łukasz. – Stałem kilkanaście minut odwrócony twarzą do ściany, a ona wyszła tylnym wyjściem, które z łazienki prowadziło wprost do zbiornika. Powiedziała, że jeśli komuś powiem, że Wojtek był tamtego dnia w przedszkolu, w gardle wyrośnie mi kamień, uduszę się i zniknę na zawsze. Dla dziecka taka wizja była wystarczająco straszna, szczególnie że kamieni baliśmy się najbardziej, co nie? – zwrócił się do Adama. – Ten, kto w dziecięcej wyliczance był kamieniem, jednocześnie był wybrańcem pani Iwonki. Zwykła zabawa zamieniła się w makabryczną grę. Ona decydowała, my mieliśmy jedynie odgrywać scenariusz. Koniec wynikał z początku, a początek z końca. Zawsze tak samo. Zawsze według znanego klucza. Papier owija kamień. Przegrywasz i idziesz do łazienki.

Wiedziała. Odkąd zobaczyła zdjęcie tej dziewczyny ze znamieniem na policzku, czuła, że coś je łączy. Nie spodziewała się tylko, że będzie chodziło o to. O mrok sączący się z duszy.

– Po latach zrozumiałem, że utopiła Wojtka w zbiorniku retencyjnym za szkołą. Łatwo w takim miejscu upozorować wypadek. Grasicki mówił, że nie dopełniono czynności. Określono przyczynę zgonu: utonięcie, nikt jednak nie przywiązywał wagi do szczegółów, które mogły być wskazówką. Obecność okrzemków odnotowano wyłącznie w płucach, a w przypadku utonięcia w naturalnym zbiorniku powinny być we wszystkich narządach. Uznano, że to był wypadek. Że dzieciak zamiast przyjść do przedszkola, kręcił się przy zbiorniku i wpadł. Grasicki nie był wtedy jeszcze komendantem, tylko zwykłym aspirantem, więc gówno mógł. A może więcej mógł, niż chciał zrobić. W wynikach

sekcji nie wpisano nic o okrzemkach, a jemu kazali zamknąć sprawę. Chyba nie może sobie tego darować i pewnie dlatego teraz mimo przymusowej emerytury dalej drąży temat dziewczyn. A może ze zwykłej ambicji? Trudno rozgryźć, kiedy kierują nim aspiracje, a kiedy po prostu ucieka przed cieniem starych grzechów.

– A jak ty spłaciłeś swój dług? – nieoczekiwanie zaatakował Adam.

– Cały czas go spłacam. Te dziewczyny to pokuta. Teraz pozostał żal za grzechy. I rozgrzeszenie. Ale to już nie w moich rękach. – Spojrzał na niego wymownie.

– Dlaczego mu nie powiedziałeś? – odezwała się znowu. – Dlaczego nie powiedziałeś Grasickiemu?

Wzruszył ramionami.

– Liczyłem, że w końcu sam to odkryje. Ale szybko stracił zainteresowanie prawdą. Śmierć Wojtka w oczach wszystkich była wypadkiem. Zresztą po latach nie odzyskał czujności. Może gdyby nie kierował się tylko własnymi ambicjami, już dawno by mnie rozszyfrował, ale on był zbyt pochłonięty tym, by dopiec komendantowi. Najpierw podejrzewał tego chłystka od was. – Prychnął z pogardą. – Najłatwiejszy trop: w końcu to Marcin znalazł ciało Charlie i zadzwonił na policję, więc Grasicki obstawił, że to była z jego strony gierka. Że zabił ją, a później wezwał służby, udając przypadkowego świadka.

Poczuła, jak coś kwaśnego podchodzi jej pod gardło. A więc Marcin zanim wezwał policję, zrobił martwej dziewczynie zdjęcie i wysłał Miłoszowi, a on najprawdopodobniej wykorzystał je dla zysku.

– Później ten chwast rzeczywiście zabił dziewczynę i podrzucił na podjazd. – Uśmiechnął się do Weroniki. – Serio, ja tamtej nie tknąłem. On to wykombinował, bo nic nie łączy bardziej niż

wspólne tajemnice, co nie? – Mrugnął do niej z satysfakcją. – Chciał cię od siebie uzależnić, złamać, ale ty się opierałaś, więc poszedł o krok dalej. Wywlekł ukryte ciało na widok publiczny, żeby cię przestraszyć i sterować tobą jak pacynką.

Weronika miała wrażenie, że twarz pali ją żywym ogniem.

– Grasicki zachowywał się jak szczur zapędzony do kąta. Kąsał na oślep. Chwycił się wątku, który mu podsunąłem. Charlie tamtego dnia jadła obiad w knajpie w lesie z jakimś kolejnym dupcyngielem. Podawali wtedy tatar z koniny kupionej nielegalnie od Walczaka. Wiem, bo tam byłem. Kiedy wszyscy myśleli, że znikam, żeby pić w samotności, ja stawałem się niewidzialnym obserwatorem. Czekałem na odpowiedni moment do ataku.

Weronika spojrzała na Adama, ale on wciąż tkwił pod ścianą. Miał opuszczone ramiona, zwieszoną głowę – z całej jego postaci biła bezradność.

– Podczas sekcji trafili na koninę. Grasicki przez chwilę podejrzewał synalka Walczaka, bo to stary recydywa, co kiedyś za niejedną bójkę już siedział, więc to był świetny motyw, żeby go w tym utwierdzić. Nie od dzisiaj każdy wie, że karczma bez papierów skupuje koninę od tego starego zwyrola, bo oficjalnie to on konie ubija na własny użytek. Nietrudno było powiązać śmierć tamtej dziewczyny z karczmą, ale stary pies to zostawił. Dlaczego?

Spojrzał na nią wyczekująco, jakby miała udzielić właściwej odpowiedzi, tymczasem ona coraz bardziej zaczynała bać się prawdy, na którą tak bardzo czekała.

– Bo wiedział, że wokół knajpy dzieją się dziwne rzeczy związane z polowaniami na kobiety! – dokończył triumfalnie Łukasz, po czym się skrzywił. – Grzebał w tym od lat. Jego życiowy projekt. Zasrany agent od siedmiu boleści. Przerośnięte

ego ponad anonimowe życie. A ten rudzielec od was to był zwykły chwast, jak twój mąż. Ale tak to już jest z pasożytami, zazwyczaj same się eliminują. Zasrany stróż od siedmiu boleści wykończył twojego zaślepionego chęcią zysku męża. Chciał się stać nim. Na dodatek wziął za to spory hajs od jego wspólników. Wiedziałaś o tym, że chciał nie tylko jego dom i życie, ale przede wszystkim ciebie?

Oczy Łukasza zalśniły z satysfakcją, kiedy po raz pierwszy tego wieczoru dostrzegł w jej spojrzeniu strach zmieszany z obrzydzeniem.

– Tak wiele pytań i żadnych odpowiedzi, co? – roześmiał się. – Kapitan nie ucieka z tonącego okrętu, a twój stary chciał się wykręcić z interesu, jak tylko policja zaczęła deptać im po piętach. Wyrok na niego zapadł kilka miesięcy wcześniej, dlatego zaszył się tutaj. Liczył, że to ucichnie – uśmiechnął się i przeczesał palcami włosy. – No nie patrz tak, wszystko wiem od Grasickiego, był znajomym mojej matki i chyba czuje się za mnie odpowiedzialny. Poza tym wiedział, że może mi zaufać. Nie ma jak pieska intuicja – zaśmiał się z satysfakcją. – Marcin namówił twojego męża na kupno tego domu pewnie między innymi ze względu na ciebie. On lubi ładne blondynki. W zasadzie lubi wszystko, co oddycha i ma szparę między nogami. Wasze życie mu imponowało. Chwalił się w karczmie po pijaku, że na niego lecisz, jeszcze zanim się tu wprowadziłaś. Chytry plan: przejąć dom i ciebie, stać się kimś nowym. W jego rozumieniu chyba lepszym. Sprytnie sobie to wykombinował, tylko niestety – cmoknął teatralnie – byłaś bardzo oporna, więc skoro nie mógł cię mieć, postanowił przynajmniej na was zarobić – westchnął z satysfakcją. – Za te klucze – wskazał podbródkiem na komplet leżący na stole – też wziął ode mnie ładną sumkę i odszedł w siną dal. W podróż, z której się nie wraca. Chociaż najpierw jeszcze

trochę mi poopowiadał, miał długi jęzor, zwłaszcza gdy się go przycisnęło. Ale dość już o tym.

A więc Marcin nie żyje – pomyślała. Powinna poczuć ulgę, a jednak poczuła dyskomfort. Może i próbował zdobyć ją strachem, ale nigdy siłą, chociaż z tego, co mówiła dziewczyna w karczmie, miewał takie zapędy. Może naprawdę mu na niej zależało? A Adam? Czy jemu na niej zależy? Czy on też był w to zamieszany? Działał razem z Łukaszem? Szumy nagle wydały jej się skrawkiem piekła, który przyciąga do siebie ludzi o najgorszych instynktach. Tu każdy coś ukrywał, nawet przed sobą samym. Teraz przyszła kolej na ostatnią tajemnicę. Spojrzała na Łukasza.

– Powiedziałeś, że tamta dziewczyna miała taką samą sukienkę jak ja…

Rozpromienił się.

– A jednak mnie słuchasz! Doskonale, wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Tak, Bravo łapała stopa przy zjeździe do rozlewni w takiej samej sukience. Była jak magnes. Zatrzymałem się, ale nawet mnie nie zauważyła. Wypasiona beemka twojego męża zrobiła na niej lepsze wrażenie – westchnął ciężko. – Iwonka też nigdy nie dostrzegała Wojtka. Do tamtego zasranego dnia. Schemat wymagał przełamania, dlatego pojechałem za nimi. Pewnie nic by się nie wydarzyło, ale zatrzymali się w lesie. Z tego, co słyszałem, Kornecki miał taki zwyczaj, że zawsze osobiście sprawdzał towar, zanim zaoferował go klientom.

Weronice zrobiło się niedobrze.

– Tym razem jednak mu się nie udało. Uciekła. Widziałem, jak łapczywie próbuje złapać oddech, gdy biegła w strugach deszczu. Dokładnie tak samo jak Iwonka z ekscytacji, kiedy polewała mnie prysznicem. Mogłem zrobić tylko jedno: podstawić inne dane i czekać.

– A ta przedszkolanka? – Głos Adama był spokojny, jakby rozmawiali o pogodzie lub podwyżkach cen paliw.

– Ach, Charlie. – Łukasz uśmiechnął się do swoich myśli. – Długo ją obserwowałem, poznaliśmy się nawet osobiście i kilka razy spotkaliśmy. Była dość rozwiązła jak na dziewczynę stąd. Dwa lata pracowała w przedszkolu w Przepustach, osiem kilometrów stąd. Lubiła zabalować. Przychodziła do pracy wściekła i na kacu. Darła się na dzieciaki tak, że ziemia drżała. To skończyłoby się tylko w jeden sposób. Zmieniając jej przyszłość, ocaliłem te maluchy.

Czyli ja jestem następna – pomyślała Weronika.

– Alfa, Bravo, Charlie. Trzy pierwsze litery alfabetu języka, w którym mówi moje serce. Trzy pierwsze litery, których nie potrafiliśmy z Wojtkiem pojąć tamtego dnia. Wiesz, dlaczego zostałem pilotem? Żeby zrozumieć zmienność. Zmienność czasu, życia, kultur. Życie to zmiany. Ta myśl pomogła mi znaleźć sens.

– Jaką ja będę literą? – zapytała, a Adam poruszył się niespokojnie.

– Ty nie jesteś literą. Ty właśnie jesteś zmianą.

– Była jeszcze Kujawowa – odezwał się cicho Adam.

– No tak. – Skrzywił się Łukasz. – Nie planowałem tego. Trójka to pełnia, komplementarność, perfekcyjna jedność początku, środka i końca, dlatego miały być trzy podejścia przed wielkim finałem, ale ta starucha przyszła do mnie tamtego wieczoru. – Splunął z obrzydzeniem.

– Przyszła? Przecież ona ledwo co się ruszała.

– Masz rację, przypełzła do mojego domu, z trudem łapiąc oddech. Musiała być bardzo zdesperowana, że znalazła w sobie siłę. Wiedziała, że to ja. Prosiła, bym przestał. Nic dziwnego, że się domyśliła. Zanim wyjechałem na studia, powiedziałem jej

prawdę o Iwonce Janik i o tym, jakie piekło zgotowała nam pod jej nosem.

– Po co to zrobiłeś? – wycedził Adam. Wydawał się zły, jakby to, że Łukasz podzielił się z kimś mrocznym sekretem z ich przeszłości, było większą zbrodnią niż morderstwo.

– Nie wiem. Może chciałem, żeby mnie przeprosiła. Łudziłem się, że jej skrucha pozwoli mi wybaczyć i pozbyć się tych wspomnień, zasklepi rany, ale ona tylko mnie wyzwała. Oskarżyła o to, że ja spaliłem Iwonkę i dzieci. Byłem pewien, że pójdzie z tym na policję, ale wywlekanie przeszłości jej też nie wyszłoby na dobre i zostawiła tę sprawę.

Adam ukrył twarz w dłoniach, a potem przemówił nienaturalnie niskim głosem:

– Po co w ogóle wracałeś?

Łukasz poderwał się z krzesła, wbił w niego rozpalone spojrzenie.

– Nie rozumiesz?! Tego, co w nas najgorsze nie da się po prostu pozbyć, ale można to przeżyć jeszcze raz inaczej. Kamień, papier, nożyce. Raz jesteś kamieniem, innym razem papierem. Nikt nie narzuca wyników. Tylko Iwonka chciała nam wmówić, że wszystko jest z góry ustalone. Tak naprawdę to my mamy prawo decydować o sobie i innych.

I wtedy to do niej dotarło. Kujawowa miała rację. Pożar szkoły nie był wypadkiem.

ROZDZIAŁ 20

Wcześniej

W samochodzie panowała gęsta cisza. Nawet nie próbowali jej wypełniać. Kilkanaście minut pyskówki ze szpitalnym ochroniarzem wyssało z nich wszystkie słowa. Miłosz prowadził, chociaż zupełnie nie dostrzegał tego, co dzieje się na drodze. Dopiero sygnał nadchodzącego połączenia przypomniał im o tym, że wokół nich wciąż toczy się życie.

– Kurwa, najpierw nas nie wpuszczają, a teraz czegoś chcą – syknęła Weronika, przykładając telefon do ucha. – Słucham – warknęła ze złością.

Usłyszała trzeszczenie, z którego po kilku sekundach wyłonił się cienki głos. Była w nim jakaś niepokojąca nuta.

– Dzień dobry, mówi Anna Ratajczak, dzwonię z oddziału położnictwa i patologii ciąży. Czy rozmawiam z panią Weroniką Kornecką?

– Tak, to ja.

Poczuła, jak coś ciężkiego osuwa się jej do żołądka.

– Pani siostra podała ten numer do kontaktu w razie…

Krzyknęła tak gwałtownie, że Miłosz zahamował na środku obwodnicy. Z tyłu rozległ się sygnał klaksonów, których oni już nie słyszeli.

– Bardzo mi przykro.

– A co z dzieckiem?! Co z moim synkiem?!

Pielęgniarka musiała uznać to za przejęzyczenie, bo nie poprawiła jej, tylko powiedziała cicho:

– Lekarze robili, co w ich mocy. Naprawdę bardzo mi przykro.

Telefon wypadł jej z rąk. Miłosz o coś pytał, ale słowa zlały się w jeden dźwięk. Pragnęła, żeby przestał mówić i zniknął. Ona sama też chciała zniknąć.

Znów zawiodła. Nie była matką, która potrafi ochronić swoje dziecko. W ogóle nie była już matką. Julia zabrała jej synka, zagarniając go dla siebie. Umarła, żeby odebrać go Weronice. A przecież nie należał do niej, był wyłącznie obcym ciałem w jej brzuchu. Ona go nie chciała. To Weronika zaoferowała mu życie, to ona była jego matką, a on był jej wymarzonym dzieckiem. Musiała tylko to udowodnić, ocalić ich miłość. Jeśli nie dla świata, to przynajmniej dla siebie.

Teraz

– Spaliłeś ich, prawda?

Łukasz obruszył się, dotknięty jej słowami do żywego.

– Nigdy nie skrzywdziłbym dziecka. W przeciwieństwie do ciebie! Pożar miał strawić tylko budynek. Wraz z nim miała zniknąć pani Iwonka, przedszkolanka. Zostałaby wyłącznie Iwona Janik. Ale ktoś zdecydował inaczej i zamknął ich w tej sali. Kamień tępi nożyce.

Kłamał. Każde słowo wydobywające się z jego ust było cynicznym oszustwem. Tylko dlaczego to robił? Po co udawał przed kobietą, którą za chwilę i tak zamierzał zabić? A może oszukiwał, by zwieść swojego wspólnika? Właśnie, gdzie w tej upiornej historii było miejsce Adama?

– Nigdy nie skrzywdziłbym żadnego dziecka – powtórzył Łukasz, jakby chciał przekonać nie tylko Weronikę, ale też siebie.

Adam oderwał się nagle od ściany, podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu. Dłoń Łukasza przesunęła się w stronę noża.

– To już koniec, Łukasz. Dajmy spokój. Trzeba zapomnieć i żyć dalej, robić swoje – powiedział z naciskiem.

– O nie, nie ma już żadnego dalej. Nie dla naszej trójki. Tym razem nie chodzi o przeszłość, ale o przyszłość. Lepiej, żeby nas z niej wymazano i opowiedziano na nowo.

Złapał za nóż i wtedy wszystko się zatrzymało.

Wszystko oprócz Adama. Cofnął się o krok, chwycił za replikę miecza grunwaldzkiego, który wisiał na ścianie, i zaczął nim na oślep uderzać. Łukasz upadł z łoskotem na podłogę już po pierwszym ciosie. Może nawet nie zdążył się zorientować, że umiera. Bryzgnęła krew, szarpnął się, a później przestał się ruszać, mimo to Adam wciąż walił go po głowie metalowym ostrzem z coraz większą zawziętością.

Weronika siedziała jak sparaliżowana, przyglądając się rozpryśniętej krwi. To wszystko wydawało się takie nieprawdziwe. Jakby oglądała film lub sztukę teatralną. W końcu zmusiła się do tego, żeby wstać. Podeszła do Adama i chwyciła go mocno za ramię.

– Przestań – syknęła. – Już nie żyje. Wystarczy.

Dopiero kiedy wybrzmiały te słowa, zastygł w bezruchu tak niespodziewanie, jak zaatakował. Spojrzał na zakrwawiony miecz,

jakby właśnie go dostrzegł, i wypuścił go z ręki z odrazą. Ciężko dysząc, zaczął wycierać dłonie w czarne dżinsy. Jego blada twarz upstrzona kropelkami krwi wyglądała upiornie.

– Już po wszystkim – odezwał się w końcu.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie. To nigdy nie minie. Zostanie z nami na zawsze.

Łukasz dopiął swojego. Nieodwracalnie zmienił ich przyszłość i przeszłość, zamknął je w dźwięku ostrza uderzającego o twardą kość czaszki.

ROZDZIAŁ 21

Wcześniej

Odgłos talerza stawianego na nocnym stoliku eksplodował w jej głowie. Pojedyncze promienie słońca wdarły się do pokoju przez szparę w zasłonach, przypominając o tym, że świat się nie skończył. Że gdzieś tam wciąż trwało życie. Ona jednak wciąż spadała w ciemność, z której nie miała siły się wydostać. Ale Miłosz był nieustępliwy.

– Jedz – powiedział cicho, gładząc rękaw jej białej koszulki.

– Nie mogę.

– Przynajmniej spróbuj. Prosciutto i gorgonzola od tego starszego Włocha ze skrzyżowania. Znów się otworzył po remoncie. Kupiłem też butelkę prosecco, stoi w lodówce. Zjedz chociaż kawałek. – Wyciągnął w jej stronę kawałek ciabatty z rukolą, serem i szynką.

Odruchowo otworzyła usta, ugryzła i z trudem przełknęła. Zaraz potem zawartość żołądka cofnęła się do gardła. Wróciła z toalety kilka minut później z bolesnymi skurczami brzucha.

– Musimy spróbować żyć – odezwał się Miłosz. – Minęło już tyle czasu. Ty musisz żyć. Być tu ze mną. Potrzebuję cię.

Wiedziała, że ma rację. Mózg był już gotowy, ale ciało stawiało opór, jakby z opóźnieniem odczuwało skutki tego, co działo się w jej głowie.

– Pójdę pod prysznic – mruknęła, sięgając do komody po czystą bieliznę.

– Spróbujemy znów. Zobaczysz, tym razem się uda. Znalazłem świetną klinikę, widzieli nasze badania, dają nam spore szanse.

Skurcze brzucha przybrały na sile. Ciało oblał zimny pot.

– Nie – powiedziała stanowczo.

– Dlaczego? Będziesz świetną mamą.

– Jestem i już zawsze będę mamą – odpowiedziała twardo, chociaż po wyrazie twarzy Miłosza widziała, że jej nie uwierzył.

Czuła, że zmieni zdanie, tylko musiała mu to udowodnić.

Teraz

Metaliczny, słodkawy zapach krwi był nie do zniesienia, Weronika chciała przed nim uciec choćby do kuchni. Usiadła przy stole i schowała twarz w dłoniach. Lada chwila powinien pojawić się ten policjant od Mirka, a jeśli się nie zjawi, będzie musiała zadzwonić do komisarza. Co miała mu powiedzieć? Jak nazwać coś, czego się nie rozumie? To wszystko nie mieściło się jej w głowie. Była przeraźliwie zmęczona.

– Weronika?

Poczuła chwilową ulgę, przynajmniej nie będzie z tym sama. Adam jej pomoże. Ale czy na pewno?

Podniosła głowę i spojrzała na niego. Siedział naprzeciwko, dłonie wciąż miał czerwone od krwi Łukasza.

– Dlatego zaczepiłeś mnie wtedy w sklepie? – spytała ostro. – Z tego samego powodu się ze mną pieprzyłeś?

Zaprzeczył, ale w jego głosie nie było pewności.

– To zasrane znamię obudziło w tobie chory fetysz? Podniecało cię, że jestem podobna do kobiety, która cię kiedyś krzywdziła?

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– To nie tak. Uwierz mi, że gdybym widział w tobie choćby cień tamtej suki, nie potrafiłbym spędzić w twojej obecności nawet minuty. Ona zmieniła nasze życie w piekło. – Oddychał szybko, coraz szybciej, ale nie przerywał. – Sprawiła, że za każdym razem, kiedy chcieliśmy się głośno roześmiać, głos wiązł nam w gardłach. Cali byliśmy strachem. Jak dzieci cienie. Nikt tego nie widział. Rodzice pochłonięci gospodarką albo wiązaniem końca z końcem ani inni nauczyciele. Zostaliśmy w tym mroku zupełnie sami. Bez nadziei na świt.

Adam stał się kruchy, kiedy o tym mówił. Jak napęczniały wodą papier, który rozpada się w rękach. Być może wcale jej nie wykorzystał. Albo nie zrobił tego świadomie, nie zdając sobie sprawy, że zainteresowanie nią jest wyłącznie reakcją mózgu na bodziec silnie związany z cierpieniem. A jeśli tak, to nic z tego, co wydarzyło się między nimi, nie było prawdziwe. Stanowiło jedynie efekt uboczny zła, które wydarzyło się w przeszłości.

– Czułem, że powrót Łukasza naznaczony jest ciemnością, ale myślałem, że to wspomnienia zatruwają mu umysł. – Przełknął ślinę, jakby powstrzymywał wymioty. – Zawsze ściągała bluzkę. Zostawała w samym biustonoszu, tak żeby rozbryzgująca się o nasze ciała lodowata woda nie zostawiła śladów na jej ubraniu. Kiedy pojawiały się pierwsze drgawki, jej oddech gwałtownie przyśpieszał. Nie można było nic zrobić, tylko czekać, aż przestanie.

Wraz z tymi słowami dotarło do niej, że nawet jeśli się domyślał, że to Łukasz za tym wszystkim stoi, ukrył to głęboko przed samym sobą razem z mrocznymi wspomnieniami.

– Zawsze upatrywała jedną ofiarę i postępowała według tego samego scenariusza.

– A inne dzieci? – spytała. – Dlaczego nikt tego nie zgłosił?

– Myśleliśmy, że tak musi być. A może nie znaliśmy słów, które mogłyby nazwać to cierpienie, a później było już za późno.

Pomyślała o kamieniach, które Łukasz włożył tamtym kobietom do gardła. Jako nastolatka dowiedziała się, że nieboszczykom zakleja się usta, żeby zwiotczałe mięśnie żuchwy nie rozwierały się w trumnie. Wtedy zrozumiała, czym jest śmierć. Bała się zamykać oczy, przekonana, że rano już się nie otworzą. Julia upierała się, że gdy człowiek umiera, po prostu znika, żeby urodzić się gdzieś indziej. Czy właśnie po to zabrała jej Oliwiera? Odeszła z nim gdzieś, gdzie może wieść inne życie?

Wspomnienia, które tak usilnie próbowała zepchnąć na krańce świadomości, gwałtownie wróciły, otworzyły się jak świeżo zasklepione rany. Zatęskniła za małą rączką synka, chociaż nigdy nie miała okazji jej dotknąć. Nie mogła przełknąć śliny, jakby miała kamień w gardle, ciało obce, pozostałość po dawnej Weronice. Tej, która nie miała pojęcia, że z miłości można nawet zejść do piekła. I tej, która już nie istniała.

– Kamień tępi nożyce – powiedziała bezgłośnie, przypominając sobie zalaną krwią twarz Łukasza.

– Wera, trzymasz się? – spytał z niepokojem Adam.

– Trochę mi niedobrze.

– To ja przekręciłem tamten klucz w świetlicy – wyszeptał.

– Papier owija kamień – mruknęła do siebie, próbując zagłuszyć jego słowa, które wybrzmiewały wciąż od nowa.

EPILOG

Gorące powietrze wlewało się do domu przez uchylone okno. Było jak tłoczona przez serce krew. Napędzało do życia. Zimne dotąd ściany w końcu zaczęły przyjmować ciepło.

– Dorzuć słodzik! – krzyknęła, a jej głos poniósł się echem po domu.

Chwilę później Adam postawił na stole kubek w drobne gwiazdki.

– Ty nie pijesz? – Uniosła brwi.

– Ogarnę sobie coś po drodze. Muszę odebrać lampiony do ogrodu. Jutro przyjeżdżają pierwsi goście, a altana wygląda upiornie.

Zupełnie wypadło jej z głowy, że to już jutro. Lawendowe Wzgórze otwierało swoje podwoje dla spragnionych ciszy wielkomiejskich nerdów.

– No tak.

– Pani manager najbardziej pożądanego obiektu hotelowego w okolicy chyba powinna być nieco lepiej zapoznana z upływem czasu.

Założyła kosmyk włosów za ucho i spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

– Nie znęcaj się. Nigdy nie byłam dobra w cyferki. Panie dyrektorze.

– Eksdyrektorze. Ale dobrze, że mi przypomniałaś. Obiecałem wysłać Emilii ubiegłoroczne sprawozdanie, żeby wiedziała, jak to napisać. Papierologia na tym stanowisku może pogrążyć nawet najlepszych.

– Dobrze sobie radzi?

– Nikt nie będzie taki dobry jak ja, ale wdraża się – zapewnił z uśmieszkiem i usiadł przed komputerem. – W weekend mamy warsztaty alchemiczne – mruknął, stukając w klawiaturę. – Chyba zaczniemy od olejków i hydrolatu, a po przerwie pójdziemy w mydełka. Co myślisz?

– Dostosuję się, ja będę tylko asystować.

– No tak, najlepiej odnosić sukcesy na cudzych plecach.

– Nie takich do końca cudzych – zaśmiała się. – Uznaję, że mamy wspólnotę majątkową.

– To może jeszcze papierek na potwierdzenie tych słów? – Mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Ten papierek nazywa się ślubem i nie, na to mnie nie namówisz.

– Nawet nie będę próbował. Mój wizerunek męża w Szumach jest nieco nadszarpnięty. Nie będę ryzykował. Szczególnie że teraz mam już nabazgrane w aktach sądowych… – Nie zdążył ugryźć się w język.

Odkąd tamtej nocy Adam dowiedział się, że to Iwona Janik zabiła Wojtka, z jego pleców spadł niewyobrażalny ciężar. Śmiercią chłopca rozgrzeszył śmierć dzieci, które zamknął razem z nią w klasie. Mimo to do tej pory unikali rozmowy o tym, co zaszło podczas szamotaniny z Łukaszem. Tajemnica Adama spoiła ich jakąś nadludzką siłą.

W tle brzęczał telewizor. Wysoki głos spikerki zlewał się w jeden drażniący pisk.

– Cieszę się, że jednak nie sprzedałam tego domu – powiedziała po chwili Weronika.

– Poczekaj, aż zakwitnie lawenda. Lada moment będziemy tu żyć jak w bajce.

Nie chodziło o lawendę i widoki. Ciężar wspomnień tamtego wieczoru przyćmił ból, przed którym tak długo uciekała. Zostało po nim jedynie niepokojące uczucie ssania w żołądku, jakby czekała na coś, co dopiero ma się wydarzyć.

– Cholera, nie mogę znaleźć tego sprawozdania. – Adam spojrzał na zegarek i opuścił klapę laptopa. – Ogarnę to wieczorem, bo zaraz zamkną sklep.

– Zaprosiłam Mirka na kolację – oznajmiła nieoczekiwanie. – Spotkałam go w sklepie. Śmierdział wódką i papierosami. Nie wyglądał najlepiej, zwłaszcza z tym browarem w ręku. Mówił, że dokarmia raka, który zjadł mu już niemal całe płuco. Słabo sobie z tym wszystkim radzi. Myślisz, że się obwinia, że był tak blisko z Łukaszem i niczego nie dostrzegł?

Adam przygryzł wargi.

– Łukasz nigdy nie poznał ojca. Niektórzy plotkowali, że był owocem romansu jego matki z proboszczem, a inni – ściszył głos, jakby mówił coś wstydliwego – że z Grasickim. Ale to dawno było i wszyscy już zapomnieli. W Szumach prawie każdy dźwiga jakiś grzech.

– To znaczy, że…?

Pokręcił przecząco głową.

– Wolę się nad tym nie zastanawiać. Tak to już jest, że najgorsze rzeczy robimy ze strachu lub miłości.

Telewizor zamigotał fioletowym światłem i Weronika spojrzała w tamtą stronę. Na ekranie ujrzała poważną twarz dziennikarki.

– W krakowskiej szkole podstawowej numer trzydzieści dziewięć doszło do tragicznego wypadku – powiedziała kobieta. – Sześcioletnia uczennica z nieznanych przyczyn wyskoczyła z piątego piętra. Nie udało się jej uratować. To wnuczka cenionej przez pacjentów i nagradzanej przez prezydenta ordynator szpitala pod wezwaniem…

Weronika przymknęła oczy.

– Nóżki mnie bolą – poskarżyło się dziecko, zaciskając spoconą rączkę na jej dłoni.

– Już niedaleko – odparła, pomagając dziewczynce wgramolić się na mokrą od mżawki barierkę mostu. Ostry wiatr boleśnie ześlizgiwał się po policzkach. – Przyjaźnimy się, pamiętasz? – powiedziała z naciskiem, próbując zignorować zawroty głowy i drżenie mięśni. Też nie znosiła wysokości. Za plecami miarowo szumiały samochody. W każdej chwili któryś mógł się zatrzymać. Miała niewiele czasu. Podciągnęła drobne ciałko kilkadziesiąt centymetrów wyżej.

Nurt rzeki był przysłonięty przez biały kożuch mgły. W głowie pojawiła się pokusa, żeby zakończyć to wszystko od razu. Jednak nie potrafiła znaleźć w sobie siły, by pociągnąć za sobą Alinę do lodowatej wody. Miała tylko zasiać ziarno. Reszta musiała wydarzyć się sama.

– Gdzie jest twój tatuś? – zapytała łagodnie.

– Mama mówi, że poszedł do aniołków. O tam. – Wskazała paluszkiem na nisko zawieszone nad mostem chmury.

– To bardzo smutne, że nie możecie być razem. Tęsknisz za nim?

– Bardzo.

W tle zawyły policyjne koguty. Bolesny skurcz żołądka niemal odebrał jej dech.

– Przyjaciółki są od tego, żeby sobie pomagać. Nie chcę, żebyś się smuciła, więc zdradzę ci sekret – mówiła głośno, żeby przekrzyczeć mijające je auta. – Jak kiedyś zatęsknisz tak, że nie będziesz mogła już wytrzymać, to możesz do niego pójść. Wystarczy, że wejdziesz gdzieś bardzo wysoko i skoczysz. Ale to musi być naprawdę wysoko. Tak jak na przykład tutaj. Ten magiczny sposób pozwala się przenieść do tych, którzy odeszli, ale wiedzą o tym wyłącznie nieliczni.

Myślała tylko o Oliwierze. O jego małych rączkach, które babka Aliny jej odebrała. O niemowlęcym płaczu, którego nigdy nie dano jej ukoić.

– Wtedy spotkasz się z tatusiem. Ale ta magia zadziała pod warunkiem, że nigdy nikomu o niej nie powiesz. Jak nie dochowasz tajemnicy, wszystko przepadnie i już nigdy nie zobaczysz taty.

Wycie syren było coraz głośniejsze. Migacze prześwitywały przez mgłę.

Alina pokiwała głową.

– Nie powiem, obiecuję.

– Wera, wszystko okej? – spytał Adam i znów była na Lawendowym Wzgórzu.

– Tak, w porządku – powiedziała, oddychając głęboko.

– No to jadę, będę niedługo – oznajmił i cmoknął ją w czoło na pożegnanie.

Ssanie w trzewiach wróciło. Ból trwał, rozsiewał się po całym ciele, z każdą myślą tworząc nowe ogniska. Popełniła błąd, ale biegu wydarzeń nie można było już odwrócić. Przekonanie, że miłość będzie wystarczającym usprawiedliwieniem, okazało się błędne. Zemsta nie zatrzymała ruchu planet. Wszystko

pozostawało na swoim miejscu, a wszechświat nie oddał jej Oliwiera. Jak mogła zignorować znaki? Łukasz był ostrzeżeniem, którego nie chciała zrozumieć. A teraz było za późno. Ta myśl była jak tkanka porastająca rozszarpaną skórę. Obca, a jednocześnie pochodząca z jej środka.

PODZIĘKOWANIA

Jako że piątka to moja ulubiona liczba, a *Ciału obcemu* matematyka przypisuje właśnie taki numer w mojej bibliografii, chciałabym przy okazji tej publikacji podziękować osobom, które wsparły mnie na różnych etapach jej tworzenia.

W pierwszej kolejności dziękuję moim rodzicom za to, że wiele lat temu zaszczepili we mnie przekonanie, że moje pisanie ma sens i warto gonić za tym impulsem. Być może dzięki temu odważyłam się spróbować. Mojemu mężowi, że uwierzył w to marzenie i wspierał mnie w rozważaniach fabularnych o każdej porze dnia i nocy. Mojej redaktorce, Karolinie Macios, jestem ogromnie wdzięczna za współpracę przy kolejnym projekcie. Dzięki niej ta książka stała się swoją najlepszą wersją siebie. Z całego serca dziękuję Wydawnictwu Filia, które zechciało podarować mi bilet do jednej z najbardziej ekscytujących przygód mojego życia. To wielka frajda pracować z Wami! Dziękuję Karolinie S. za to, że za każdym razem przedziera się przez roboczą wersję tekstu, a z jej opinii chłonę spokój w chwilach zwątpienia. Klaudii B. i Ani M., dziewczyny, dzięki, że podzieliłyście się ze mną tajnikami swojej pracy, dzięki czemu niektóre wątki zyskały na autentyczności.

A przede wszystkim dziękuję Wam, Drodzy Czytelnicy. Bez Was nie byłoby tej książki. Świadomość, że jesteście, rozjaśnia nawet najciemniejszą nieprzespaną noc. To ogromna radość pisać dla Was!

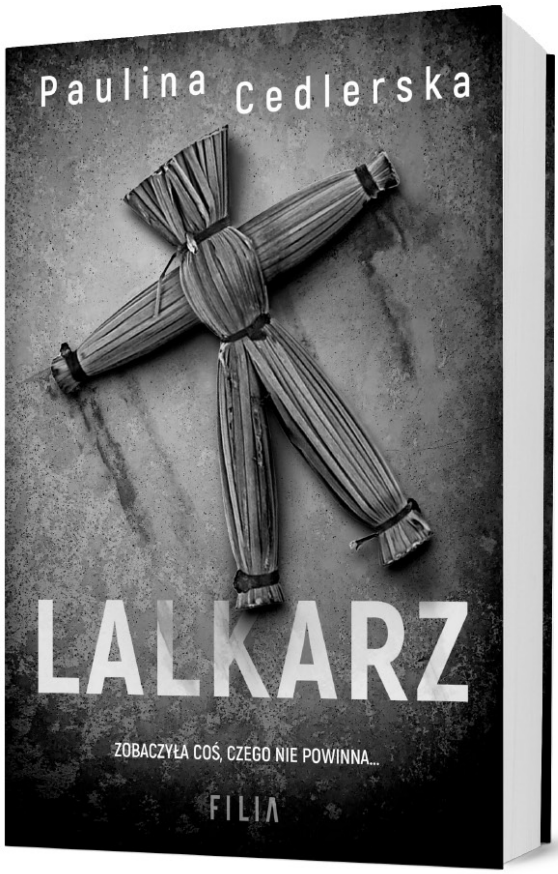

Kiedy znajoma Łucji przepada bez śladu, studentka postanawia zrobić wszystko, by ocalić jej życie. Jednak czy zdoła uratować też siebie?

FILIA

SPIS TREŚCI

Okładka
Karta tytułowa
Cytat

ROZDZIAŁ 1
ROZDZIAŁ 2
ROZDZIAŁ 3
ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11
ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16
ROZDZIAŁ 17
ROZDZIAŁ 18
ROZDZIAŁ 19
ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21
EPILOG
PODZIĘKOWANIA

Reklama
Karta redakcyjna

Copyright © by Paulina Cedlerska, 2024
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2024

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiejkolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2024

Projekt okładki: Brand Kingdom
Zdjęcia na okładce: freepik.com, AI Midjourney, wersja premium, licencja komercyjna

Redakcja: Karolina Macios
Korekta: Olga Smolec-Kmoch, „DARKHART”
Skład i łamanie: „DARKHART”

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-792-0

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia Sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.